PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA.

PAMIĘTNIKI

PREZYDENTA KRÜGERA

przekład

JUSTYNY PASZKIEWICZÓWNEJ

I ANTONINY MORZKOWSKIEJ.

Część I.

WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Декабря 1902 года.

ROZDZIAŁ I.

Młodość i życie prywatne.

Wspomnienia moje sięgają prawie tego czasu, gdy miałem lat dziewięć, a rodzice moi, oraz dwóch stryjów, Gerst i Theunis Krügerowie, postanowili opuścić kraj, gdzie ujrzałem światło dzienne.

Mieszkaliśmy dotąd w obwodzie Colesberg, na terytoryum Ziemi Przylądkowej. Tam właśnie przyszedłem na świat 10-go października 1825 r. Byłem trzeciem dzieckiem Gaspara Jana Henryka Krügera; matka moja, z domu Stein, była córką Douwa Steina, właściciela fermy Bułhoek około Zuurberga (w kolonii Przylądkowej). Rodzice moi, prości chłopi, wychowywali mnie po chłopsku, jak sami byli wychowani, t. j. od najmłodszych lat musiałem pasać trzody i wykonywać drobne roboty około gospodarstwa.

Pominąwszy ten fakt, iż jakaś stara kobieta przepowiedziała mojej matce, że los mój będzie świetniejszy od losu jej własnego syna, niejakiego Jana Paulusa, nic w owym czasie nie zapowiadało, że Bóg mi przeznaczał jakąś misyę wyjątkową.

Pierwszym ważnym wypadkiem mego życia było wyjście nasze z Ziemi Przylądkowej, t. j. „Trek.”

Byłem jeszcze zbyt młody, aby zrozumieć znaczenie tego słowa, które się wkrótce stało historycznem. To tylko pamiętam z opowiadania moich rodziców, że podobnie jak większość Boerów z Ziemi Przylądkowej, wyemigrowali oni na północ dlatego, że Anglicy sprzedali im niewolników, a potem, zabrawszy do skarbu pieniądze, otrzymane z owej tranzakcyi, niewolnikom przywrócili swobodę; właścicielom zaś obiecali zwrot kosztów za pośrednictwem ajencyj finansowych, ale tylko w samej Anglii. Wydatki nieodzowne przy tym systemie spłaty długów w wielu razach przewyższały sumę, którą należało podnieść tak, że większość Boerów wolała zrzec się tego odszkodowania, zakrawającego na szyderstwo.

Równocześnie jednak uznali, że kolonia angielska stała się dla nich niemożliwem miejscem pobytu. Dodać należy, że codziennie zdarzały się rozmaite inne niesprawiedliwości, między innemi następująca: Boerowie zawarli umowę z żołnierzami angielskimi, aby wspólnie ścigać plemiona kafryjskie, które uprowadzały ich trzody; rzeczywiście, udało się im zagarnąć dobytek Kafrów, ale wtedy zaszła kolizya między nimi i jenerałami angielskimi, którzy zatrzymali zdobycz [illegible] pod tym pozorem, że jest to łup wojenny. Wobec tego Boerowie nie mogli odebrać należnej im części zdobyczy, zanim administracya nie odtrąciła kosztów wyprawy wojennej.

Podobne zdzierstwo tem silniej dotknęło wszystkich Boerów, że według ich dawnej tradycyi pasterskiej każde dziecko już w latach najmłodszych otrzymywało pewną ilość owiec, wołów lub koni, które musiało pielęgnować i do których się przywiązywało wyjątkowo silnie. Łatwo więc pojąć, jak silną nienawiść w duszach starych i młodych Boerów obudziła myśl, że te ich dary święte zostały włączone do „łupów wojennych," które po większej części miały się stać nagrodą „czerwonych kurtek."

Takie więc powody skłoniły moich rodziców do

porzucenia siedzib ojczystych i wyemigrowania do dzikich i nieznanych krain Północy. Zabrali całą służbę z fermy (20 osób), około 30,000 baranów afrykańskich, około 100 koni i wołów; znaczną część tego dobytku otrzymali wzamian za porzucone dobra nieruchome.

W maju 1835 r. przeprawiliśmy się przez rzekę Oranje. Tam ojciec mój sprzedał jakiemuś rzeźnikowi 3,000 baranów po 1 dikketon'ie za sztukę (dawna moneta, odpowiadająca wartości około 3 franków); poczem udaliśmy się w dalszą drogę ku brzegom rzeki Caledonu, gdzie zatrzymaliśmy się nieco dłużej.

Podczas tych popasów musiałem pilnować trzód i trzymać je w gromadzie [1]). Było to zadanie wspólne wszystkim dzieciom „trekkerów," ponieważ służba czarna, do której należała opieka nad bydłem Boerów, nie zgodziła się na opuszczenie Ziemi Przylądkowej.

Inni Burgerowie, emigrujący wraz z nami, zatrzymali się również nad rzeką Caledonem. Ale większość trekerów przybyła zaledwie w roku następnym (1836) pod przewodnictwem Henryka Potgietera, który zgromadził dokoła siebie wszystkich Boerów, rozłożonych obozem po całym kraju. Zgromadzenie to utworzyło rodzaj sejmu albo zebrania,

---

[1]) Z tego powodu przytaczamy ładną anegdotę, której autentyczność nie ulega wątpliwości. Pewien lord angielski uzyskał audyencyę u prezydenta, ale osoba, która go miała przedstawić, zdawała się nie zwracać należytej uwagi na liczne jego tytuły; lord więc poprosił, aby wobec prezydenta wszystkie te tytuły urzędowe wymieniono jeden po drugim. Krüger słuchał z początku cierpliwie w głębokiem milczeniu, ale widząc, że wyliczanie nie ma końca, zwrócił się do urzędnika, który wprowadził lorda, mówiąc: „Powiedz pan temu panu, że jestem synem chłopa i że niegdyś pasałem trzody." Autentyczność tych słów potwierdza gorzelnik ze Zwartcopu (około Pretoryi), który przedstawiał Krügerowi lorda angielskiego.

uchwaliło ono konstytucyę, a przynajmniej zbiór praw treściwych, które miały zjednoczyć wszystkich trekkerów i którym oni mieli podlegać. Prawem najwyższem było, ma się rozumieć, słowo Boże. Godność komendanta—najwyższa, którą ustanowiono—nadana została Potgieterowi. Pomiędzy obowiązkami, nałożonemi na wszystkich obywateli bez wyjątku, zasługuje na uwagę prawo, zabraniające trekkerom używania siły celem przywłaszczenia sobie chociażby najmniejszej cząstki ziemi na terytoryum Kafrów i zakaz niewolnictwa.

Po zamknięciu sejmu udano się w dalszą drogę do ziem. leżących po za Oranje; nie wyrządzano najmniejszej krzywdy nawet najsłabszym plemionom, zamieszkującym te kraje. Większa część trekkerów zamierzała osiedlić się na ziemi, ograniczonej rzekami Vet i Vaalem; w tym celu wymienili swe bydło na pola nieuprawne, należące do różnych władców czarnych.

Zaledwie jednak pierwsi emigranci, rozproszeni na małe oddziały, przybyli nad rzekę Vaal i chcieli się tam rozłożyć obozem, zostali napadnięci niespodziewanie i bez najmniejszego powodu przez wodza Zulusów. Selikatsa [1]), który panował wtedy nad całą przestrzenią ziem, położonych na zachód od gór Smoczych i Lebombo, to jest nad wszystkiemi plemionami Matabelów, zamieszkującemi te ziemie. Selikats traktował swych poddanych, jak psów, których nazwę im nadawał. Gdy stado sępów siadało w pobliżu jego kraalu, rozkazywał zarzynać starców obojej płci i kawałkami rzucał ich zwłoki na pożarcie ptakom drapieżnym, które nazywał swemi dziećmi. Krótko mówiąc, był on postrachem wszystkich czarnych w okolicy.

Otóż ten Selikats, dowiedziawszy się, że ludzie biali, idący z południa, przygotowywali się do zagarnięcia jego posiadłości, wysłał przeciwko nim kilka tysięcy wojowników z rozkazem wytępienia przybyszów. Konwój trekkerów, rozproszony na dosyć znacznej przestrzeni wzdłuż wybrzeży rzek Rhinoceros (Nosorożca) i Vaalu w celu wyszukania lepszych pastwisk, nie zdążył zgromadzić się razem dla wspólnego odparcia napadu i został rozbity do szczętu.

[1]) Nazywają go także „Moselikats,“ „Selkats“ i „Moslekats.“

W przeciągu kilku dni następnych Matabelowie święcili uroczyście swoje zwycięztwo i uprowadzili w góry, do miejsc bezpiecznych, trzody zdobyte na Boerach, następnie, zgromadziwszy znaczne siły, uderzyli znowu na trekkerów pod Wechtkop w Oranje. Ale ci, pod dowództwem Sarela Telliers'a, oszańcowali się mocno szeregiem wozów, ustawionych parami; było ich zaledwie trzydziestu, a mimo to odparli Zulusów, zadając im klęskę poważną. Dodać należy, że kobiety i dzieci Boerów przyczyniły się również do tego zwycięztwa, pomagając wojownikom wedle swej możności. Kobiety lały kule, nabijały strzelby, a niektóre nawet strzelały, wywiązując się wyśmienicie ze swego zadania.

Zulusi starali się powetować swoje straty, zagarniając wszystkie trzody, błąkające się w okolicach obozu Boerów. Porwali nawet z pół tuzina dzieci białych, o których nigdy już więcej nie słyszano.

Niedługo się jednak cieszyli swem zwycięztwem, ponieważ główne siły trekkerów, dowodzone przez Potgietera, rzuciły się za nimi w pogoń; utarczka nastąpiła około rzeki Marico. „Bóg był po stronie Boerów i dał im zwycięztwo. Ścigali wroga aż do najdalszych jego kryjówek, następnie zawładnęli krajem drogą legalną. Odebrali również część swoich trzód i wrócili do swego obozu *(laageru)*, żałując wszelako, że nie mogli ukarać samego Selikatsa.

Boerowie zaczęli się troszczyć o przyszłość kraju, który zwolna obejmowali w posiadanie, niektórzy nawet myśleli o zdobyciu dostępu do morza i zawiązaniu stosunków z narodami zamorskiemi. W tym

celu pewna część osiedliła się w Natalu, gdzie, dążąc do rozszerzenia zdobyczy terytoryalnych, starała się drogą układów zająć port Durban. Projekt ten jednakże upadł.

W tym samym czasie w Natalu trekkerów spotkała nowa i ciężka klęska: zabójstwo Pieta Retiefa i jego towarzyszów, wciągniętych w zasadzkę przez czarnego wodza Dingaana. Ten wypadek bolesny rozwiał nadzieje emigrantów, osiedlonych w okolicy. Znaczna ich część, a w tej liczbie i mój ojciec, wróciła do ziem, objętych dzisiejszemi granicami Oranje i Transwaalu. Rodzice moi osiedlili się u stóp Liebenbergu, w dzisiejszym Wolnym Stanie, miejscowości wsławionej operacyami wojennemi Kitchenera przeciw Dewetowi.

W r. 1839 inny oddział Boerów przeszedł rzekę Vaal, chcąc raz jeszcze dać nauczkę Selikatsowi, który stale rabował i pustoszył ziemie zajęte przez nas. Po przybyciu do Wonderfontein (w dzisiejszym obwodzie Potchefstroom) Potgieter oszańcował obóz wagonami [1]) (wozami) i na czele oddziału kawaleryi rzucił się w pogoń za Selikatsem, który uciekał przed nami. Kraj cały zniszczono mieczem i ogniem. Pod Büffelshoeck, leżącym w górach Magalie, nad rzeką Olifantan Potgieter spotkał się z Magato, wodzem czarnych, tym samym, który się osiedlił w okolicach Rustenburga i o którym w przyszłości nieraz mówić będziemy.

Na zapytanie Potgietera, gdzie się znajduje Selikats, Magato oświadczył, że straszny Zulus przeszedł właśnie rzekę Krokodylową, a on pod osłoną nocy uszedł z nielicznym orszakiem w góry, gdzie się ukrywa przed bandami, które Selikats pozostawił w swem mieście czarnem. Wyprawa była chybiona.

[1]) Wszyscy Boerowie posiadają jeden lub więcej wagonów, nakrytych płótnem, ciągnionych przez woły lub konie i służących za zwykły środek lokomocyi.

Selikats wymykał się raz jeszcze, a miasto czarne, świetnie ufortyfikowane było w obecnej chwili niemożebne do zdobycia. Oddział wrócił więc do kwater, rozłożonych nad Vaalem. Ale z początkiem roku następnego (1840) Potgieter na czele innego oddziału urządził nową wyprawę, w której także wziąłem udział; tym razem wyruszył wprost na miasto Zulusów, które zdobył szturmem. Czarni zostali rozproszeni. W Kraalu ich znaleziono mnóstwo przedmiotów, należących niegdyś do trekkerów, wymordowanych przez Selikatsa.

Podczas tej wyprawy Potgieter dowiedział się od wodza Mamagali, że nowe bandy Selikatsa ukazały się w obwodzie Waterbergu. Marszem forsownym powiódł tam swe wojska, a ujrzawszy na brzegach Vaalu obóz Kafrów, rozpoczął bitwę natychmiast. Zaraz jednak przy pierwszem starciu się poznał swoją omyłkę. Mieliśmy przed sobą nie Zulusów, lecz Kafrów czerwonych (Rooi), których obawa tylko skłoniła do połączenia się z hordami Selikatsa. Widząc swój błąd, Potgieter natychmiast zaprzestał bitwy. Mamagali, będący powodem tej pomyłki, został uwięziony, stawiony przed sądem wojennym i skazany na sześć miesięcy więzienia. Niewątpliwie byłby poniósł karę cięższą, gdyby na swoją obronę nie przytoczył tego faktu, że widząc zawsze na polu bitwy Kafrów czerwonych obok Selikatsa, wziął ich z łatwością za Zulusów.

Emigranci mieli znów ojczyznę i nareszcie zaczęli korzystać ze względnego bezpieczeństwa. Życie bez jutra, pełne trosk i bojów, jakie dotąd było ich udziałem, zaczynało im już ciężyć. Wzdychali do spokoju, do życia systematycznego, któreby im pozwoliło zająć się wychowaniem dzieci, posyłaniem ich do szkoły i kościoła, co było dotąd zupełnie niemożliwem dla tej prostej przyczyny, że nigdzie nie mogli zbudować ani szkoły, ani kościoła. Nie przeszkadzało im to jednak zajmować się dziećmi w miarę swej możno-

ści. Wiedzieli bowiem dobrze, że się znajdują w kraju, gdzie czas stracony nie da się powetować, a powstrzymanie rozwoju młodego pokolenia zachwiaćby mogło egzystencyę i byt całej rasy. Uczono więc każde dziecko czytania i pisania, rozwijając jego umysł w duchu Pisma świętego.

Po każdem jedzeniu, dzieci, siedząc dookoła stołu, odczytywały po kolei jakiś ustęp z Biblii i powtarzały go następnie z pamięci; potem zaś przepisywały pieśni pobożne; zwyczaj ten praktykował się codziennie we wszystkich rodzinach boerskich i chyba tylko jakaś siła wyższa naruszyć mogła ten porządek.

W ten sposób i ojciec mój uczył mnie Historyi Świętej, z której zadawał mi pytania każdego wieczora. Pobierałem również lekcye niektórych przedmiotów od profesora Tielmana Roosa, ale ten mógł prowadzić swe wykłady tylko z przerwami, tak, że koniec końców lekcye moje na ogół nie trwały dłużej nad trzy miesiące. Skoro tylko emigranci zatrzymywali się w jakiejś miejscowości dla dłuższego wypoczynku, budowano niezwłocznie szałas z sitowia i wysokich traw: był to budynek szkolny dla dzieci trekkerów; taką była nasza szkoła od czasu wyjścia z Ziemi Przylądkowej, aż do chwili przybycia w góry Magalii, gdzie się mój ojciec osiedlił.

Kiedy doszedłem do lat szesnastu, uzyskałem prawo, wspólne wszystkim członkom dorosłym naszego narodu, prawo wyboru dwu ferm: jedna posiadała pastwiska, druga zaś przeznaczona była na skład zbiorów. Mieszkałem wtedy w Waterkloof i tam się też w r. 1842 ożeniłem z p. Maryą du Plessies, pochodzącą z okolic południowych Vaalu [1]. Małżeń-

[1]) Pewnego razu podczas podróży do narzeczonej, młody Krüger przybył nad brzeg Vaalu, którego wody wezbrały tak szeroko, iż rzeka zdawała się niemożebną do przebycia. Ale niebezpieczeństwo było dla niego dźwiękiem pustym, gdy szło

stwo zawarte zostało w Potchefstroom, które w tym czasie zaledwie się zaczynało rozwijać [2]).

W roku 1845 po dłuższym i dobrze zasłużonym wypoczynku, wyruszyliśmy ku północy w celu skolonizowania kraju zdobytego. Każdemu z uczestników wyprawy przysądzono jakąś część terytoryum. Już w roku poprzednim udała się do Delagoa Boy komisya, w której brał udział i mój ojciec, dla porozumienia się z Portugalią co do przeprowadzenia granic między dwoma ościennemi krajami; zawarto umowę, według której szczyty gór Lebombo stanowić miały granicę między koloniami portugalskiemi i ziemią emigrantów boerskich.

Ojciec mój i inni członkowie mojej rodziny przyłączyli się do konwoju, do którego należałem jako wice veldkornet. Posuwaliśmy się ku północy, aż do dzisiejszego obwodu Lydenburg, gdzie założyliśmy miasto Ohrigstad. Nie było nam jednak przeznaczonem zatrzymać się w tej okolicy dłużej. Gorączka, choroby dziesiątkujące nasze trzody i tysiąc innych przeciwności skłoniły nas do powrotu do gór Magalii, gdzie się osiedliłem ostatecznie i gdzie, drogą zamiany, nabyłem kilka ferm nowych.

o widzenie kobiety, którą ukochał. Zdjął więc ubranie, przywiązał sobie na plecy i z narażeniem życia puścił konie na fale wzburzone. Szczęściem dla niego, narzeczeństwo nie trwało zbyt długo, nie miał więc sposobności ponowienia swego czynu bohaterskiego.

[2]) Z tego, co Krüger mówi nam o czasowem budowaniu kościołów i szkół, łatwo pojąć, że nie mogło tu być mowy o ślubie kościelnym. Boerowie w tym czasie zmuszeni byli czerpać wszystko z samych siebie, naukę, religię i t. d. Ponieważ wszystkie te warunki powtórzyły się przed ostatnią wojną, zmuszeni byli nieraz sami mianować pastorów lub urzędników cywilnych dla pobłogosławienia lub uprawnienia jakiegoś związku małżeńskiego. Ztąd, niewątpliwie, pochodzi pociąg Boerów, zkądinąd tak religijnych, do ślubów cywilnych.

Rok następny, niestety, miał być dla mnie bardzo opłakanym. Straciłem równocześnie żonę i dziecko, którem mnie ona obdarzyła. Bóg mi zesłał wszelako nową towarzyszkę życia w osobie Geziny Zuzanny Fryderyki Wilhelminy du Plessies. Małżeństwo to dało mi szesnaścioro dzieci: dziewięciu synów i siedem córek. Dzisiaj tylko trzech synów i pięć córek pozostało przy życiu.

Pierwszą troską kolonistów było zdobycie potrzebnych im robotników; w tym celu postanowili użyć krajowców. Nie było to jednak rzeczą łatwą, ponieważ u wszystkich Kafrów, nawet u tych, którzy się garną do pracy, zwykle jedno życzenie przeważa nad innemi, mianowicie chęć oszukania swego pana. Przytem duma ich staje się nieznośną z chwilą, gdy zaczynają myśleć, że posiedli jakąś umiejętność. Ta irytująca właściwość krajowców zmuszała nas do ciągłej walki z ich popędami wrodzonemi. Walka ta, swoją drogą, miała nieraz cechy komiczne.

Przypominam sobie, że kiedyś, około Nowego Roku, posłałem pewnego Kafra, pracującego u mnie na fermie Waterkloof, do mojej matki, mieszkającej w fermie sąsiedniej (ojciec mój umarł około roku 1852), z prośbą o przysłanie mi suszonych winogron. Matka przysłała mi pięć, czy sześć funtów z krótkim bilecikiem, który mi Kafr doręczył sumiennie. Po przeczytaniu bileciku przekonałem się, że Kafr mnie oszukał, ponieważ brakowało przynajmniej połowy winogron. Zapytałem go, jakim prawem ośmielił się spożywać moje zapasy i pokazując mu bilecik, dodałem:

— List ten świadczy, żeś mnie oszukał.

— *Bas* (*bas* oznacza pan)—odparł—list kłamie, nie mógł widzieć, że jadłem winogrona, ponieważ ukryłem go pod dużym kamieniem, a następnie usiadłem za skałą.

Kiedy mu jednak dowiodłem, że list wiedział dokładnie o niecnym jego postępku, przyznał się do winy, chociaż zawsze sprawa nie wydawała mu się zbyt jasną.

Oto drugi rys niemniej zajmujący:

Na fermie w Boeckenhoutfontein, położonej w obwodzie Rustenburskim, miałem Kafra chrześcijanina, imieniem Kwiecień, któremu bardzo ufałem i powierzałem nieraz zarząd tej fermy. Pewnej zimy zmuszony byłem opuścić fermę, ażeby dostawić bydło do Saulspoortu; postanowiłem więc nauczyć swego Kafra pewnego rodzaju pisma ideograficznego, ażeby mógł korespondować ze mną sposobem pierwotnym.

— Chcę cię nauczyć, jak przeczytać list — rzekłem do niego i wziąwszy ćwiartkę papieru, nakreśliłem szereg kresek różnej długości. — Kreski najdłuższe—rzekłem—oznaczają melony, średnie pigwy, a najkrótsze cytryny. Odpowiednio do tego, ile w mym liście znajdziesz kresek długich lub krótkich, tyle mi przyślesz owoców każdego gatunku. Posłańcowi zaś wręczysz list, w którym sam nakreślisz ilość kresek potrzebnych, aby mnie zawiadomić dokładnie, jaką ilość jakiego gatunku owoców posyłasz. List zapieczętujesz starannie.

Kafr był niezmiernie dumnym z nowej wiedzy, którą zdawało mu się, że posiadł. Od tej chwili uważał siebie za coś nieskończenie wyższego od swych współbraci. Nie miałem nawet potrzeby zalecać mu tajemnicy co do owej umówionej korespondencyi; nie byłby się zdradził za żadne skarby świata.

Nastąpiła chwila, że mogłem wreszcie wypróbować jego inteligencyę. Posłałem do niego z Saulspoortu dwu czarnych posłańców, do których rzekłem:

— Oddajcie ten list Kwietniowi, on zaś wręczy wam to, o czem jest mowa w tem piśmie.

Gdy wrócili z listem od Kwietnia rzekłem:

— Dajcie mi list, napisany przez Kwietnia, ażebym mógł sprawdzić, czyście mnie nie oszukali.

Posłańcy oniemieli ze zdumienia; i od tej chwili

wiedza Kwietnia obudzała w nich podziw i zazdrość. W promieniu kilkumilowym Kafrowie rozprawiali o tym zdumiewającym Kwietniu, który tak nagle nauczył się sztuki pisania i czytania.

W owym czasie w naszym kraju nie było jeszcze wcale misyonarzy, ale służbę czarną odwiedzał często Kafr chrześcijanin, imieniem Dawid, który się starał zaszczepić w nich pewne pojęcia religijne. Otóż kiedy ten Dawid przybył do Kafrów, zamieszkałych w mojej okolicy, i chciał ich nauczyć czytania Biblii, Kafrowie odmówili stanowczo, twierdząc uparcie:

— Pocóż mamy się najpierw uczyć czytać z tej książki, a później mordować się pisaniem tego, cośmy się już nauczyli przeczytać, skoro Kafr Pawła Krügera umie czytać i pisać, nie wiedząc nic o twej książce i nigdy się niczego nie ucząc?

Dawid przyszedł natychmiast do mnie i opowiedział mi o napotkanych trudnościach; zmuszony więc byłem odkryć mu swoją tajemnicę, aby mógł odnieść tryumf nad złą wolą katechumenów. Kwiecień nie przebaczył mi nigdy tego braku dyskrecyi, od owego czasu bowiem obniżył się znacznie podziw jego współtowarzyszów.

Od pierwszych lat naszej kolonizacyi, a nawet już w epoce wielkiego Treku, narzucił się nam obowiązek oczyszczenia krajów zdobytych od zwierząt drapieżnych, które dotąd bezkarnie panowały nad Veldem, na równi z dzikiemi plemionami autochtonów. Nie było dnia, aby trzody nasze nie były narażone na napady tych smutnej pamięci sąsiadów i ponosiliśmy znaczne straty z powodu ich łupieztwa. Interes więc osobisty nakazywał każdemu Boerowi uczestniczyć, w miarę siły i możności, w tej misyi, obchodzącej cały ogół; młode pokolenie zaś, oddające się myśliwstwu dla przyjemności i z upodobania do przygód uważało za punkt honoru, aby kraj jaknajszybciej uczynić mieszkalnym.

Przygody myśliwskie.

Trudno mi jest oczywiście określić dziś liczbę dzikich zwierząt, które padły z mej ręki. Było ich zbyt wiele, szczególniej, jeżeli mówimy o lwach, bawołach, antylopach i różnych drapieżcach; zresztą przeszło od lat pięćdziesięciu nie brałem udziału w żadnej wyprawie łowieckiej, tak, że mnóstwo epizodów ulotniło się już z mojej pamięci. W przybliżeniu zabiłem od trzydziestu do czterdziestu słoni i pięć hippopotamów; więcej niż pięć słoni sam zabiłem, bez niczyjej pomocy. Przeważnie udawałem się na polowanie na dobrych koniach i z jednym tylko towarzyszem.

Wybierając się na większe wyprawy, kazałem zwykle, aby szły za mną dwa lub trzy wozy ubogich włościan, którym oddawałem zabite zwierzęta.

Mój pierwszy lew.

W roku 1839 zabiłem pierwszego lwa. Miałem wtedy lat 14. Trzody moje pasły się na brzegach rzeki Nosorożca, w państwie wolnem, kiedy lew zaczął dziesiątkować nasze bydło. Sześciu z pomiędzy nas udało się konno na poszukiwanie nieprzyjaciela; ja byłem właściwie siódmym, ale mnie wówczas jeszcze nie rachowano. Podzieliliśmy się na dwie grupy; trzech jechało na czele, a druga grupa posuwała się

w znacznej odległości za pierwszą. Gdy spotkaliśmy lwa już on nas był dostrzegł i gotował się do napaści.

Trzej starsi myśliwi, którym towarzyszyłem: mój ojciec, mój stryj i mój brat szybko powiązali wszystkie konie ze sobą, obróciwszy je wpierw w tę stronę, z której nie mogły widzieć lwa—jest to zwykła ostrożność, zachowywana zawsze w podobnych wypadkach: widok lwa przestrasza konie, pobudzając je do ucieczki.

Wszyscy starsi myśliwi zajęli swoje stanowiska. Ja usiadłem po za końmi, t. j. naprzeciwko lwa, z karabinem na ramieniu, w oczekiwaniu chwili, kiedy można będzie dać ognia. Zwierzę zbliżyło się do mnie na nieznaczną odległość i przycupnęło do ziemi, gotując się do skoku; według wszelkiego prawdopodobieństwa celem jego napadu miały być nasze konie. Wystrzeliłem w chwili, gdy się miał rzucić i byłem o tyle szczęśliwym, że go zraniłem śmiertelnie. Ciało jego omal że nie zwaliło się na mnie. Towarzysze moi przybiegli na pomoc, ale ich interwencya była już zbyteczną. Lew, olbrzymiego wzrostu, przedstawiał już tylko martwe ciało bez życia.

Wystrzał zwrócił na nas uwagę trzech innych myśliwych. Wszyscy sześciu zgromadzili się dokoła lwa i roztrząsali świeżo zaszły wypadek. Niejaki Hugo nawet ukląkł i pochylił się nad zwierzęciem, chcąc zmierzyć jego zęby wyjątkowej długości. Ja się też zbliżyłem i przez nieuwagę nastąpiłem na brzuch zwierzęcia, który wydał natychmiast ryk tak straszliwy, że Hugo przerażony upadł na wznak. Inni myśliwi pokładali się ze śmiechu; każdy bowiem z nas wie doskonale, że gdy się przyciśnie brzuch lwa nieżywego, wkrótce po jego zabiciu, rozlega się ryk podobny do tego, jaki wydaje lew żywy. Ryk ten sztuczny wywołuje powietrze zawarte we wnętrznościach lwa i przeciskające się przez jego paszczę wskutek silnego nacisku. Hugo, naturalnie, wiedział również o tej właściwości, ale na razie zapomniał o niej i teraz wstydził się mocno swej trwogi. Z wściekłością rzucił się na mnie, chcąc mnie uderzyć, ale inni myśliwi mu przeszkodzili, tłómacząc, że powodem mego postępku był brak doświadczenia, a nie żart złośliwy.

Inne spotkania z lwami.

Drugiego lwa zabiłem po za obrębem gór Magalie.

Stryj mój, Thennis Krüger i ja, ścigaliśmy razem stado antylop. Koń mój był słabszy, pozostałem więc nieco z tyłu. Posuwałem się naprzód wolnym krokiem, zagłębiony w swych myślach, gdy nagle podniósłszy głowę, ujrzałem przed sobą stado lwów. Nie można było nawet marzyć o ucieczce na koniu znużonym.

Wtem jeden z lwów oddzielił się od całej gromady i skierował się ku mnie. Pozwoliłem mu zbliżyć się na kroków dwadzieścia i wymierzyłem w samą głowę. Kula przeszyła go, prawdopodobnie na wylot, upadł bowiem natychmiast; próbował się jednak podnieść i przyczołgać do swoich, podczas gdy ja znów nabijałem strzelbę. Prawie zaraz jednak upadł ponownie. Był już martwy. Ośmielony tem powodzeniem chciałem uderzyć na resztę stada, ale daremnie. Zwierzęta uciekły w góry, gdzie ich, naturalnie, ścigać nie mogłem.

W kilka lat później, w tych samych stronach spotkałem się ze lwami, które kradły nam bydło. Na

nasz widok uciekły, chroniąc się w góry. Tym razem jednak zacząłem je ścigać i udało mi się zabić aż dwu; towarzysze jednak moi, mniej zręczni, wrócili z niczem.

Piątego lwa zastrzeliłem w obwodzie Lydenburg, koło rzeki Olifant. Tym razem miałem ze sobą doskonałego psa do polowania, szedł za mną wszędzie i odszukiwał ślady dzikich zwierząt, aż do ich kryjówek. Gdy wytropił lwa, upadł wystając i zaczął szczekać gwałtownie, lew zaś, ze swej strony ryczał z wściekłością. Gdy pies mnie spostrzegł usunął się natychmiast, aby nie krępować mych ruchów. Lew chciał się rzucić na mnie, ale w chwili gdy się przygotowywał do skoku pies pochwycił go z tyłu, tak, że mnie nie trudno już było zadać mu cios śmiertelny. Był to piąty lew, którego zabiłem bez pomocy niczyjej. Podczas wypraw zbiorowych zabiłem wiele innych.

Pod rogiem nosorożca.

Pierwszego nosorożca zabiłem w ciągu wojny z Selikatsem, podczas jednego z konnych rekonesansów. Mój stryj, Thennis Krüger, pozwolił mi strzelać pierwszemu i byłem tak szczęśliwy, że położyłem zwierzę pierwszym wystrzałem z fuzyi.

Drugie polowanie na nosorożca, przedsięwzięte z mym szwagrem Theunissenem, wiernym towarzyszem wypraw myśliwskich, upamiętniło się perypetyami prawie tragicznemi. Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że między nami istniała umowa przestrzegana surowo, że każdy z nas miał prawo wygrzmocić drugiego, wrazie popełnienia jakiejś nieostrożności zgu-

bnej, albo tchórzostwa, któreby pozwoliło umknąć ranionemu zwierzęciu. Nieszczęście chciało, że tego poranku zepsuła się moja strzelba, której używałem zwykle. Musiałem wziąć inną, dubeltówkę z bardzo ograniczoną siłą rzutu. Wiedziałem więc, że wystrzał z tej broni nie wyrządzi szkody nosorożcowi, o ile mi się nie uda trafić w jakieś miejsce pokryte mniej grubą skórą.

Bardzo prędko spotkaliśmy trzy nosorożce, jednego samca i dwie samice z gatunku Zwartharnoster, jednego z najniebezpieczniejszych. Ściganie samic pozostawiłem Theunissenowi, polecając mu nie tracić ich z oczu, a sam zająłem się samcem. W minutę byłem już obok mego nosorożca. Zeskoczyłem na ziemię, wybierając takie miejsce, ażeby zwierzę było zmuszone przejść koło mnie w odległości przynajmniej dziesięciu kroków, i ażebym w ten sposób mógł je trafić w miejsce najczulsze. Tak się też stało: pierwszy mój strzał okazał się śmiertelnym.

Wskoczyłem natychmiast na siodło, pędząc w kierunku, zkąd mnie dochodziły wystrzały Theunissena, ponieważ umówiliśmy się, że on wystrzeli od czasu do czasu dla wskazania mi swej pozycyi, wysokie bowiem trawy ograniczały pole widzenia.

W galopie nabiłem strzelbę. W chwili gdy się złączyłem z Theunissenem wpakowywał on drugi nabój jednej z samic. Ta się zatrzymała na miejscu, ale druga tymczasem zaczęła uciekać. Popędziłem za nią. Mijając Theunissena usłyszałem jego wołanie: nie zsiadaj z konia, nie wróże nic dobrego z wściekłości zwierzęcia.

Znając przesadzoną ostrożność swego towarzysza nie zwróciłem uwagi na jego radę i zeskakując z konia pobiegłem na spotkanie nosorożca. Jak tylko mnie spostrzegł, zwrócił się ku mnie natychmiast

i natarł niespodziewanie. Pozwoliłem mu zbliżyć się na odległość trzech lub czterech metrów i pociągnąłem za cyngiel, ale piston spalił na panewce.

Było już zapóźno strzelać po raz drugi.

Zwierzę zbliżało się ku mnie i chcąc nie chcąc musiałem szukać ratunku w ucieczce. Nieszczęściem jednak zaplątałem się w gęstwinie cierni, potknąłem się i upadłem twarzą o ziemię. W tej samej chwili na plecach swych uczułem róg nosorożca; nosem swym przycisnął mnie do ziemi i miał mnie już zdeptać nogami, ale ostatnim wysiłkiem udało mi się odwrócić ku niemu i wpakować mu kulę w serce, pomimo bowiem grożącego niebezpieczeństwa nie porzuciłem strzelby.

Podskoczył jeszcze, ale zaraz upadł martwy o kilka metrów odemnie.

Theunissen nadbiegł w tej samej chwili, przekonany, że broń moja wypaliła podczas walki, że się zraniłem, może nawet śmiertelnie; widząc jednak, że podniosłem się z ziemi nietknięty, pochwycił swój sjambok (bicz do popędzania wołów), i przypominając naszą umowę, rzucił się na mnie z całym rozmachem, chcąc wymierzyć karę za moje zuchwalstwo i lekceważenie jego rady.

Daremnie broniłem swej sprawy, zapewniając go o swej dobrej wierze i nawet zwracając jego uwagę na to, że byłem już dostatecznie poturbowany przez zwierza, mam więc prawo do uwolnienia się od kary; wszystko było daremnem, tylko usuwając się za krzak cierni mogłem się uchronić od jego razów. Była to zresztą pierwsza i ostatnia sposobność wybicia mnie; inna mu się nie nadarzyła.

Polowanie na bawoły.

W bagnie, leżącem w pobliżu miejscowości, gdzie zabiłem pierwsze słonie, zastrzeliłem pierwszego bawoła. Wskazano nam pasące się w dolinie stado bawołów, które się zwolna posuwało w górę rzeki. Stanąłem na czele małego oddziału myśliwych i wyruszyliśmy na obławę. Zaledwie jednak postawiłem nogę na ziemi, zostałem napadnięty przez samicę, która się odłączyła od reszty stada i galopem pędziła ku mnie. Wystrzeliłem do niej ze znacznej odległości i trafiłem w skazę na łopatce. Kula nie powstrzymała rozpędu bawolicy, przewróciła mnie bowiem i przeszła przezemnie, nie depcąc mnie jednak wcale. Otoczyliśmy ją później w bagnie, gdzie się schroniła i zabiliśmy.

Inną zupełnie przygodę miałem z bawołem na brzegu rzeki Bierkraal. Urządziliśmy w sześciu polowanie na te zwierzęta w dżunglach, wysokich na cztery lub pięć metrów. Na los szczęścia poszedłem sam jeden na zwiady. Dzięki gęstej trawie minąłem jedno stado, nie zauważywszy go wcale, następnie wpadłem niespodziewanie na drugie, które, prawdopodobnie, nie dbało o to, że może być wytrącone ze zwykłego spokoju, gdyż jedno ze zwierząt natychmiast wytoczyło mi proces. Na moje szczęście rogi jego umieszczone były tak daleko od siebie, że za każdem uderzeniem wymierzanem przeciwko mnie, zaplątywały się w gałęziach drzew i w lianach, co nietylko osłabiało uderzenie, ale skrywało mnie co chwila przed okiem zwierza. Jednakże musiałem rozpocząć odwrót, który omal co nie skończył się dla mnie tragicznie: ba-

wolica bowiem przywiodła mnie tuż do stada, którego nie zauważyłem poprzednio i wpadłem wprost na jakiegoś bawoła; niespodziewane moje zjawienie się przerwało prawdopodobnie jego rozmyślania, tak przynajmniej wnioskować mogłem z mistrzowskiego wierzgnięcia, któremi mnie obdarzył. W rezultacie jednak udało mu się rozerwać tylko moją kurtkę od góry do dołu. Towarzysze moi, którzy się zatrzymali w pewnej odległości, widzieli nogę zwierzęcia, a myśleli, że widzą rogi — tak wysoko podrzucił ją bawół. Co do mnie zresztą wszystko się skończyło na strachu.

Pojedynek epiczny.

Drugie spotkanie z bawołem, również bardzo niemiłe, miałem w Vleeschkraal, w obwodzie Waterbergu, gdzie zawsze polowałem ze swoim szwagrem. Wystrzeliłem do samicy, która się ukryła w gęstwie krzaków kolących. Nie mogłem tam dotrzeć na koniu, oddałem więc mego wierzchowca szwagrowi i pobiegłem śladem bawołu, obawiając się stracić go z oczu. Ale kiedy mi się zdawało, że ścigam zwierza, on, ukryty chwilowo w trawach wysokich, skręcił nagle i stanął przedemną. Chciałem wystrzelić, lecz nie mogłem zdążyć, bo miałem strzelbę z krzesiwem. Musiałem się zatem cofać. Czując, że zwierzę następuje mi prawie na pięty zrobiłem kilka skoków szybkich i nagle upadłem w sam środek bagna, którego pierwej nie zauważyłem wcale. Bawół rzucił się za mną. Położenie moje stało się bardzo krytyczne, nie mogłem bowiem nawet marzyć o użyciu strzelby, która wpadła w wodę. Bawół uderzył na mnie z taką gwałtownością, że jeden z jego rogów ugrzązł w gęstem

błocie. Schwyciłem za drugi róg i starałem się zanurzyć głowę zwierza w wodzie, aby go w ten sposób udusić. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż róg, lepki od błota, wyślizgiwał mi się z rąk. Musiałem go trzymać obiema rękami i wpychając równocześnie w błoto głowę olbrzyma z całą siłą energii, którą mi dawało moje położenie rozpaczliwe. Czując, że siły moje słabną, schwyciłem jedną ręką za nóż myśliwski, zawieszony zawsze u pasa. Na nieszczęście jednak druga moja ręka była zbyt słabą, aby utrzymać zwierzę i wkrótce groźna głowa ukazała się nad powierzchnią wody, ale w jak opłakanym stanie! Przeciwnik mój ślinił się, napół uduszony i oślepiony błotem, wypełniającym jego oczodoły. Jednym skokiem wydostałem się z wody i ukryłem się w gąszczu sąsiednim, podczas gdy zwierzę umykało w kierunku przeciwnym. Skoro tylko znikło mi z oczu pośpieszyłem uratować moją strzelbę. Okryty błotem i mułem miałem również smętny wygląd, jak i mój bawół. Thennissen słyszał wybornie szmer walki, ale nie mógł mi przyjść z pomocą, ponieważ przebycie tej gęstwy na koniu było rzeczą wprost niemożliwą. Umyłem się naprędce i pośpieszyłem zaraz w pogoń za resztą stada; poszczęściło mi się tym razem dobrze, zabiłem bowiem jednego bawoła.

Polowania na słonia.

Pierwsze moje spotkanie ze słoniami, spotkanie, które się zresztą obeszło bez rozlewu krwi, odnosi się do czasu wyprawy przeciwko Selikatsowi, który niedawno przedtem napadł na nas niespodziewanie i wymordował pewną liczbę naszych.

Z Wonderfonteinu, gdzie stały nasze konwoje, posłano mnie z silnym patrolem do rozpoznania pozycyi nieprzyjacielskiej. Przy brodzie rzeki Olifant wpadliśmy na duże stado słoni, które właśnie przebywało ten bród. Ojciec mój poszedł za nimi, ale komendant Potgieter nie pozwolił mu strzelać, z obawy zwrócenia uwagi nieprzyjaciela, który mógł się znajdować w pobliżu. Na ten raz wszystko się na tem skończyło, ale wkrótce znów spotkałem słonia, który omal co nie pozbawił mnie życia.

Adryan van Rensburg i ja wyruszyliśmy w dżungle dla upolowania gruboskórców. Jadąc na rumaku ognistym wyprzedziłem nieco swego towarzysza. Nagle ujrzeliśmy przed sobą całą rodzinę słoni. Popędziłem galopem, nie troszcząc się wcale o Rensburga. Chciałem przedewszystkiem uspokoić mego konia, który inaczej nie byłby mi pozwolił wystrzelić. W tym pośpiechu gwałtownym nie zauważyłem wcale, że w chwili gdy zeskakiwałem na ziemię, jeden ze słoni odłączył się od stada w zamiarze oczywistym napadnięcia na mnie z tyłu. Ale van Rensburg, który widział wszystko, zaczął krzyczeć z całej siły, chcąc mnie ostrzedz o grożącem niebezpieczeństwie. Wtedy to obróciłem się i spostrzegłem, że wysokie trawy poruszają się, dając przejście olbrzymiemu zwierzęciu. Pierwszą moją myślą było wskoczyć na siodło, ale było już zapóźno; przeszkodziły mi krzewy stratowane przez nieprzyjaciela. Puściłem konia, którego dotąd trzymałem za trenzlę i zacząłem uciekać, ścigany przez słonia, który z wściekłem rżeniem przecinał trąbą powietrze, nie mogąc mnie jednak dosięgnąć. Śmiało mogę powiedzieć, że w tym wypadku zawdzięczałem moje wybawienie tylko zręczności, która pozwoliła mi wyprzedzać nieprzyjaciela, a przynajmniej utrzymywać się zawsze na takiej odległości, żeby jego uderzenia nie mogły mnie dosięgnąć.

Towarzyszący nam Kafrowie zatrzymali się o jakie sto metrów przed nami. Skoro tylko zrozumieli, co się dzieje, wzięli nogi za pas, zmykając w tym samym kierunku, co i ja. Przyszło mi wtedy na myśl, że najlepiej jest pochwycić jednego z Kafrów, oczywiście najmniej zręcznego, ażeby się zmienić z kimś wobec słonia, któryby się w takim razie rzucił na niego, a ja cofając się w bok mógłbym wystrzelić w zwierza, ponieważ nie odrzuciłem swego sztucera. Ale tymczasem słoń zatrzymał się, czy dlatego, że był już zmęczony, czy też ostrożność radziła mu wycofać się z tej gry, w której nie czuł się silniejszym.

W tej samej chwili nadbiegł Rensburg, popuściwszy cugli i nagle stoczył się z koniem w zagłębienie, którego dotąd nie zauważył. Słoń tak się zmieszał tym wypadkiem, że natychmiast zdecydował się na ucieczkę.

— Staraj się pojmać mego konia — rzekłem do Rensburga, który już znów był na siodle—i przyprowadź mi go tutaj, ja zaś pójdę śladem stada, aby go nie stracić z oczu, zanim ty powrócisz.

Za samicą, która mnie ścigała, podążało młode słoniątko. Pobiegłem za niem, chcąc odnaleźć matkę; słoniątko widząc, że jest ścigane, zaczęło wydawać krzyki żałośne, które skłoniły matkę do zwrócenia się z obranej drogi. Spostrzegła mnie w chwili, gdy się rzuciłem w gąszcz leśny, dokąd chciałem zwabić młode. Spotkałem tam Rensburga, który przyprowadzał mego konia, wołając zdaleka:

— Uchodźmy ztąd, bo tu pełno much *tsé-tsé*.

Odparłem:

— Rób jak chcesz, ja zostaję, bo muszę mieć odwet.

Nie mogłem wprawdzie odnaleźć ani samicy, ani jej małego, nasyciłem jednak swą zemstę zabija-

jąc dwa inne słonie, które spotkałem w kilka chwil później.

Ale mój „Tempus", koń wielkiej wartości, przypłacił życiem te świetne czyny; pocięty przez muchy jadowite, bardzo prędko dostał suchot i padł na początku pory deszczowej.

Wierność psa.

Podczas wielkiego polowania na słonie miałem sposobność ocenić stopień poświęcenia, do jakiego zdolne są psy. Mieliśmy ze sobą całą psiarnię, która z dzikiem szczekaniem obsaczyła wypłoszone przed chwilą stado lwów. Jeden z tych psów trzymał się uparcie o jakie dwadzieścia kroków po za nami i mimo naszych nawoływań nie chciał się wysunąć naprzód. Był on zbyt bojaźliwy, aby się przyłączyć do innych psów, ale zbyt wierny, ażeby nas opuścić. Wtem lwy przybierają nagle postawę zaczepną: cała psiarnia rozprasza się, rozbiegając się na wszystkie strony. Jeden z lwów uderza na nas, a nasz pies bojaźliwy pozostaje na swem stanowisku. Trząsł się co prawda i wył ze strachu, oczekując tylko sygnału ze strony swego pana, aby uciekać z nim razem. Pan jednak nie cofał się wcale i biedny pies dotrzymywał mu placu. Lew był już tylko o dziesięć kroków od nas, kiedy ogień szeregowy położył go trupem na miejscu, tuż przed oczami naszego psa, który mimo swej bojaźliwości, chciał mu jednak stawić czoło. Omal że nie stracił życia ze strachu, ale dał wielki dowód wierności.

W jaki sposób straciłem wielki palec.

Pamiętam również doskonale wyprawę myśliwską z r. 1845-go na północo-wschód kraju, odbytą w towarzystwie mojej żony, moich braci, Donwa i Thennisa i żony Donwa. Zatrzymaliśmy się właśnie na czas jakiś w pobliżu kraalu Sekukumi'ego nad spływem rzek Spekboomu i Steelportu (na północo-zachodzie od Transvaalu). Korzystając z tego wypoczynku, zacząłem trzebić gęste krzaki w nadziei, że mi się uda coś upolować. Byłem na koniu i miałem z sobą sztucer nabity. Po upływie jakiejś godziny wytropiłem wreszcie nosorożca i wystrzeliłem do niego. Nie zabiłem go jednak, a tylko zraniłem. Zwierzę zaczęło uciekać przez las. Zeskoczyłem z konia. ale trzymałem się od niego jakie cztery lub pięć kroków, ażeby każdej chwili módz go znowu dosiąść. W razie gdyby nosorożec zwrócił się ku mnie, nie dając mi czasu na powtórne nabicie broni. Udało mi się wprawdzie wystrzelić po raz drugi, ale strzelbę moją rozerwało właśnie w tem miejscu, gdzie ją podtrzymywałem lewą ręką. Kawałek mego lewego wielkiego palca leżał na ziemi przedemną, razem z kurkiem i lufą, a kolba spadła u mych stóp. Nosorożec zresztą natarł znowu, nie dając mi czasu na opłakanie tego bolesnego wypadku. Jednym skokiem znalazłem się na siodle i spiąłem konia ostrogami; raniony nosorożec pomknął za mną aż do urwistego nadbrzeża małej rzeki, gdzie się potknął; upadek jego nagły uwolnił mnie od prześladowania. Nazajutrz ludzie z naszego obozu poszli wstecz śladem mego konia przez wysokie trawy i przybyli na miejsce wypadku. Ujrzeli tam nosorożca ciężko rannego, ale jeszcze żywego. Znaleźli również szczątki mego sztucera i kawałek palca.

Zbytecznem chyba dodawać, że ręka moja była w stanie opłakanym. Zwieszała się z ramienia bezwładnie, ukazując przy stawie palca mięso skrwawione; mięśnie i żyły przedstawiały jakąś papkę bezkształtną. Ma się rozumieć spływałem krwią, jak zarzynany baran; byłem jednak tyle przytomnym, że w galopie zawiązałem swą ranę chustką do nosa, żeby nie zawalać krwią sierści mego konia. Żona moja i szwagierka siedziały przed płomieniem ognia obok wyprzężonego wozu; nie chcąc ich przerażać, zbliżyłem się z uśmiechem na ustach.

— Cóż to za zwierzynę nam przynosisz? — zawołała szwagierka, wskazując palcem na moją rękę, obwiniętą w chustkę, zbroczoną krwią; ręka istotnie wyglądała, jak kawał surowego mięsa.

Zwróciłem się do żony, prosząc ją, żeby przyniosła to wszystko, co jest potrzebne do opatrunku mojej ręki lekko zranionej. Kiedy się już skierowała do wozu, poprosiłem szwagierkę o zdjęcie bandaża prowizorycznego; widząc mój palec zdruzgotany, zbladła śmiertelnie; ja zaś byłem tak blady, jakgdybym już nie miał krwi w żyłach. Zacząłem przykładać kompresy z terpentyny (mojem zdaniem jest to najlepszy środek na wypalenie rany i zatrzymanie upływu krwi), następnie posłałem młodszego brata — w owym czasie był on jeszcze istotnie bardzo młody — do sąsiedniego obozu po nowy zapas tego balsamu cudownego. Powrócił w towarzystwie Hermana Potgietera — tego samego, który później został tak okrutnie zamordowany przez Kafrów — i jego brata. Obaj, dowiedziawszy się o wypadku, którego padłem ofiarą, przybyli co prędzej.

Na widok mej ręki okaleczonej Potgieter wykrzyknął z przerażeniem:

— Nie, ta rana jest zbyt straszna, nie da się zagoić nigdy!

I omal co nie zemdlał.

Ale brat jego, prawdopodobnie chcąc mnie uspokoić, oświadczył:

— Ba, widziałem rany jeszcze straszniejsze, które wyleczyła terpentyna!

Kazaliśmy zaprzęgać, chcąc wrócić co prędzej do obozu, gdzie ludzie doświadczeni poradzili mi wezwać natychmiast lekarza, któryby mi odjął rękę. Ja jednak uważałem, że na to było jeszcze zawcześnie.

Nie miałem zresztą najmniejszej ochoty, ażeby moje mięso krajano w kawałki.

Utraciłem pierwszy staw wielkiego palca i jedyną operacyą, która mi się wydawała potrzebną, było odcięcie kawałka kości, obecnie zupełnie zbytecznego. Wziąłem swój nóż kieszonkowy, chcąc przystąpić natychmiast do tej operacyi, ale wyrwano mi go z ręki. Wkrótce potem udało mi się schwycić inny nóż, zapomocą którego odciąłem mały, zbyteczny już kikut, w tem miejscu, gdzie mi się to wydawało konieczne.

Krew spływała tak obficie, że zupełnie słusznie mogłem się obawiać niebezpieczeństwa krwotoku. Muszę wyznać, że operacya była bardzo bolesna. W braku wszelkich środków znieczulających zmuszony byłem uciec się do autosuggestyi, to jest, starałem się wmówić w siebie, że ręka, którą kraję, nie jest moją.

Leczyłem się bardzo długo. Kobiety przysypywały kikut mączką cukrową, a ja sam nieraz się uciekałem do pomocy noża, aby oczyścić ranę, usunąć krew, przelewającą się obficie i mięso gnijące. Później, na nieszczęście, przyszła gangrena. Ze wszystkich środków, których próbowałem wtedy, żaden nie okazał się skutecznym.

Na ramieniu, aż do samej łopatki, ukazały się

charakterystyczne, czarno-fioletowe pręgi. Położenie moje było rozpaczliwe. Wtedy zabito gazelę, rozpruto jej brzuch, a ja zanurzyłem swą rękę w dymiących jeszcze wnętrznościach. Środek ten, czysto boerski, zalecony przez jakąś poczciwą kobietę, podziałał tak cudownie, że kiedy powstała kwestya, czy należy poświęcić drugą gazelę, niebezpieczeństwo było już prawie usunięte. Wszelako upłynęło jeszcze najmniej ze sześć miesięcy, nim się moja rana wygoiła zupełnie; nie czekałem jednak aż się zabliźni i urządzałem znowu polowania.

Dodać jeszcze muszę, że cudowną własność wyżej wymienionego środka przypisuję temu faktowi, że wybrzeże urwiste i wyschłe koryto rzeki Spekboom, gdzie się pasą gazele, przedstawiają istny ogród zasiany ziołami i najrozmaitszemi roślinami, używanemi w medycynie

---

ROZDZIAŁ II.

Początki karyery urzędowej.

Już w r. 1842-gim byłem mianowany vice-veldkornetem, ale moja karyera urzędowa zaczyna się właściwie dopiero w r. 1852-gim, t. j. w chwili, kiedy otrzymałem stopień veldkorneta. W tym charakterze towarzyszyłem staremu A. J. Pretoriusowi, wodzowi naczelnemu członków delegacyi, upoważnionej do zawarcia traktatu w Zandriverze.

W tym samym roku wziąłem udział, jako komendant, w wyprawie wojennej przeciw Setchelemu, wodzowi Bakwenów. Ten Setcheli dał u siebie przytułek drugiemu wodzowi Kafrów, Mozelielowi, którego posądzano o liczne morderstwa, popełnione na terytorium Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej. Gdy Boerowie zażądali wydania im zbiega, Setcheli odpowiedział sarkastycznie:

— Jeżeli chcecie mieć Mozeliela, musicie go wyjąć z mego żołądka.

Odpowiedź ta miała oznaczać, że Mozeliel znalazł u niego schronienie równie bezpieczne, jak to, w którem umieszczał swe obiady.

Komendą, wysłaną przeciwko Setchelemu, dowodził pułkownik Scholtz; przyłączono mnie do jego oddziału. Setcheli na widok naszego wojska, wyprawił do nas posła, który nam oznajmił, że dzisiaj, z powodu niedzieli, pan jego nie wyrządzi nam nic złego, ale że od poniedziałku zaczniemy załatwiać nasze rachunki. Równocześnie, jako wynagrodzenie za łaskę, którą nam wyświadczał, pozwalając na święcenie niedzieli, żądał trochę kawy i cukru.

Pułkownik Scholtz, który umiał zaostrzać stosunki, odpowiedział, że nie ma ani kawy, ani cukru na marnowanie, ale że jutro, t. j. w poniedziałek, przyśle mu suszonych śliwek...

Bitwa istotnie rozpoczęła się w poniedziałek rano. Kierowałem pierwszym atakiem i wcale nieźle trafiałem w Kafrów ze swej starej broni, nabitej grubym śrutem. Tymczasem zaszło zdarzenie, które tylko dzięki czystemu przypadkowi nie stało się dla mnie zgubnem. Wzgórze, na którem się znajdował kraal Setchelego, było już w połowie zdobyte, gdy pewien kanonier artyleryi, Louw du Plessis, wycelował tak niezręcznie, że kula armatnia trafiła na skałę i rozprysła się w kawałki, jeden z nich drasnął mnie w głowę. Upadłem na ziemię i straciłem przytomność. Znajdujący się obok towarzysz broni opatrzył moją ranę, podczas gdy pewien młody Hotentot, będący w służbie mego brata, zdumiewająco celnemi strzałami utrzymywał Kafrów w znacznej odległości. Gdy odzyskałem przytomność, spostrzegłem, że moi burgerowie będą za chwilę otoczeni. Objąłem natychmiast dowództwo i chociaż nie byłem jeszcze w stanie utrzymać broni, udało mi się jednak oswobodzić siebie i towa-

rzyszów. Bitwa toczyła się dalej z niezmiernym zapałem; Kafrowie walczyli o każdą piędź ziemi, o najmniejsze rowy na wzgórzu. Ostatecznie zostali zwyciężeni i musieli zostawić swój kraal w naszych rękach.

Nim się jednak zwycięztwo przechyliło ostatecznie na naszą stronę, zagroziło mi nowe niebezpieczeństwo. Kula nieprzyjacielska drasnęła moją pierś, ale na szczęście przerwała mi tylko kaftan. Setcheli opowiadał później, że miał przewagę w bitwie aż do ostatniej chwili i tylko wtedy, gdy Krüger udał się do swej dyni z wódką, stał się niezwyciężonym. Może nie będzie zbytecznem, jeżeli dodam, że nigdy w życiu nie miałem w ustach ani kropli alkoholu.

Bitwa się skończyła.

Pułkownik Scholtz wysłał rekonesans do mieszkającego w pobliżu misyonarza angielskiego, Livingstone'a. Thennis Pretorius znalazł tam wszystkie narzędzia puszkarskie i dosyć dużo materyałów wojennych, oczywiście przeznaczonych dla Kafrów; było to formalnem pogwałceniem traktatu w Zandriverze, gdzie zastrzeżono wyraźnie, że biali nietylko przestaną dostarczać Kafrom broni i amunicyi, ale nie pozwolą im nawet starać się o zdobycie tych rzeczy. Nie wdając się w żadne formalności, Scholtz kazał skonfiskować mały arsenał misyonarza; z tego powodu Boerowie, dzięki Livingstonowi i jego zwolennikom, zostali osławieni w całej Anglii jako najgorsi nieprzyjaciele religii i równocześnie najsrożsi prześladowcy rasy czarnej [1]).

[1]) Misyonarze udawali, iż nie wiedzą wcale, że sprawa ludów czarnych była dla Boerów równocześnie sprawą religijną, humanitarną i polityczną. Zaszczepienie w Afryce południowej cywilizacyi europejskiej jest rzeczą wagi pierwszorzędnej, nawet dla dobra samych czarnych; użycie siły jest czasem koniecznem, by zmusić czarnych do szanowania praw ludzkości i sprawiedliwości.

W rzeczy samej Boerowie nie byli ani przeciwnikami misyj chrześcijańskich, ani też wrogami plemion odwiecznie zamieszkujących te kraje. Zamierzali tylko plemionom zdolnym do przyjęcia cywilizacyi rozdawać terytorya odpowiednio do liczby mieszkańców.

Zresztą oddawali nawet ziemię bezpłatnie do rozporządzenia misyonarzy, pragnących się osiedlić między Kaframi. Dodać należy, że przed przybyciem misyonarzy, niektórzy Boerowie próbowali nawracać do ewangelii swych czarnych robotników. Ale konieczność odbierania od krajowców broni, którą zdobywali podstępem, jak również chęć uniknienia wszelkiego pogwałcenia punktów traktatu Zandriverskiego, będącego gwarancyą ich swobód, wzniecił poważne nieporozumienia między Boerami a plemionami buntowniczemi.

Nowa wojna nastąpiła w roku następnym, 1853. Wziąłem w niej także udział, służąc pod rozkazami naczelnego wodza Pretoriusa. Wojnę wywołało okropne morderstwo, popełnione na osobie Hermana Potgietera, brata naczelnego wodza. Plemiona nieprzyjacielskie należały do Kraalów, rządzonych przez Mapelę i Makapaana (obwód Waterbergu). Potgieter był to myśliwy wysłużony, a zarazem strzelec pierwszorzędny. Powierzył Mapeli nadzór nad swemi trzodami, pozwalając mu wzamian korzystać z mleka swych krów. Pewnego razu Mapella zaprosił Potgietera na obławę na słonie, które bardzo się rozmnożyły w jego posiadłościach. Potgieter przyjął zaproszenie i udał się do kraalu Mapelli ze swym synem Andrzejem, kilku burgerami i jednym sługą czarnym. Z początku Kafrowie przyjęli Potgietera i jego towarzyszów bardzo przyjaźnie, opisali im dokładnie miejsce, gdzie się powinny znajdować słonie. Wtem nagle, na dany znak wodza rzucili się na Boe-

rów, zabili syna Potgietera i jego towarzyszów; samego zaś Potgietera zawlekli na jakieś wzgórze i tam wobec jego własnego sługi odarli go żywcem ze skóry i wypruli wnętrzności; cały kraal tymczasem wykonywał dzikie tańce dokoła nieszczęśliwego.

Służący, któremu darowano życie, zaprowadził mnie później na miejsce morderstwa. Podczas gdy Mapella wykonywał tę wstrętną zbrodnię, Makapaan, nie zważając na to, że w kraju panował pokój, napadł na orszak kobiet i dzieci, udających się z Zoutspanberg do Pretoryi i wymordował wszystkich. Taki był początek wojny, prowadzonej z dwoma wodzami czarnemi.

Jenerał Piet Potgieter, synowiec Hermana, wyruszył z Zoutspansberg na czele oddziału, złożonego ze stu ludzi; w tym samym czasie naczelny wódz, Pretorius, opuszczał Pretoryę z dwustu burgerami, którymi w jego zastępstwie miałem dowodzić. Nim się oba oddziały zdążyły połączyć, Kafrowie napadli niespodzianie w nocy na obóz jenerała Potgietera, ale, na szczęście, zostali odparci. Wspólna akcya wojenna pozwoliła następnie dwom oddziałom boerskim zapędzić nieprzyjaciela w góry i osaczyć go w jaskiniach i wąwozach, do których się schronił.

Oblężenie przeciągało się w nieskończoność. Odważyłem się więc na podstęp, który miał, mojem zdaniem, wyniszczonych głodem Kafrów zdać na naszą łaskę i niełaskę. Korzystając z ciemnej nocy, skierowałem się do jednej z jaskiń, w której się zbierali wodzowie; wszedłem tam, czołgając się po ziemi i zasiadłem między nimi, niepoznany przez nikogo. Następnie przemówiłem do nich w ich własnym języku, jak gdybym był jednym z nich, wypowiadając pogląd bardzo pesymistyczny na los, który ich oczekiwał; następnie poddałem im myśl, że byłoby może rozsądniej poddać się białym, niż umrzeć z głodu. Dodałem

zresztą, że biali z pewnością nie skażą ich na śmierć; wreszcie ofiarowałem się rozpocząć układy.

Podczas tej przemowy jeden z Kafrów wykrzyknął nagle: „Magoa!” (człowiek biały); wśród czarnych powstało zamieszanie powszechne; wszyscy się rzucili wgłąb jaskini; musiałem pójść za ich przykładem, nie chcąc się zdradzić. Gdy się przekonałem, że się uspokoili nieco, zacząłem mówić znowu i użyłem tak przekonywających argumentów, że upoważniono mnie wreszcie do traktowania z Boerami. Na nieszczęście wszyscy chcieli mnie odprowadzić do obozu, nawet kobiety i dzieci; oczywiście, po wyjściu z jaskini spostrzegli z łatwością, że mieli do czynienia z człowiekiem białym. Domyślili się podstępu i odtąd musiałem się wyrzec (i zupełnie słusznie) wszelkich nowych prób tego rodzaju. Od tej chwili niemożebnem już było uzyskać cośkolwiek od Kafrów.

Oblężenie trwało w dalszym ciągu, ale już bezemnie, ponieważ za ten wybryk śmiały jenerał Pretorius ukarał mnie aresztem ścisłym, chcąc nauczyć, iż nie należy narażać życia bez potrzeby. Po odsiedzeniu tej kary, znalazłem sposób raz jeszcze zaryzykować swe życie i to w okolicznościach więcej tragicznych.

Podczas jednej z utarczek z Kaframi poległ jenerał Potgieter, zabity wystrzałem z broni palnej, który padł z jakiejś szczeliny górskiej; ciało jego strącono ze ściany skalistej, gdzie walczył, do okopu nieprzyjacielskiego. Widząc to, bez chwili wahania spuściłem się do okopu, chcąc uratować przynajmniej zwłoki mego jenerała. Kafrowie przyjęli mnie ogniem siarczystym, na który burgerowie odpowiedzieli nie mniej energicznie; gęsty obłok dymu okrył walczących. Skorzystałem z tego, żeby pochwycić trupa jenerała i przerzucić go po za nasze szańce. Wszystko to było dziełem jednej chwili; miałem więc to szczęście,

że mogłem oddać swoim zwłoki naszego nieszczęśliwego wodza i przyjaciela.

Nie mogę się oprzeć chęci przytoczenia jeszcze jednej anegdoty z czasów tego samego oblężenia. Jeden z jeńców kafryjskich utrzymywał, że może wskazać białym pieczary, gdzie jego współbracia ukryli kość słoniową. Pretorius polecił mi towarzyszyć Kafrowi i przynieść mu te kły. Szliśmy przez wąwozy, usiane zbroczonemi krwią ubraniami kobiet i dzieci, wymordowanych przez Kafrów; o tym wypadku wzmiankowałem już wyżej. Podróż ta budziła już we mnie złe przeczucia. Zdarzało mi się nawet potknąć kilkakrotnie o resztki ciał ludzkich; były to napół zwapnione szczątki ramion, czy łopatek, które Kafrowie nasadzali na dziryty i piekli na ogniu. Wreszcie przybyliśmy do miejsca, gdzie się niby miała znajdować kość słoniowa; tu Kafr nagle zaczął uciekać; ponieważ jednak nie straciłem go z oczu, pobiegłem za nim i dzięki mojej niezwykłej zręczności, udało mi się go schwytać. Co się tyczy kości słoniowej, to, oczywiście, nie znaleźliśmy jej wcale.

Gdy głód już dokonał swego dzieła, Kafrowie, którzy cały czas walczyli z bohaterską uporczywością i wyrządzili nam dużo złego, zmuszeni byli się poddać. Setki ich pomarły z głodu; nielicznym tylko udało się wymknąć z zasadzki i dostać się na górę przez przejścia podziemne; reszta dostała się do niewoli i oddana została pod sąd wojenny.

Wszystkich rozstrzelano w mojej nieobecności (byłem wtedy na polowaniu). Zresztą, gdybym nawet chciał, nie mógłbym się sprzeciwiać surowemu wyrokowi, wydanemu na tych ludożerców, ponieważ trzymali oni z winnymi, a wódz ich się wymknął.

Młodzież tego plemienia, a właściwie ci chłopcy, którzy wpadli w ręce burgerów, wyrokiem sądowym

zostali rozmieszczeni wśród rodzin boerskich; miały one obowiązek wychowywać ich aż do pełnoletności.

Kraj jednak nie był jeszcze uspokojony. Resztki pokonanego plemienia ukryły się w rozmaitych kraalach obwodu, uprowadzając z sobą trzody Potgietera, które były powierzone, jak to powiedziałem poprzednio, pieczy Mokapaana. Jenerał Potgieter polecił mi odszukać i odebrać ukradzione bydło, chociażby nawet miało przyjść do starcia z Marabą, którego podejrzewano o danie przytułku zbiegom. Kafrowie Moraby nie stawili zresztą najmniejszego oporu. Więcej niż połowa uciekła, a pozostali zwrócili ukradzione bydło. W ten sposób mogłem wypełnić swą misyę bez rozlewu kropli krwi.

Teraz szło o to, ażeby się załatwić z Mapellą, sprzymierzeńcem Mokapaana, ale nie mogliśmy go znaleźć nigdzie, tak, że chwilowo musieliśmy się ograniczyć do najazdów po przez Veld, które nam pozwoliły odzyskać wozy i bagaże, pochwycone przez Kafrów na drodze do Zoutspanberg.

Kara przeznaczona dla Mapelli miała go dosięgnąć zaledwie w r. 1858. W ciągu tego czasu popełnił wiele innych zbrodni. Nową wyprawą, skierowaną przeciwko niemu, w której także brałem udział, dowodził jenerał Schoemann. Mapella ukrył się za stromą i prawie niedostępną skałą. Wyzwałem ochotników, chcąc wziąć tę twierdzę szturmem; stu burgerów wystąpiło z szeregów.

Pod osłoną nocy zaprowadziłem tę garstkę ludzi do stóp piaszczystego wzgórza (kopje). Tam kazałem im zdjąć trzewiki [1]), ażeby się mogli wedrzeć na urwistą pochyłość, prowadzącą na szczyt szańców, bez zwrócenia na siebie uwagi nieprzyjaciela. Szedłem naprzód z kilku patrolami wywiadowczemi; ponieważ wyprzedziłem ich znacznie, wpadłem znienacka na szyldwacha, który wziął mnie na cel. Szczęściem dla mnie, broń Kafra wypaliła bardzo powoli. Słysząc trzask pistonu miałem czas wycelować i położyłem napastnika u moich stóp.

[1]) Rodzaj sandałów ze skóry grubej, przzwiązywanych do stóp za pomocą krzyżujących się rzemieni.

Kafrowie, postawieni dla obrony skały, odpowiedzieli gęstym ogniem. Burger, niosący dla mnie broń zapasową, został zabity w moich oczach. Z największym pośpiechem wróciłem do swego oddziału, wołając:

— Wkładajcie trzewiki i naprzód do ataku!

Kafrowie zostali wyparci, a moi burgerowie zajęli wzgórza i biwakowali tam do świtu.

Bitwa rozpoczęła się w najlepsze o wschodzie słońca. Kafrowie oszańcowali się znowu i strzelali do nas z odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów. Ale Boerowie otrzymali posiłki i rozpoczęli walkę zaczepną, zmuszając wkrótce czarnych do ucieczki. Zepchnęliśmy ich na samą krawędź skalistego płaskowzgórza; większość została strącona do przepaści; u stóp góry i na dolnej części zbocza rozciągał się las gęsty. Na gałęziach drzew znaleziono później mnóstwo trupów, a między nimi samego Mapellę.

W grudniu 1853 r. wziąłem udział w wyprawie nieco mniej ruchliwej; wyprawa ta skierowana była przeciw Montsioa, którego kraal leżał w „Hoogveld" nad brzegiem rzeki Harts. I tym razem, jak zwykle, szło o porwanie bydła i o wymierzenie kary za kilka zbrodni, popełnionych przez Montsioa, który się schronił do posiadłości brytańskich w ziemi Beczuanów.

Na granicy Setlagoli oddział nasz otoczyła chmura szarańczy, która właśnie spadła na ten kraj. Kafrowie, widząc obłok kurzu, podniesiony przez konie naszej komendy, sądzili, że spowodowała go szarańcza; mogliśmy więc zbliżyć się do samego kraalu, nie wzbudzając w nich najlżejszej nieufności.

Jenerał Pretorius wysłał mnie jako parlamentarza do Montsioa, wzywając go do obozu Boerów, gdzie się miał usprawiedliwić ze swych postępków. Wyruszyłem natychmiast na czele małego oddziału burgerów i prawie natychmiast wpadłem na bandę Kafrów z kraalu sąsiedniego. Widząc, iż za chwilę mogę być przez nich otoczony (wyprzedziłem znacznie swój oddział, a koń mój był zupełnie wyczerpany), nadrobiłem odwagą. Puściłem konia galopem do najbliższej grupy nieprzyjacielskiej i rozproszyłem ją natychmiast. Ale oddział mój musiał powrócić na swoje leże, gdzie zmuszony byłem pozostawić swego konia, który nie mógł iść dalej.

Postanowiono rozpocząć nanowo kroki zaczepne; ofiarowałem się prowadzić swój oddział pieszo.

— Kafrowie — mówiłem — walczą także pieszo, a gdyby szło o wyścigi, to, daję słowo, że nie zdołaliby mnie wyprzedzić.

Ale komendant Scholtz odwiódł mnie od tego zamiaru i zmusił do wzięcia konia jego ordynansa. Oddział boerski, złożony zaledwie z czterdziestu ludzi, rzucił się na pięciuset Kafrów i rozbił ich do szczętu.

Skutkiem tego zwycięztwa nasi Boerowie, licząc tylko małą ilość ranionych, mogli odzyskać ukradzione bydło; Kafrowie powierzyli je opiece kilkorga dzieci. Polecono mi odprowadzić te dzieci do ich pokolenia. Pretorius kazał oznajmić Montsioa, że nazajutrz przybędzie do kraalu dla traktowania o pokój. Ale Montsioa uciekł, korzystając z ciemnej nocy, a wyprawa nasza wróciła do swych ognisk domowych bez żadnych dalszych przygód.

ROZDZIAŁ III.

Wyprawy różne.

Po powrocie z wyprawy przeciw Montsioa, jenerał A. W. J. Pretorius zachorował ciężko. Czując zbliżającą się śmierć, rozkazał przywołać mnie do siebie, ale, niestety, byłem właśnie na polowaniu w obwodzie Rustenburga i posłańcy, wyprawieni po mnie, odnaleźli mnie z trudem. Dlatego to przybyłem za późno: wielki wódz trekkerów wyzionął ducha. Żałowałem gorzko, że nie mogłem być obecnym przy chwilach ostatnich tego starego przewodnika ludu, bo jego serce prawe i umysł jasny mogłyby mnie udzielić, bez wątpienia, ważnych wskazówek. Już wracając z wyprawy, gdy jechaliśmy obok siebie, Pretorius mówił ze mną dużo o religii; prawdopodobnie więc chciał mi jeszcze powiedzieć dużo ważnych rzeczy w tej kwestyi.

Fatalnie się złożyło, że podczas gdy dogorywał Pretorius, przybyli komisarze angielscy Owen i Hogge [1]), proszący go o przyjęcie z rąk Anglii i w imieniu emigrantów zarządu wolnym stanem Oranje. Poselstwo to, podobnie jak i ja, przybyło za późno; zarząd więc powierzono kilku burgerom ze stanu wolnego, na czele których stali Vento i Boshoff. Z tego wyniknęły, jak to zobaczymy później, poważne nieporozumienia między Stanem Wolnym i synem Pretoriusa. Poselstwo angielskie, wysłane do jego ojca, twierdziło istotnie, że Wolny Stan Oranje powinien być oddany naczelnikowi Pretoriusowi i jego emigrantom. Syn Pretoriusa (Marcin) uważał odtąd wraz z pewną częścią trekkerów, że kraj został całkowicie przyznany jego ojcu, a więc i jemu, Marcinowi, prawemu dziedzicowi. Łatwo było przewidzieć, że musi nastąpić starcie między dwiema grupami Boerów, starcie, mogące nawet doprowadzić do wojny bratobójczej.

Marcin Pretorius, jako najstarszy syn starego Pretoriusa, odziedziczył po nim stopnie wojskowe i prawa, przysługujące naczelnikowi Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, której w kilka lat później był pierwszym prezydentem. Jako naczelny wódz, był tylko głową rządu. Berowie bowiem, nie posiadali jeszcze konstytucyi prawidłowej, mianującej prezydenta stanu, a ich prawa prowizoryczne nawet nie we wszystkich częściach Transwaalu były uznawane.

Zaledwie Marcin Pretorius mianowany został wodzem naczelnym, natychmiast wyłożył szczegółowo swe pretensye do praw, które zdawało mu się, że posiada do Stanu Wolnego. Nieuznany przez rząd Oranje, odwołał się do rozprawy orężnej. Podróżo-

[1]) Ci komisarze specyalni otrzymali od rządu angielskiego polecenie następujące: „Uporządkować wszystkie sprawy, dotyczące granic wschodnich i północno-wschodnich przylądka Dobrej Nadziei.“ Oni to podpisali z emigrantami boerskimi umowę, wskutek której Stan Wolny i Rzeczpospolita południowo-afrykańska otrzymały swobody.

wałem właśnie w sprawach czysto osobistych, kiedy otrzymałem wezwanie, żeby się połączyć niezwłocznie z moją komendą. Byłem posłuszny. Znalazłem Boerów na północnym brzegu Vaalu, gdzie już rozbito *laager* wojskowy. Nie ukrywałem wcale przed Pretoriusem, że nie podzielam jego zapatrywań i nie pochwalam postępowania.

Wojna zdawała się nieunikniona, ponieważ na północy Transwaalu (gdzie właśnie nie uznano nowej konstytucyi) prezydent Stanu Wolnego poczynił pewne kroki celem porozumienia się z jenerałem Schoemannem; wszystko zdawało się zapowiadać, że Transwaalczycy z północy staną po stronie Stanu Wolnego. Ten to powód skłonił właściwie Pretoriusa do rozpoczęcia akcyi wojennej niezwłocznie napadem na Boshoffa.

Boerowie przeprawili się przez Vaal, udając się na spotkanie Orańczyków, którzy się zbliżali w znacznej liczbie. Gdy się obie armie znalazły naprzeciw siebie, Boshoff, chcąc zakończyć spór drogą pokojową, wysłał parlamentarza; Pretorius ze swojej strony nie żądał niczego więcej; podwładni jego nie mieli najmniejszej ochoty do wojny; najlepszym dowodem tego usposobienia był fakt, że oficer orański, wydelegowany przez Boshoffa, znalazł ich zajętych ćwiczeniami gimnastycznemi, zdumiał się na ten widok i wykrzyknął z pewnem upokorzeniem:

— Tak mało więc dbacie o nas?

Wysłany do Boshoffa w celu prowadzenia układów, wyraziłem mu swe przekonanie z równą otwartością, jak Pretoriusowi:

— Jesteś pan niemniej winnym od Pretoriusa— rzekłem. — Obowiązkiem pańskim było oskarżyć go przed Radą Ludową, ale nie rozpoczynać wojny.

Obecny przy tej rozmowie Koos Venter, czło-

wiek otyły i pleczysty, wyraził się o Pretoriusie w sposób bardzo ostry i gwałtowny, mówiąc między innemi przyjemnemi słówkami, że gdyby go miał w swych rękach, ukręciłby mu szyję, jak ptakowi. Wobec tego uniosłem się również:

— Panie Boshoff — rzekłem — rzecz jest łatwa do wykonania. Niech Koos zdejmie ubranie, ja uczynię to samo i rozpoczniemy walkę każdy w imieniu swego stronnictwa. Jeżeli ja zwyciężę, przyjmiecie nasze warunki, jeżeli on—stanie się odwrotnie.

Ale Koos nie chciał o tem słyszeć, mówiąc, że osobiście nie ma mi nic do zarzucenia. Daremnie jednak upierałem się przy swym projekcie, starając się go przekonać, że każdy z nas będzie reprezentował swoje stronnictwo: szczególniejsza ta walka nie doszła do skutku. Wzamian za to dla rozstrzygnięcia konfliktu mianowano komisyę, która zebrała się na brzegu Vaalu. Podczas tych układów uważałem za obowiązek moralny bronić sprawy swego prezydenta, na którego napadano bardzo surowo; w głębi duszy jednak zeznawałem, że trudno go bronić. Ale duch zgody, ożywiający burgerów w obu obozach, zwyciężył w końcu: Pretorius zrzekł się swych uroszczeń mniej lub więcej arbitralnych.

Przy zawarciu zgody postanowiono, że każda partya będzie miała prawo karać winnych w ziemiach należących do ich Stanów. Zdarzyło się jednak, że w Oranie skazano na powieszenie dwóch burgierów, stojących po stronie Pretoriusa, za zdradę stanu. Udałem się do Oranie dla interwencyi w tej sprawie.

— Dlaczego zrywacie traktat?—spytałem Boshofa.

— My, zrywamy traktat! Jakim sposobem?

— Jakto, czyż nie chcecie powiesić dwu waszych poddanych?

— Tak, zapewne, ale zawarta umowa daje nam do tego prawo.

— To nieprawda — zawołałem — niema mowy o czemś podobnem w podpisanym układzie. Istotnie, macie prawo wymierzać kary, ale karać, to znaczy karcić, skazywać na grzywny, ulepszać kogoś drogą kary.

Gdy Boshoff nie chciał uznać słuszności mego argumentu, odszukałem natychmiast Biblię, otworzyłem ją i dowiodłem, że Pismo Święte zaznacza różnicę między wyrazem karać i skazywać; że można naprzykład *skazać* człowieka na śmierć, ale nie można go zabijać w celu *ukarania*. Boshoff musiał mi przyznać słuszność. Tak rozproszyły się na zawsze chmury, które się podniosły między dwiema Rzecząpospolitemi pobratymczemi.

Zdarzyła mi się nowa sposobność do okazania znacznej usługi Stanowi Wolnemu, który od czasu ogłoszenia niepodległości, miał nieustanne kłopoty z powodu Masusa [1]; wreszcie doszło do wojny otwartej.

Masus, naczelny wódz Basutów, był przeciwnikiem, którego nie należało lekceważyć, rozporządzał bowiem znacznemi siłami.

Oddziały Kafrów napadały na ziemie południowe Stanu Wolnego, niszcząc je mieczem i ogniem i z dniem każym posuwając coraz dalej swe grabieże. Dowiedziawszy się o tych wypadkach, postanowiłem udać się natychmiast do rządu orańskiego i ofiarować mu swoje usługi w celu nauczenia krajowców rozumu.

[1]) Piszą także „Moshesh“ i „Moschesh.“

Młody Pretorius, syn naczelnego wodza W. J. Pretoriusa, który tymczasem mianowany został prezydentem Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, towarzyszył mi na czele oddziału, złożonego z trzydziestu ludzi, dowodzonych przez veldkorndta Bodensteina. Spotkaliśmy pierwszy obóz orański w Ospruit. W ten sam dzień właśnie Kafrowie uprowadzili trzody z tego obozu.

Wysłałem veldkorneta Bodensteina w pogoń za rabusiami; udało mu się odebrać bydło skradzione. Następnie wyruszyliśmy dalej ku Bloemfontein. Po przybyciu na miejsce przeznaczenia zaproponowałem Orańczykom, że się udam osobiście do Masusa dla prowadzenia układów o pokój. Rząd Stanu Wolnego przyjął moję propozycyę i wyznaczył mi jenerała Ficka i Marcina Schoemanna jako adjutantów. Po przybyciu do stóp góry Thaba Bosigo, gdzie stał Masus, wysłałem do niego parlamentarza, oznajmiając, że nie przychodzę w zamiarach wrogich, lecz w celu traktowania o pokój.

Masus odpowiedział, że rozkaże zanieść siebie na spotkanie „pana Krügera.“ Godziny mijały, ale Masus się nie zjawiał; postanowiłem zatem udać się osobiście do kraalu wodza Basutów. Byłem już u szczytu góry, gdy ujrzałem Masusa, wybierającego się właśnie na moje spotkanie.

Magato, wódz Kafrów z okolic Rustenburga i dawny mój znajomy, przedstawił mnie Masusowi. Podał mi rękę, mówiąc:

— Doprawdy, więc to pan jest Pawłem Krügerem! Czyż to możliwe? Jestem stary i oddawna już słyszę o panu. Jakim więc sposobem możesz pan jeszcze być tak młodym?

Wziął mnie pod rękę i zaprowadził do swego domu, gdzie ofiarował mi pokój, przeznaczony na przyjęcie białych. Przyniesiono mi napoje chłodzące; natychmiast rozpocząłem układy.

— Pocóż się mordować—mówiłem mu—dla rzeczy błahych? Czyż nie lepiej porozumieć się zgodnie? Musisz przecież widzieć, jakie zło wyrządza wam ta wojna nieszczęsna, zamykająca wszystkie drogi handlowe przed narodami, z któremi żyjecie w pokoju.

Po długich wykrętach Masus zakończył:

— Rozumowanie twoje jest słuszne, ponieważ wszystko, co mi jest potrzebne do utrzymania domu, biorę od innych narodów; i nic od nich nie mogę otrzymać od czasu, gdy drogi są zamknięte.

Potem, zmieniając temat rozmowy, rzekł:

— Czy istotnie ty jesteś człowiekiem, który pokonał Mapellę na jego górze?

— Tak—odparłem.

— Ale nie wiesz, zapewne—ciągnął dalej—że dwie moje córki są żonami Mapelli?

Po krótkiej zaś pauzie dodał:

— Nie sądź tylko, że twoja waleczność zwyciężyła Mapellę: ukarał go gniew Boży za straszne morderstwo, które popełnił.

Ponieważ Masus zaznaczał dalej interwencyę Boską, nie szczędząc wyrażeń pobożnych, rzekłem:

— Jak się to stało, że ty, taki prawowierny, masz tyle żon?

Masus odpowiedział:

— Istotnie, mam około dwustu żon, ale przecież Salomon miał przeszło dwa razy więcej.

— To prawda — odparłem — ale zdajesz się

zapominać, że według nauki Chrystusa, według Nowego Testamentu, mężczyzna ma prawo mieć tylko jedną żonę.

Zmieszał się na chwilę, ale później odpowiedział:

— Cóż ci na to odpowiedzieć... natura...

Tego samego wieczora miałem nową konferencyę z Masusem, który tym razem ukazał mi się w prostym stroju Kafrów. Gdy wchodził, udałem, że go nie poznaję i zawołałem:

— Gdzież jest Masus? Zdaje mi się, że każe czekać na siebie za długo.

— Ale ja jestem tu—rzekł wódz.

— Jak to, więc to ty! Ale co cię skłoniło do przebrania się za kobietę?

Masus wybuchnął śmiechem.

Następne spotkanie rozstrzygnęło kwestyę pokoju. Masus zobowiązał się wyprowadzić swych Kafrów z zajmowanego przez nich terytoryum, skoro tylko Wolny Stan Oranie spełni poczynione zobowiązania. Zobowiązania te były podstawą traktatu pokojowego, podpisanego nazajutrz.

Masus prosił mnie o pozostanie kilka dni jeszcze w kraalu, ażebym miał czas wybrać sobie pięknego wierzchowca. Przystałem na to, chociaż moi adjutanci, Fick i Schoeman, zmuszeni byli powrócić do swego obozu. Masus zresztą dotrzymał słowa i podarował mi przepięknego wierzchowca. Rząd orański zatwierdził następnie traktat podpisany przezemnie. Traktat ten zakończył pierwszą wojnę z Basutami.

Będąc jeszcze w kraalu Masusa, otrzymałem zawiadomienie od prezydenta Pretoriusa, że jako jenerał (a raczej jenerał adjutant) mam otrzymać do-

wództwo nad nową wyprawą, skierowaną przeciw Gasibonowi, wodzowi Kafrów z nad rzeki Hartsu. I tym razem powodem wojny było uprowadzenie trzód, oraz kilka morderst, nie licząc już porwania starej kobiety i młodej, ośmnastoletniej dziewczyny. Ponieważ musiałem koniecznie wstąpić po drodze do swej fermy w Rustenburgu, przebyłem konno przeszło pięćdziesiąt mil w przeciągu trzech dni. W przeciągu tego czasu oddział, który miano mi powierzyć, formował się w Klerksdorpie, gdzie się z nim połączyłem po jednodniowym wypoczynku w domu.

Ale mobilizacya dokonywała się z takim pośpiechem, że burgerowie mieli zamało amunicyi i zapasów żywności. Pomimo to wyruszyłem w pole, licząc, że rekwizyta zwyczajne wystarczą memu oddziałowi w drodze. W tym celu zawiązałem stosunki z poblizkimi Orańczykami; na tych ostatnich nie bardzo mogłem liczyć, ponieważ brakowało mi monety brzęczącej. Jednakże znalazłem sposób zdobycia dla swych żołnierzy świeżego mięsa. Troska o zaoszczędzenie amunicyi była powodem, że nie mogłem udzielić pozwolenia na zabijanie zwierzyny; urządziłem więc dosyć niezwykłą obławę w laskach, leżących niedaleko urwistych wybrzeży Vaalu; podczas tej obławy wszystkie zwierzęta, które wpadały w ręce żołnierzy-myśliwych, zabijano grubemi kijami.

Oddział mój ciągle się posuwał naprzód. Liczył on zaledwie dwustu ludzi, ale małe to wojsko powiększyło się w drodze przez przyłączenie się oddziału białych i czarnych Orańczyków, dowodzonych przez Pieta Ventera.

Dowiedziałem się wkrótce, że Gasibone szukał przytułku u jednego ze swych kapitanów, imieniem Mahura, który zajął ze swem wojskiem liczne przesmyki górskie, wychodzące na wąwóz skalisty, stanowiący łożysko rzeki Harts. Kazałem oznajmić Mahurze, że przybyłem tu, poszukując Gasibona, ściganego przez prawo. Starałem się mu też wytłómaczyć, iż nie ma prawa dawać przytułku zbiegowi i, że przeciwnie, obowiązek nakazuje mu uwięzić winowajcę i oddać burgerom.

Rada moja, zawierająca w sobie groźbę, skłoniła Mahurę do odesłania nam starej kobiety i młodej dziewczyny, porwanych przez jego sprzymierzeńca; odesłał nam je przez parlamentarza czarnego, który się oddalił natychmiast. Kazałem tedy burgerom posuwać się do szańców nieprzyjacielskich. Gdyśmy się zbliżyli na dwa tysiące kroków, napadły na nas połączone siły Gasibona i Mahury. Znieśliśmy je do szczętu, a Kafrowie rozproszyli się w nieładzie, znikając nam wkrótce z oczu wśród skał i ukrywając się w pieczarach. Nie zależało mi na powtórzeniu epizodów z wyprawy przeciw Mapelli. Kazałem więc energicznie ścigać Kafrów i udało mi się ich wypłoszyć z kryjówek górskich. Gasibone, widząc swą klęskę, próbował się dostać do posiadłości brytańskich, do ziemi Beczuanów, ale wpadł w ręce patrolu boerkiego, objeżdżając okolicę i zginął po rozpaczliwej obronie. Towarzyszący mu Kafrowie dostali się do niewoli, ale wkrótce odzyskali swobodę.

W tym czasie Mahura zdał się na łaskę i niełaskę; w kapitulacyi tej pośredniczył misyonarz, znajdujący się w jego obozie. W liście, zredagowanym przez tego ostatniego i adresowanym do mnie, Mahura wyznawał, że nie miał słuszności, dając schronienie Gasibonowi, że żałuje swej winy, błaga o przebaczenie i wzamian obiecuje uległość zupełną. Kazałem mu odpowiedzieć, że z największą chęcią udzielę mu przebaczenia, o które mnie błaga, powinien jednak przybyć do naszego *laageru*, dla otrzymania instrukcyi co do postępowania na przyszłość. Nie wiem

czy przez obawę, czy też z powodu choroby (jak się sam tłómaczył), ale Mahura nie przybył do obozu osobiście, tylko w zastępstwie swojem przysłał jednego z kapitanów. Mianowałem go na miejsce Gasibona wodzem pokonanego plemienia. Co się tyczy skradzionych trzód, to wszystkie zostały zwrócone naszej komendzie, która powróciła do swych ognisk domowych, zadowolona ze spełnionego zadania.

Tak się zakończył dla mnie ten rok ciężkiej pracy i trudów obozowych.

ROZDZIAŁ IV.

Wojna domowa (1860—1864).

Nowa konstytucya boerska przyjęta została na całem terytoryum Rzeczypospolitej, a Pretorius od r. 1858 sprawował urząd prezydenta stanu; wreszcie powołano go na prezydenta Wolnego Stanu Oranie, gdy Boshoff usunął się z zajmowanego stanowiska. Wybór ten zawdzięczał staraniom partyi unionistów, która widziała w nim gorliwego zwolennika zjednoczenia obu Rzeczypospolitych. W tych warunkach Rada Ludowa Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej udzieliła mu sześciomiesięcznego urlopu. Przypuszczał, prawdopodobnie, że sześć miesięcy wystarczy mu na załatwienie spraw bieżących Stanu Wolnego, i na dokonanie zjednoczenia obu Rzeczypospolitych [1]).

[1]) W końcu tegoż 1860-go roku Rada Ludowa powzięła nową uchwałę, wskutek której Prezydent Stanu nie mógł zajmowac żadnego innego obowiązku pablicznego; Pretorius nie chcąc się zrzekać prezydentury Stanu Wolnego, złożył urząd pierwotny.

Stosownie do poprzedniej uchwały Rady Ludowej, tymczasowym prezydentem powinien był zostać najdawniejszy z członków nieurzędowych Rady wykonawczej. Stanowisko to zajął Jan Grobler, odpowiadający wyżej wymienionym warunkom.

Ale prawa jego zakwestyonował wódz naczelny Schoemann, który także rościł pretensye do prezydentury. Dla dopięcia celu Schoemann wzniecił w kraju silne zamieszanie, zwołał referendum, chcąc skłonić naród do złożenia Radzie Ludowej votum nieufności. W końcu wezwał do Pretoryi wszystkich żołnierzy walczących i zaproponował im ni mniej, ni więcej, tylko zniesienie Rady Ludowej i przeniesienie władzy prawodawczej do Rady Wykonawczej. Z tytułu jenerała byłem obecny na posiedzeniu i protestowałem przeciw temu wnioskowi, który, zupełnie słusznie, uważałem za niezgodny z konstytucyą. Udało mi się pozyskać dla mego zdania większość oficerów. Ale jenerał Schoemann nie dbał o to wcale. Udał się do kancelaryi prezydenta i zażądał od Groblera oddania mu archiwów i dokumentów rządowych. Grobler z początku opierał się energicznie, ale ostatecznie musiał uledz przemocy i usunąć się z urzędu. Zaproponowałem wtedy zwołać lud, ażeby on rozstrzygnął kwestyę. Propozycya ta, zresztą, została przyjęta i przez stronnictwo Schoemanna.

Wszyscy stronnicy jenerała przybyli na zgromadzenie ludowe uzbrojeni; ja zaś upominałem wszystkich, którzy trzymali za mną, ażeby nie zabierali ze sobą żadnej broni, przedstawiając im, że wobec zobopólnego rozdrażnienia łatwo dojść może do rozlewu krwi, a tego należało uniknąć za jakąbądź cenę.

Zbliżałem się już do Pretoryi, gdy w Daspoort zatrzymało mnie poselstwo jenerała Schoemanna, zakazując iść dalej. Odpowiedziałem, że mam zaproszenie na zgromadzenie ludowe i stanowczo nie wrócę do domu, nie spełniwszy tego, co uważam za swój obowiązek.

Zaciąłem konia i udałem się wprost do Pretoryi; natychmiast po przybyciu stawiłem się u Schoemanna, wzywając go do wytłómaczenia się z postępowania, które, mojem zdaniem, nie dawało się niczem usprawiedliwić.

Właśnie w tym czasie odbywało się u Schoemanna posiedzenie rady wojennej pod przewodnictwem naczelnego wodza Steina, jednego ze stronników jenerała, który mu nadał tę godność samowolnie. Stein, dostrzegłszy mnie, rzekł:

— Najlepiej zrobiłbyś pan teraz, poddając się z dobrej woli.

Nie odpowiedziałem na to ani słowa, ale zwracając się do Schoemanna zacząłem mu wyrzucać ostro, że pozwolił swym burgerom przybyć z bronią w ręku. Podczas mej przemowy zbliżyło się do mnie kilku oficerów, chcąc mnie uwięzić, inni się jednak sprzeciwili temu, potępiając jawnie zachowanie się swych towarzyszów.

Zaledwie opuściłem mieszkanie Schoemanna, Stein rozkazał nastawić na obóz przeciwników armatę nabitą kartaczami; żądał przytem, aby mu wydano niejakiego Jeppe; był to jedyny drukarz, którego w owym czasie posiadała Rzeczpospolita. Drukarnia jego znajdowała się w Potchefstroom, a partya Schoemanna chciała z niej skorzystać dla rozpowszechnienia proklamacyi, mających oddziałać na przekonania burgerów. Nie dałem się, naturalnie, zastraszyć tą armatą, ale pogróżki posłańców Steina wywarły na Jeppem takie wrażenie, że wyrwał się z naszych szeregów i przeszedł na stronę nieprzyjaciela.

Wtedy kazałem zaprzęgać, chcąc wrócić co prę-

dzej do Rustenburga. Na pożegnanie wołałem do zwolenników Schoemanna:

— Skoro tylko przekroczę góry Magalie, możecie mnie uważać za wroga.

Ale, w chwili właśnie, gdy miałem wyruszyć w drogę, ujrzałem zbliżającego się do mnie jenerała Pretoriusa, który powracał ze swej podróży do Oranie. Pretorius przybył z kilku stronnikami Schoemanna, błagając mnie o pozostanie w Pretoryi. Otoczenie jego dołączyło też swe prośby, a oficerowie oświadczyli nawet, że wolą rzucić broń na zawsze, niż użyć jej przeciw burgerom, swym braciom. Ostatecznie polecono mi zredagowanie wniosku, który miał być poddany pod głosowanie Rady Ludowej. Ustąpiłem ich prośbom i razem z Pretoriusem i radcą stanu Proesem udałem się na zgromadzenie ludowe, które na nasz wniosek wybrało komisyę, upełnomocnioną do zwołania Rady Ludowej. W ten sposób Rada mogła się zebrać zupełnie legalnie i wypowiedzieć swe zdanie z zupełną znajomością rzeczy. Rozprawy zakończyły się uznaniem winy Schoemana, którego złożono z godności wodza naczelnego za zgwałcenie konstytucyi. Prócz tego, Rada Ludowa mianowała W. van Rensburga prezydentem tymczasowym państwa, powierzając główne dowództwo nad wojskiem Thennisowi Sujmanowi. Równocześnie ustanowiono Trybunał Najwyższy, który miał rozstrzygnąć ten konflikt niespodziewany. Ale w dniu, kiedy ten Trybunał Najwyższy się zgromadził, zjawił się Schoemann na czele buntowników i kazał zamknąć posiedzenie.

Kiedy zachodziły te ważne wypadki, znajdowałem się na brzegach rzeki Krokodylowej, oddając się mej ulubionej namiętności — polowaniu. Ztamtąd mnie wezwano. Ale od pewnego czasu wszystko się tak składało, ażeby mnie usunąć od ży-

cia publicznego. Przeciwnicy moi wpadli na myśl pokonania mnie na gruncie religijnym. W Transwaalu istniał wtedy jeden tylko kościół urzędowy, a mianowicie kościół reformowany niderlandzki *(Hervormde)*, tak zwany kościół państwowy; tylko członkowie tego kościoła dopuszczeni byli przez konstytucyę do odegrywania roli w losach państwa. Ja zaś nie należałem do tego kościoła, ale do kościoła dysydenckiego, założonego w 1858 r. w Rustenburgu przez pastora Postma; członkowie tego kościoła chrześcijańskiego konformistycznego *(Gereformde)*, uważani byli za sektę pietystów. Na całem południu Afryki kościół ten nazywano „Dopper"; trudno było określić etymologicznie pochodzenie tego wyrazu; niektórzy wyprowadzali go od słowa „dop", oznaczającego małą nakrywkę—nakrywkę, która służy do gaszenia świec — chcąc tym sposobem napiętnować tendencye pietystów, którzy, w ich mniemaniu, gotowi byli zawsze chować światło postępu pod korcem obskurantyzmu. W każdym razie cechą charakterystyczną *Dopperów* jest przywiązanie bezwzględne do uchwał synodu Dordrechckiego (1618) i do zasad starej Reformy. Co się tyczy samego kultu różni się on od protestanckiego tem tylko, że podczas nabożeństwa wierni śpiewają tylko psalmy. Dodać należy, że członkowie tego kościoła dlatego tylko nie byli objęci artykułem konstytucyi, odnoszącym się do wyznań, że w czasie ogłoszenia tej konstytucyi nie tworzyli jeszcze gminy autonomicznej.

Zarzucano mi zatem, że się wtrącam do spraw publicznych nieprawnie; ponieważ kościół, do którego należę, jest wyłączony od działalności politycznej, ja więc posiadać nie mogę żadnych praw politycznych. Kiedy więc rząd zagrożony przywoływał mnie na pomoc, odpowiedź wysłana przezemnie z brzegów rzeki

Krokodylowej tchnęła goryczą, którą obudził we mnie ten spór tak dziwny.

„Poddajcie się rozporządzeniom Schoemanna. Nie mogę interweniować w żadnej sprawie, nie mając praw wyborczych."

Ale prezydent tymczasowy, van Rensburg, postanowił zakończyć te wszystkie śmieszne matactwa. Zwołał radę kościoła urzędowego, która, na jego żądanie, wydała dekret, ogłaszający równość praw politycznych wszystkich burgerów, należących do kościoła ewangelickiego, niezależnie od różnicy sekty.

Dowiedziawszy się o tym dekrecie, potwierdzonym zresztą przez Radę Ludową, udałem się niezwłocznie w drogę do Pretoryi, gdzie obie zebrane partye zdawały się tylko czekać pretekstu do rozpoczęcia walki.

Raz jeszcze spróbowałem pojednać wszystkich. Raz jeszcze postanowiono zwołać zgromadzenie ludowe, ażeby dać możność ludowi wypowiedzenia otwarcie swej woli. Zgromadzenie to, tak jak i poprzednie, zebrało się w Pretoryi. Tłumy burgerów, napływających ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, wzięły w niej udział. Większość postanowiła mianować raz jeszcze Trybunał Najwyższy, który miał rozstrzygnąć kwestye sporne. Ale Schoemann nie chciał się rozbroić; dowiedziano się nawet wkrótce, że wchodził w porozumienie z mieszkańcami okolic Pretoryi. Z tego powodu Rensburg postanowił odosobnić miasto zapomocą kordonu przednich straży. Równocześnie rozkazał naczelnemu wodzowi, Snijmanowi, zwołać radę wojenną.

Jednę z najznaczniejszych forpoczt ustawiono na brzegu rzeki Aapie, tam, gdzie się dzisiaj znajduje przedmieście Arkadya. Komendantem jej był stary Jakób Malan, który zaraz nazajutrz po przybyciu na swe stanowisko dał znać do kwatery głó-

wnej, że jego misya jest zupełnie zbyteczna, ponieważ kuryery Schoemanna przedzierają się przez kordon galopem, omal co nie druzgocąc szyldwachów. Komendantowi pozwolono strzelać do koni kuryerów, w razie gdyby się oni zatrzymywać nie chcieli na pierwsze wezwanie. Od tej chwili wydano szyldwachom rozkazy surowe i jeden z nich rzeczywiście wsadził nabój grubego śrutu kuryerowi Schoemanna, próbującemu przedostać się za kordon.

Kuryer raniony został w ramię, a koń jego potknął się i upadł. To był pierwszy wystrzał, rozpoczynający wojnę domową.

Tego samego wieczora wódz naczelny i rada oficerów uchwalili zwołać wszystkich burgerów, znajdujących się w stolicy, w zamiarze otoczenia buntowników i uwięzienia Schoemanna. Ale stronnictwo rokoszan opuściło Pretoryę tej samej nocy, chroniąc się do Potchefstroom. Pochwycono tylko kilku maruderów, których stawiono niezwłocznie przed sądem wojennym. W tym samym czasie jenerał Snijman zmobilizował komendę i wyruszył do Potschefstroom. Prezydent tymczasowy i ja towarzyszyliśmy mu w tej wyprawie.

Spór religijny, pozornie już załatwiony, wybuchnął znowu skutkiem potwarzy, rozsiewanych przez stronnictwo Schoemanna; oskarżano mnie, że zebrałem komendę w celu zniesienia supremacyi kościoła niderlandzkiego i postawienia na jego miejsce kościoła pietystów. Ta wieść fałszywa, ale zręcznie propagowana, zjednała Schoemannowi nowych stronników nawet w obwodach tak oddalonych, jak Marics, którego komendant, Jan Vilioen, stanął po stronie rokoszan.

Skoro tylko wojska regularne, liczące od pięciuset do sześciuset ludzi, przybyły pod Potschefstroom, prezydent van Rensburg wysłał do Schoe-

manna poselstwo, proponując mu oddać wszystkie kwestye, różniące ze sobą przedstawicieli narodu, pod sąd arbitrów, wybranych z obu obozów. Schoemann przystał na tę propozycyę i wyznaczył Jana Kocka (ojca jenerała, zabitego w ostatniej wojnie) i kilku innych dla rozmówienia się z delegowanymi rządu, na czele których stałem.

Delegowani obu stronnictw spotkali się na pół drogi między dwoma obozami, a Jan Kock zwrócił się natychmiast do mnie z następującym zarzutem:

— A więc pan chcesz, o ile mi się zdaje, postawić zamiast kościoła urzędowego swój kościół?

Odparłem spokojnie:

— Wuju Janie, zdaje mi się, że nie będę potrzebował wielkich starań, aby cię wyprowadzić z błędu. Nawet po chwilowem zastanowieniu się musisz zrozumieć, że oskarżenie twoje jest potwarzą. Oto *laager* stronnictwa rządowego, prezydent i wszyscy oficerowie, których możesz ztąd dojrzeć, należą do kościoła urzędowego; nie wiem nawet, czy wśród pięciu, czy sześciu setek ludzi, stanowiących naszą komendę, znajdzie się dwudziestu wyznawców mojego kościoła. Widzisz zatem, że niema słowa prawdy w tem, co ci powiedziano.

Zresztą, pozwól mi dodać jeszcze, że gdybyście mi nawet zaproponowali uczynić mój kościół kościołem państwowym, nie przystałbym na to, ponieważ zasada naszej wiary głosi, że tylko Chrystus powinien rządzić naszym kościołem.

Pomimo tych wszystkich pięknych słów rozeszliśmy się nie mogąc się porozumieć.

Dnia następnego jenerał Snijman wysłał mnie ku stronie południowej miasta z oddziałem Burgerów i armatą. Kazałem dać ognia niezwłocznie i już za trzecim wystrzałem udało się nam zdemontować działo naszych przeciwników.

Jenerał Schoemann odpowiadał nam również wystrzałami i walka przeciągnęła się do samego wieczora. Ale w nocy Schoemann cofnął się na wyniosłą płaszczyznę, leżącą na północ od miasta; ztamtąd miał zamiar razić nas z góry.

Przewidziałem ten manewr i usunąłem się w takie miejsce, z którego mogłem obserwować wszystkie kroki nieprzyjaciela. O świcie rozkazałem moim burgerom uderzyć na pozycye Schoemanna i nie chcąc tracić czasu rzuciłem się naprzód na czele piętnastu, czy dwudziestu ludzi. Uniesiona zapałem straż przednia zbliżyła się na odległość stu metrów od nieprzyjaciela, który ją przywitał gęstym ogniem. Odpowiedzieliśmy im tym samym i rozpoczęła się strzelanina tak gwałtowna, że walczący stron obu nie mogąc rozpoznać siebie wśród dymu, strzelali na los szczęścia.

Miałem tylko trzech ranionych, ale straty w obozie nieprzyjacielskim były większe: piętnastu ranionych i jeden zabity. Jenerał Schoeman lekko raniony, cofnął się prawie natychmiast ku Oranie; szliśmy za nim i wzięliśmy jeszcze kilku ludzi w niewolę. Schoemannowi udało się jednak dotrzeć do fermy, którą posiadał w Stanie wolnym i tam zgromadził szczątki swej małej armii.

Jenerał Snijman wydał natychmiast rozporządzenia, w celu otoczenia buntowników; wpierw jednak prosił władze orańskie o pozwolenie rozpoczęcia akcyi wojennej na terytoryum Stanu wolnego. Rząd orański nietylko nie czynił najmniejszych trudności, ale przysłał nawet urzędnika sądowego, Trutera z Kronstadtu z misyą popierania partyi rządowej. Schoemannowi jednak i tym razem jeszcze udało się wymknąć i schronić w Wakkerstroom, zkąd skierował się ku rzece Mooi, stale ścigany przez komendę rządową. W ten sposób zbliżył się w okolice Potschefstroomu; nadarzyła się więc nowa sposobność do rozpoczęcia

układów. Miałem właśnie wydać moim Burgerom rozkaz rozpoczęcia bitwy, kiedy ujrzeliśmy zbliżających się ku nam parlamentarzy.

Między nimi poznałem prezydenta Pretoriusa, który wziął na siebie rolę pośrednika. Zaproponował wybór nowej komisyi dla załatwienia sporu drogą polubowną.

Propozycya została przyjęta.

I tym razem także wybrano mnie razem z kilku innymi dla układania się z pełnomocnikami buntowników; między tymi ostatnimi znajdował się i prezydent Pretorius. Spotkaliśmy się, podług zwyczaju, na pół drogi między obu obozami. Ponowiłem moją propozycyę, aby się poddać wyrokowi Rady Ludowej, która powierzyła urząd prezydenta van Rensburgowi, a buntowników odesłała przed Trybunał najwyższy.

Były wprawdzie różnice w zdaniach co do składu tego Trybunału najwyższego, ale, ostatecznie, po długich debatach, sprawę tę i jeszcze inne załatwiono, w ten sposób, jak zalecałem, to jest zgodnie z przepisami konstytucyi.

Prócz tego uchwalono, że prezydent van Rensburg zwoła Trybunał najwyższy w jaknajkrótszym przeciągu czasu.

Postanowienia te przyjęły obie strony; poczem rozjechaliśmy się i wojna zdawała się ukończoną.

Prezydent van Rensburg, stosując się ściśle do powziętych postanowień, zwołał niezwłocznie Trybunał najwyższy, złożony z równej liczby członków z obu stronnictw. Pierwszą sprawą, poddaną jego wyrokowi była sprawa Andrzeja du Toitę; Trybunał najwyższy rozstrzygnął ją w duchu nieprzychylnym dla stronnictwa opozycyjnego; członkowie jego natychmiast opuścili salę. Na tem samem posiedzeniu skazano ich na zapłacenie kosztów sądowych i wojennych; postanowiono przytem zwołać radę wojenną i zaprosić na nią oficerów Schoemanna.

Zostałem mianowany wodzem naczelnym i, z tego tytułu otrzymałem od rządu polecenie ściągnięcia kosztów wyprawy i równocześnie sprowadzenia oficerów, mających wejść do składu rady wojennej. Chcąc wypełnić te polecenia zwołałem zgromadzenie ludowe w obwodzie Heidelbergu, gdzie mnie przyjął z największą serdecznością feldkornet tego obwodu, niejaki Roets, stronnik Schoemanna.

Udało mi się ściągnąć polubownie część kosztów, nie wywołując żadnego oporu, przywieźć do Pretoryi pewną liczbę oficerów ze stronnictwa opozycyjnego.

Powrót mój został upamiętniony wypadkiem komicznym. Dowiedziałem się, że pewien młody Boer wyprzedzał mnie nieznacznie, opowiadając wszędzie, że Paweł Krüger idzie tuż za nim, ale on mu radzi cofnąć się z tej drogi, w przeciwnym bowiem razie rzeczy przyjmą dla niego obrót bardzo nieprzyjemny. Jadąc nocą wyprzedziłem tego dziwnego kuryera, a później zawróciłem do najbliższej fermy; wkrótce zjawił się tam i ów młodzieniec. Nie wiedząc z kim ma do czynienia natychmiast rozpoczął swą zwykłą piosnkę. Wysłuchałem go do końca, wreszcie rzekłem tonem ojcowskim:

— Młodzieńcze, pozwól mi udzielić ci dobrej rady. Nie rozsiewaj podobnych bredni. Wasze stronnictwo i tak już dosyć zawiniło, sprzeciwiając się prawom krajowym.

— Ale kto pan jesteś?

— Jestem Paweł Krüger.

Zaledwie młody człowiek usłyszał tę odpowiedź, schwycił swego konia za grzywę i wskoczył na siodło

z takim pośpiechem, że omal co nie spadł na ziemię; dosiadłszy zaś konia, popędził jak strzała. Gdy przyszło mi na myśl zapytać go o imię był już daleko.

Niemniej zabawny wypadek zdarzył się podczas naszego powrotu, na ostatnim popasie między Heidelbergiem i Pretoryą. Zatrzymałem się w fermie niejakiego Strijdoma, człowieka podejrzanego, którego stosunki ze stronnictwem Schoemanna były powszechnie znane. Żona jego, zresztą, znała większość oficerów, których zabrałem z sobą, między innymi komendanta, Jana Marais, ale mnie nie widziała nigdy w życiu i wzięła za jednego z oficerów z komendy Marais'go. Rozżalona była na całe stronnictwo rządowe, ponieważ mąż jej za odmowę zasiadania jako sędzia w trybunale pierwszej instancyi (urząd ten powierzono mu według form przepisanych) skazany został na karę pieniężną wysokości 100 funtów sterlingów. Nie chcąc jej zapłacić, uciekł z domu.

Historyę tę opowiedziała nam owa niewiasta, przeplatając ją wielu miłemi słówkami, wypowiedzianemi przeważnie pod adresem owego „Pawła Krügera" (och, gdyby go mogła dostać w swe ręce!), który pozwolił sobie wymierzyć jej mężowi tak ciężką karę pieniężną. Ma się rozumieć, nie grałem w tem wszystkiem żadnej roli, ponieważ tylko trybunał skazywał winnych na grzywny; ale kobieta największą urazę żywiła do mnie, ponieważ w jej oczach reprezentowałem głowę stronnictwa rządowego.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Jan Bantjes, należący do stronnictwa rządowego. Zbliżył się do mnie i ściskając moją dłoń, zawołał:

— Jakto, pan tutaj, jenerale? A spostrzegając Jana Marais, dodał:

— Prawdopodobnie Marais jest jeńcem pańskim?

— Nie—odparłem—towarzyszy mi z dobrej woli, chcąc być obecnym na radzie wojennej.

Te kilka słów były dla kobiety błyskiem światła. Gadatliwość postawiła ją w położeniu dosyć trudnem. Błagała mnie o przebaczenie, mówiąc:

— O, panie jenerale, nie gniewaj się na mnie, nie wiedziałam z kim mam do czynienia. Jestem bojaźliwa z natury i sądziłam, że jesteście stronnikami Schoemanna. Obawa dyktowała mi te wszystkie słowa. Gdybym była wiedziała, kto pan jesteś, byłabym mówiła wręcz przeciwnie, zawsze bowiem wypowiadam takie zdanie, jakie mają moi interlokutorzy; jest to najlepszy sposób zachowania zgody ze wszystkimi.

Ażeby dać dowód swej dobrej woli, chciała natychmiast złożyć na moje ręce owe sto funtów sterlingów kary.

Starałem się jej wytłómaczyć, że sprawa ta zupełnie do mnie nie należy.

Od tej chwili aż do naszego wyjazdu pani Strijdom nie przestała obsypywać mnie uprzejmościami.

Rada wojenna zebrała się w Pretoryi, ale żaden wypadek sensacyjny nie upamiętnił jej posiedzeń. Wkrótce potem prezydent van Rensburg polecił mi udać się do Stanu Wolnego, ażeby rozstrzygnąć kwestyę uregulowania granic. Trudno było niezmiernie dostać się na miejsce przeznaczenia, po drogach bowiem grasowały bandy Schoemanna. Towarzyszyła mi tylko słaba eskorta. Zaledwie zbliżyłem się do Potschefstroomu, pokazano mi wedety kolumny nieprzyjacielskiej, dowodzonej przez Jana Viljoena, komendanta Marico.

Udałem się na ich spotkanie, poprzedzony przez feldkorneta Sarel Eloffa, którego zadanie polegało na przepatrzeniu drogi.

Ta przednia straż znalazła Viljoena i jego żołnierzy w pobliżu piaszczystego wzgórza (copje), który Eloff zajął natychmiast. Ponieważ jednak Viljoen oznajmił mu, że nie ma żadnych zamiarów wrogich, Eloff opuścił zdobyte stanowisko, zbliżając się z ufnością do grupy jeźdźców, którzy znakami przywoływali go do siebie.

Zaledwie się jednak znalazł wśród nich, razem ze swemi szyldwachami, jeźdźcy owi otoczyli ich ze wszystkich stron i zaciągnęli do *laageru* Viljoena. Eloff, dzięki wybornemu wierzchowcowi, zdołał się wymknąć i przedostać do mego obozu, znajdującego się w pobliżu *laaegeru* nieprzyjacielskiego. Innych jeńców strzeżono pilnie, nie szczędząc im — jak to opowiadali później — najstraszniejszych pogróżek, w razie gdybym nie zmienił mego stanowiska nieprzyjaznego.

Kolumna nieprzyjacielska zaczęła niezwłocznie opasywać mój obóz, nie czyniąc jednak wyraźnych kroków zaczepnych. W tych warunkach i wobec mniejszości liczebnej mego wojska, nie chciałem pogarszać i tak już trudnego położenia; postanowiłemwięc udać się do Oranje w towarzystwie jednego tylko Eloffa. Inni burgerowie, stanowiący moją eskortę, mieli powrócić do swych ognisk domowych, przemykając się na los szczęścia między wedetami nieprzyjacielskiemi. Wielu z nich wpadło w ręce kolumny ruchomej, ale mnie i Eloffowi udało się przedostać do fermy Bührmann, leżącej w pobliżu rzeki Nosorożca (Rhinoceros [1]) w Oranie.

Podczas długiego dosyć pobytu w Bührmann, starałem się wywiadywać jaknajdokładniej o wszystkich ruchach komendy Wiljoena. Konnym kuryerom, przynoszącym mi te wiadomości, poleciłem równocześnie rozgłosić w stronnictwie nieprzyjacielskiem, że się wyrzekłem myśli powrotu do ojczyzny, ponieważ Rzeczpospolita zanadto była szarpana niezgodą wewnętrzą. Przypuszczałem, że podstęp ten skłoni Viljoena do wypuszczenia na wolność zabranych jeńców. Ażeby tym wieściom nadać większą wagę, zacząłem otwarcie wydawać niektóre rozporządzenia, mające utrwalić ogólne mniemanie, że istotnie mam szczery zamiar osiedlić się w Oranie. Sprowadziłem kilka wozów, kupiłem fermę z tym warunkiem, że ją będę mógł odstąpić napowrót, nawet posłałem do rodziny rozkaz, ażeby się przygotowywała do wyjazdu. Wszystko obmyślone było tak dobrze, że nawet stronnictwo rządowe w Pretoryi zaniepokoiło się tym moim planem, tembardziej, że wojna domowa zdawała się rozpalać nanowo z jeszcze większą siłą.

[1]) Dopływ Vaalu.

Komenda rządowa pod rozkazami prezydenta Rensburga zajęła pozycyę nad brzegiem rzeki Krokodylowej, oczekując codziennie natarcia nieprzyjaciela, którego obecność stwierdzono w pobliżu; główna zaś kwatera Viljoena znajdowała się w Potschefstroom.

W tym samym czasie przybył do mnie delegat rządowy z zapytaniem, jakie są moje prawdziwe zamiary. Upewniał mnie również, że nieprzyjaciel uwolnił już burgerów z mojej komendy. Nie wahałem się więc dłużej, niezwłocznie wyruszyliśmy w drogę, chcąc się połączyć z komendą, stojącą obozem nad brzegiem reki Krokodylowej. Przechodząc marszem forsownym obwód Potschefstroomu, dowiedziałem się, że w mieście tem przebywa Pretorius, który właśnie złożył urząd prezydenta Stanu Wolnego. Kazałem mu oznajmić, że pragnąłbym niezmiernie z nim się zobaczyć, ale nie mam na to czasu.

Posuwałem się szybko naprzód, zatrzymując się tylko pół godziny na fermie Stompoorfontein u Wolmaransa, jednego z naszych stronników; tegoż samego wieczora o północy przybyłem do domu do Waterkloof. W „Hoogeveld” Eloff, który dotąd nie odstępował mnie wcale, oddalił się na dni kilka, chcąc uformować oddział pułkowy w obwodzie Zwartruggens.

Opuściłem swą fermę nazajutrz o północy, aby się udać nad rzekę Krokodylową do *laageru* prezydenta von Rensburga. Po przybyciu do obozu dowiedziałem się, iż otrzymano wieść o zbliżeniu się komendy buntowników. Ujrzeliśmy ją nazajutrz rano. Zdając sobie wybornie sprawę, że nieprzyjaciel stara się zapewnić sobie posiadanie piaszczystych wzgórzy Zwartu, skierowałem swoje kolumny właśnie na jedno ze wzgórzy, będące przedmiotem zabiegów jazdy nieprzyjacielskiej. I tam się starły z sobą oba wojska.

Wyprzedziłem swój oddział i właśnie zeskoczyłem z konia, chcąc przyjść z pomocą niejakiemu Enslimowi, który popędził za mną i już celował do wroga. Wtem z pierwszych szeregów nieprzyjacielskich rozległy się okrzyki:

— Wstrzymajcie się, nie strzelajcie; lepiej się porozumieć, niż mordować wzajemnie!

Enslin spuścił broń, ale w tej samej chwili trafiła go kula w same piersi; upadł nieżywy w moje ramiona. Rozpoczął się gęsty ogień, ale po półgodzinnej walce, strzelcy z obozu nieprzyjacielskiego rzucili się do swych koni i wkrótce cała kolumna pędziła szybkim kłusem, cofając się ku Pretoryi.

Zwycięzcy burgerowie wskoczyli również na siodła, chcąc gonić uciekających, ale odwiodłem ich od tego zamiaru, zwracając uwagę, że w grucie rzeczy mamy do czynienia nie z wrogami, lecz z braćmi.

Wtem nadbiegł galopem oddział, złożony z pięćdziesięciu jeźdźców: był to Eloff z burgerami, zwerbowanemi w Zwartruggens. Przeszkodziłem mu również ścigać uciekinierów, wbrew zdaniu prezydenta van Rensburga, który nie pochwalał wcale tej postawy pojednawczej.

Cofająca się kolumna, widząc, że nie jest ścigana, wróciła się, żeby zabrać porzucone konwoje. Następnie, spostrzegając grupę piaszczystych wzgórzy, mniej więcej w odległości dwu kilometrów od naszego obozu, rozbiła tam obóz.

Wieczorem posłałem Eloffa i kilku innych ludzi, polecając im zbliżyć się, o ile możności do obozu przeciwnika i obserwować, co się tam dzieje. Eloff wykonał ten rozkaz dosyć zręcznie i przyszedł mi oznajmić, że większą część nocy komenda spędziła na przysposabianiu armat.

W ciągu tej samej nocy jednak prezydent Pretorius przybył do obozu opozycyjnego i ztamtąd wyprawił do mnie poselstwo, prosząc mnie o interview. Zgodziłem się równie chętnie, jak zawsze; zaraz wyznaczono delegowanych, którzy mieli wziąć udział w tem spotkaniu. Ze strony partyi rządowej był Grobler, Prinslos i ja; z partyi zaś opozycyjnej— ex-prezydent Pretorius, Menities i Fourie.

Podobnie, jak i na zebraniach poprzednich, zażądałem przedewszystkiem zwołania Rady Ludowej celem zatwierdzenia autorytetu władzy wybranego rządu; tego wymagała Konstytucya. Chcąc przekonać przeciwników o mojem pokojowem usposobieniu, rzekłem, że nocy poprzedniej patrol mój podjechał zupełnie blizko do ich *laageru*, co mi pozwoliło przekonać się naocznie, iż wszyscy oni byli na mojej łasce i że niespodziewanem uderzeniem mogłem zdobyć obóz, gdybym był tego chciał. Wyznanie to wywarło

wrażenie spodziewane. Po wielu dniach długich sporów postanowiono co następuje:

1) Zatwierdzenie przez Radę Ludową wszystkich rozporządzeń rządowych.

2) Nowe wybory na prezydenta.

3) Wszystkie kwestye sporne ma rozstrzygnąć polubownie Trybunał osobny, złożony z sędziów, pochodzących ze Stanu Wolnego (w tym celu mają być poczynione odpowiednie kroki u rządu orańskiego).

Partya opozycyjna żądała prócz tego upoważnienia na zwołanie komisyi, mającej czuwać nad ścisłem wypełnieniem zobowiązań rządu zawarowanych tą umową! W tym celu komisya ta miała mieć wolny wstęp do kancelaryi prezydenta Rensburga. Żądanie to zostało przyjęte bez żadnych trudności; kontrolę więc powierzono ex-prezydentowi Pretoriusowi, któremu opozycya dodała jednego jeszcze burgera. Równocześnie wydelegowano Fourie, Jana Kraepa i mnie do rządu orańskiego z prośbą o zapewnienie, że sąd rozjemczy istotnie zwołany będzie.

Po przybyciu do Oranie uzyskaliśmy zaraz widzenie się z Brandem, którego właśnie zaufanie współobywatelów powołało do objęcia władzy. Nowy prezydent Stanu Wolnego oświadczył, że, jego zdaniem, lepiej byłoby załatwić nasze zatargi nam samym drogą pokojową, niż poddawać je wyrokowi Trybunału, utworzonego z ludzi stojących po za obrębem obu stronnictw; trybunał taki musiałby ukarać zbyt wielu burgerów; dlatego Brand stanowczo nie chciał upoważnić Oranie i Orańczyków do wmieszania się w sprawę podobnego rodzaju. Zmuszony byłem usunąć trudności, szukając natchnienia w przykładach historycznych i juryzdycznych. Wyszukałem w swej pamięci i przypomniałem sobie w porę zdanie o tej kwestyi pewnego starego prawnika; twierdzi on, że fakty powstańcze, które sprowadziły wojnę domową, mogły

wskutek porozumienia się obu stronnictw walczących z sobą korzystać z amnestyi powszechnej, tylko przywódcy ich musieliby w takim razie ustąpić z urzędów publicznych, które sprawowali dotąd.

Takie rozwiązanie kwestyi Rada Ludowa przyjęła przez głosowanie powszechne i uchwaliła dekret amnestyi; tym sposobem porządek został przywrócony. Następnie przystąpiono do nowych wyborów na prezydenta.

Pretorius, który pozyskał sympatyę ogólną, przyjmując na siebie podczas tej wojny domowej rolę pośrednika i rozjemcy, został obrany po raz drugi prezydentem Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej.

Zrzekłem się dobrowolnie stopnia komendanta głównego, chcąc pozwolić moim wyborcom wystąpić otwarcie za mną lub przeciwko mnie. Na wyborach następnych zostałem jednak wybrany ponownie większością przeszło dwu trzecich głosów.

ROZDZIAŁ V.

Nowe wyprawy przeciw krajowcom.

W r. 1865 Wolny Stan Oranie prowadził wojnę z Basutami, których hordy łupiezkie siały zagładę i zniszczenie aż do samej głębi kraju. Straszne to plemię zamordowało także. kilku Transwaalczyków, między innymi niejakiego Pretoriusa, który, wracając z podróży do Natalu, chciał przejść ze swemi wozami Góry Smocze, niegdyś tak fatalne dla Retiefela i jego towarzyszów. Orańczycy prosili o wsparcie pobratymczą Rzeczpospolitę, Pretorius więc wysłał mnie na pomoc na czele komendy, liczącej około 300 ludzi [1]).

Udałem się do posiadłości Malapa i Masusa i zatrzymując się w pobliżu ich kraalów, wysłałem, stosownie do przyjętego zwyczaju, poselstwo do tych dwu wodzów, żądając wydania głównych winowajców. Masus odpowiedział, że gotów jest spełnić moje żądanie, ale prosi o zwłokę kilkodniową. Przystałem. Że zwłoki tej skorzystał w ten sposób, że zgromadził 3,000 wojowników, do których się przyłączyło 1,000 Zulusów; następnie, widząc swą siłę, uderzył na nas w nocy. Mgła, spadająca na ziemię w postaci drobnego, rzęsistego deszczu, powiększała ciemność; dzięki temu Kafrowie dostali się do środka obozu, a żaden sygnał nie został dany.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia paniki, burgerowie, którzy niemniej błogosławili ten fakt, że o dwa kroki nie było nic widać, zgromadzili się nanowo na mój głos; gdy świtać zaczęło, udało się im odeprzeć nacierających. Ta potyczka gorąca zakończyła się epilogiem komicznym.

Jeden z moich sekretarzy, imieniem Nijhoff, upił się dnia poprzedniego i za karę przywiązany został do koła wozu. W tem położeniu zasnął tak głęboko, że nie słyszał zupełnie całej wrzawy, wywołanej tą nocną walką. Budząc się zrana, przetarł oczy i rozglądając się dokoła, zawołał:

— Na Boga, możnaby powiedzieć, że tutaj się w nocy odbywała bitwa!

Uważałem za obowiązek ścigać nieprzyjaciela, który się cofnął w góry, zdążając do kraalu Malapy.

Równocześnie wysłałem kuryera do Ficka, naczelnego komendanta Orańczyków, wzywając, żeby się posuwał w tym samym kierunku ze swą komendą, liczącą 600 ludzi. W ten sposób mogliśmy połączyć nasze siły przed dosięgnięciem nieprzyjaciela. Na radzie wojennej postanowiono, że burgerowie Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, biorący udział w tej wyprawie, otrzymają na terytoryach uspokojonych fermy, rządzone według praw Stanu Wolnego.

O tej decyzyi zawiadomiono rząd i zaraz obie komendy uderzyły na nieprzyjaciela. Wskutek na-

[1]) Wszystkie cyfry, które podajemy tutaj, należy uważać za urzędowe i zastąpić niemi cyfry błędne, figurujące w dokumentach, zwanych historycznemi, a dotyczących Transwaalu.

tarcia gwałtownego Kafrowie rozpierzchli się w nieładzie, rozbiegając się na wszystkie strony i porzucając ranionych na polu bitwy; zostawili też większą część swych trzód.

Posuwając się ciągle naprzód, kierowaliśmy się teraz do kraalu Masusa. W miarę tego, jak zbliżaliśmy się do Katskatsbergu, patrol wywiadowczy donosił nam o ruchach band kafryjskich, których liczba wzrastała nieustannie, tak, że ostatecznie znaleźliśmy się wobec armii groźnej, liczącej co najmniej 20,000 ludzi. To obliczenie podane jest, oczywiście, w przybliżeniu; wnioskowaliśmy na podstawie obserwacyi następującej.

Zbliżając się do wojska nieprzyjacielskiego, złożonego wyłącznie z jeźdźców, ujrzeliśmy w pośród nich niezliczoną moc bydła, które jednak w porównaniu z ilością wojowników, zrobiło na nas wrażenie stada, przeznaczonego na dostarczenie żywności wojownikom. Później, kiedy po ucieczce Kafrów bydło to wpadło w nasze ręce, przekonaliśmy się, że liczyło ono co najmniej osiem tysięcy głów.

Tłumy pokonanych Kafrów odpłynęły do swej stolicy; wojska nasze puściły się w pogoń. Zadaliśmy im jeszcze jedną klęskę; niezliczone trzody, między któremi było trzydzieści tysięcy owiec, osiem tysięcy wołów, kilka setek koni wpadły w nasze ręce. Ale po tem zwycięztwie pamiętnem komendant Fick otrzymał zawiadomienie od prezydenta Branda, że Stan Wolny nie może się zgodzić na decyzyę rady wojennej, wskutek której burgerowie z Transwaalu otrzymać mieli część ziem zdobytych. Wobec tego burgerowie Rzeczypospolitej południowo - afrykańskiej odmówili udziału w dalszej wyprawie.

Zaraz po powrocie do swojej fermy musiałem się udać niezwłocznie do Potschefstroomu na posiedzenie Rady Ludowej z r. 1866.

Wracając ztamtąd około fermy Schoonkloof w obwodzie Rustenburga padłem ofiarą ciężkiego wypadku. Niedaleko brodu rzeki Olifant, chcąc skrócić drogę postanowiłem przejechać przez skopane łożysko wyschłego potoku, w tym celu puściłem swe muły galopem, przypuszczając, że i mój *car* (wóz) dwukołowy przebędzie tę przestrzeń pomyślnie. Tymczasem wóz się przewrócił, a ja złamałem lewą nogę powyżej kolana. Pomimo to zmuszony byłem podnieść swój wehikuł i zaprząg przy pomocy towarzyszącego mi młodego Kafra i jechać dalej, nie mogąc nawet obandażować rany. Wypadek ten skazał mnie na dziewięć miesięcy bezczynności; w ciągu tego czasu mogłem się ruszać tylko o kulach. Lewa noga pozostała na zawsze nieco krótszą od prawej, powodując lekkie kulenie, które zresztą nie da się zauważyć, jeżeli mam się na baczności.

Zaledwie wróciłem do zdrowia, w 1867 roku polecono mi dowództwo wyprawy przeciw zbuntowanym Kafrom z obwodu Zontpansberg. Nieszczęściem, komenda moja wyruszyła w pole z małym zapasem amunicyi i żywności; z tego powodu omal co nie znalazła się w położeniu bez wyjścia. Prezydent Pretorius obiecał mi przysłać wszystko, czego nam brakowało, ale nie mógł dotrzymać obietnicy, ponieważ poczynione obstalunki zatrzymane zostały na granicy. Szybkim marszem zwróciłem się do Schoemansdal; wioska ta więcej od innych cierpiała od napadów kafryjskich. W tej okolicy stoczyłem dwie kolejno po sobie następujące utarczki z bandami buntowników, dla braku amunicyi musiałem porzucać zdobyte stanowiska. Pomimo to, postanowiłem trzymać się w pobliżu, ażeby osłaniać okolicę aż do chwili powrotu dwu kuryerów, wysłanych do prezydenta po posiłki i amunicyę. Ale burgerowie, z wyjątkiem jednego velkorneta i jego małego oddziału, słyszeć nie chcieli o dłuższym pobycie w tych stronach.

Kazałem więc zgromadzić wszystkich mieszkańców wioski i zaproponowałem im pozostanie w Schoemansdal; ale i ta propozycya została źle przyjęta. Wieśniacy oświadczyli, że wolą się cofnąć razem z komendą; w ten sposób mogli przynajmniej skorzystać z wozów konwoju wojskowego i uratować swoje rupiecie i trzody; przeciwnie zaś, gdyby pozostali w wiosce, to w razie napadu Kafrów, byliby zmuszeni uciekać, pozostawiając czarnym cały swój dobytek dla braku środków przewozowych. W tych warunkach zmuszony byłem ustąpić i eskortować ludność Schoemansdalu aż do Maraby; miejscowość ta stała się odtąd jednym z głównych centrów obwodu Zontpansberskiego.

Kiedy wracając do Pretoryi przechodziłem przez Makapaansport, mieszkańcy tej okolicy przyszli do mnie ze skargą na wodza Kafrów, Machema, który uprowadził ich bydło i wogóle zachowywał się z taką arogancyą i nieprzyjaźnią, że każdej chwili spodziewali się z jego strony jakiegoś napadu.

Zaprosiłem Machema do siebie, chcąc wyznaczyć czarnemu wodzowi i jego poddanym jakiś inny obwód; zamieszkiwana bowiem przez nich okolica przedstawiała istotnie dziwny aglomerat kryjówek podziemnych, jaskiń, wąwozów niedostępnych; mieszkańcy więc z konieczności prawie musieli żyć z rabunku; co prawda, nie potrzebowali też obawiać się żadnej pogoni.

Machem stawił się na moje wezwanie, ale znaczna część jego plemienia nie chciała opuścić swych nor. Otoczyłem więc opornych ze wszystkich stron, chcąc im odjąć możność znalezienia żywności; następnie przybyłem z Machemem na czele słabej eskorty, którą uważałem za dostateczną do ich zastraszenia. Po przybyciu do kraalu oznajmiłem Kafrom o mojej obecności; ale posłańcy moi zostali przyjęci przez

szyldwachów czarnych wystrzałami z broni palnej; wysunąłem się naprzód na pierwsze hasło bojowe, ale musiałem się cofnąć przed gęsto padającemi kulami. Zawiązała się krótka walka, która zmusiła opornych do ucieczki. Machem zdołał później zgromadzić tych wszystkich, którzy nie zdążyli uciec, a cały kraal przeniesiono o pięć, czy sześć mil dalej, w górę rzeki Nijlu. Prócz tego zostawiłem w Makapaansport straż dla zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańców. Sprawa ta jednak miała dla mnie następstwa więcej skomplikowane, niż można było przypuszczać, musiałem bowiem uwięzić większą część młodych dziewcząt, należących do tego plemienia. Dziewczęta te upierały się nosić wodę i żywność nieprzejednanym, którzy nie chcieli opuścić swych pieczar. Opór więc groził przeciągnięciem się w nieskończoność, gdybym nie wpadł na ten pomysł przecięcia buntownikom dostawy żywności. Należało teraz zająć się losem moich branek. Zaprowadziłem je do Pretoryi i oddałem całą sprawę pod sąd Rady Wykonawczej. Zwyczaj angielski, przyjęty zresztą przez Boerów, wymagał umieszczenia dziewcząt wśród rodzin boerskich, które miały je wychowywać aż do pełnoletności. Ale plemię Machem, których nowe siedziby uznane zostały urzędownie, uspokoiło się tak prędko, że Rada Wykonawcza wydała rozkaz uwolnienia branek i odesłania ich do rodziny.

W roku następnym (1868) urządziłem objazd inspekcyjny w obwodach Waterborg i Zontpansberg, chcąc się przekonać osobiście, czy się stan rzeczy polepszył. W Makapaansport znalazłem wszystkich wodzów kafryjskich. Okazali oni ogromne zdumie

nie, że przybyłem do nich nie uprzedzając ich o tem. Nietylko bowiem osądzili, że stosownie do przyjętego zwyczaju, oznajmię im przez posłów, gdzie się mają zebrać, ale nawet nie pojmowali, że mogłem się odważyć przebywać wśród nich sam jeden. Podczas gdy się namyślali, jak mają postąpić, nadałem im ton, ułatwiłem im zadanie, rozkazując ze spokojem niewzruszonym wyprzęgać konie.

Wobec tego zdecydowali się powitać mnie temi słowy:

— Kiedy pokój, to pokój, a kiedy wojna, to wojna.

Prawdopodobnie chcieli przez to wyrazić, że przybycie moje bez żadnej eskorty (towarzyszył mi jeden tylko burger), było z mej strony dowodem czysto pokojowych intencyi i że wskutek tego oni także zachowują postawę pokojową.

Z Makapaanspoortu udałem się do Zontpansbergu, gdzie mi się poddał jeden z wodzów, walczących przeciwko mnie w roku zeszłym.

Dodaję, że podróż ta miała na celu nietylko osobiste zetknięcie się z wodzami kafryjskimi dla wzmocnienia węzłów łączących ich z rządem zwierzchniczym; odbywałem ją jeszcze z obowiązku wodza naczelnego sił wojskowych dla zebrania danych szacunkowych, mających służyć za podstawę przy nakładaniu podatku czynszowego, obowiązkowego dla wszystkich plemion.

ROZDZIAŁ VI.

Prezydent Bürgers.

W r. 1870 odkryto kopalnie dyamentów w Ziemi Griguasów, Kimberley i zachodnim Transwaalu. Prezydent Pretorius udał się osobiście do parceli, położonych na terytoryum Rzeczypospolitej w celu zawarcia kontraktów; został źle bardzo przyjęty przez zgraję górników angielskich, którzy się już rozsiedli w kraju i utworzyli tam rodzaj Rzeczypospolitej; prezydentem jej był niejaki Parker, który zagroził Pretoriusowi odwetem zbrojnym w razie gdyby ten próbował wystąpić przeciwko nim.

Pretorius zawiadomił o tem zajściu rząd brytański, ale ten mu odpowiedział, że nowo odkryte ziemie, obfitujące w dyamenty, należą nie do Rzeczypospolitej, ale do wodzów czarnych, Montsisa i Gasibona. Było to jedno z tych twierdzeń kłamliwych, które Anglicy powtarzają z upodobaniem, skoro tylko może im to przynieść jakąś korzyść. W gruncie rzeczy Gasibone oddawna już był usunięty od swej godności przez Rzeczpospolitę, która na jego miejsce

postawiła Malhurę. Zresztą posiadłości jego zamknięte były w granicach Rzeczypospolitej.

Chcąc rozstrzygnąć tę kwestyę sporną, prezydent Pretorius zgodził się na zwołanie sądu polubownego, który miał ją załatwić. W moich oczach był to błąd wielki, uważałem bowiem, iż Rzeczpospolita nie potrzebowała sędziów polubownych dla rozstrzygnięcia sprawy jej własnych poddanych i sporu o ziemie do niej należące. Arbitrem wybranym przez Pretoriusa był Keate, gubernator Natalu; oświadczył on, że parcele sporne są niewątpliwie własnością wodzów czarnych. Jednym ze świadków, indagowanych w tej sprawie, był wódz Kafrów, Mohilo. Zapytano go, czy nie rości pretensyi do tych ziem, przypominając mu, że się przyłożył do ich wykarczowania i uczynienia mieszkalnemi.

Odparł:

— Niewątpliwie, znajdowałem się w liczbie pierwszych pionierów białych, ale zawsze szedłem za nimi zdaleka, jak szakal za trzodą, w nadziei pochwycenia jakiejś owieczki zbłąkanej.

Powiedziano mu wtedy, że ma prawo wziąć udział w podziale ziemi, ale nie zgodził się na to, mówiąc:

— Nie, nie chcę, obawiałbym się ściągnąć na siebie gniew Malimo (Boga). Gdy nas mordowali Kafrowie Selikatsa, Malimo zesłał na nasz ratunek ludzi białych... Nie chcę obdzierać swych zbawców!...

Następnie przypomniał, że Selikatsa skazywał na śmierć starców, a trupy ich rzucał na żer ptakom drapieżnym, krążącym ponad kraalem. Nie chciał więc ograniczać praw tych samych białych, którzy jego i jego braci oswobodzili od podobnego potwora.

Rząd Rzeczypospolitej mianował komisyę, która

miała być obecną na posiedzeniu arbitrów. Byłem członkiem tej komisyi, która zaprotestowała przeciw wyrokowi gubernatora Keate'a i zaniosła przed Radę Ludową interpelacyę, dotyczącą rozporządzeń Pretoriusa. Rada Ludowa poparła naganę, której wyrazem była powyższa interpelacya, prezydent Pretorius zrzekł się więc swego urzędu.

Protest nie był zupełnie daremnym. Dzięki jemu Rzeczpospolita odzyskała część swych posiadłości, tę mianowicie, gdzie się znajduje wioska Christiania.

Usunięcie się Pretoriusa spowodowało konieczność nowych wyborów na prezydenta.

Znaczna ilość burgerów błagała mnie o postawienie kandydatury. Odmówiłem jednak stanowczo i razem ze swemi stronnikami popierałem Robinsona. Kandydatem partyi przeciwnej był Tomasz Franciszek Bürgers. Ten ostatni z powodzeniem urządził objazd przedwyborczy, który zapewnił mu znaczną większość głosów pomimo wszelkich wysiłków moich i mego stronnictwa.

Złożenie przysięgi odbyło się w Pretoryi w starym pałacu rządowym. Wziąłem udział w tej ceremonii, po ukończeniu której zwróciłem się do prezydenta z następującą przemową:

— Panie! Czyniłem wszystko, co było możliwe, aby kandydatura twoja upadła, przeważnie z powodu twojej obojętności religijnej, którą potępiam. Teraz jednak, gdy cię wybrała większość, jako dobry republikanin uchylam głowę przed wolą ludu, mając mocną nadzieję, że wiara twoja jest silniejszą, niż sądziłem; jeżeli tak jest, składam najlepsze życzenia pomyślności.

Prezydent odpowiedział:

— Burgerze, głosujący przeciwko mnie, przez

posłuszeństwo swemu sumieniu, jesteś mi równie drogim, jak ci, którzy głosowali za mną.

Wtedy otoczyła mnie znaczna część burgerów, winszując mi tej śmiałej przemowy; wielu bowiem sądziło, że nie będę miał odwagi wypowiedzieć swych przekonań.

Prezydent Bürgers był niezaprzeczenie człowiekiem niezmiernie zdolnym i inteligentnym. Dołożył wszelkich starań do szybkiego polepszenia układu i obrotu kół machiny rządowej, a także do rozszerzenia stosunków zewnętrznych. Prócz tego z namiętnością zajął się projektem przeprowadzenia kolei żelaznej między Lorenzo-Marques i Pretoryą; w tym celu odbył podróżpo Europie, gdzie miał nadzieję zaciągnąć pożyczkę. Nadzieja ta zawiodła go wprawdzie, ale w ciągu tej podróży spotkał kilku wybitnych mężów, którzy się zgodzili towarzyć mu do Afryki i osiedlić w Transwaalu; między nimi był doktór Jorisen, który następnie oddał krajowi tak wielkie usługi.

Jedyny zarzut, który możnaby zrobić Bürgersowi, jako wykonawcy, była wyraźna różnica przekonań, która go dzieliła od większości Burgerów; ta różnica zapatrywań istniała nietylko w kwestyi religijnej, ale i w innych sferach działalności autorytetu rządowego. Zresztą Rzeczpospolita nie dorosła jeszcze do wielkich idei Bürgersa. Naprzykład w sprawie kolei Lorenzo-Marques jest rzeczą niezawodną, że gdyby się nawet była udała pożyczka europejska, Rzeczpospolita w tym czasie za mało przewoziła towarów, aby ta kolej przynosić mogła korzyści materyalne.

Skłonność nadzwyczajna do nowości i plany przedwczesne wraz ze skrajnym liberalizmem religijnem nie omieszkały mu w prędkim czasie stworzyć mu przeciwników. Ale istotną przyczyną czyhającej na niego niepopularności, która miała go zdyskredytować na zawsze w oczach burgerów, była wojna z Sekukuni w 1876 r. Przyczyną tej wojny było znowu porwanie bydła. Jeden z poddanych Sekukuni'ego urządzał od niejakiego czasu obławy na trzody pewnego fermera z dóbr narodowych. Poseł od rządu, wysłany do Sekukuni'ego dla przełożenia mu całej sprawy, został przyjęty bardzo źle. Jednocześnie Sekukuni gromadził swe siły, zagrażając obwodowi Lydenburskiemu. Rząd widział się zmuszonym nauczyć go rozumu. Urządzono wyprawę, której chciał towarzyszyć sam prezydent Bürgers. Ale ponieważ ja, z tytułu wodza naczelnego miałem objąć nad nią dowództwo, sprzeciwiałem się życzeniu prezydenta stanowczo, oświadczając zresztą, że w razie, gdyby on trwał przy swem postanowieniu, ja się usuwam. Bürgers zapytał mnie o powód mego postępowania. Odpowiedziałem otwarcie:

— Jeżeli pan pójdziesz z nami, w obozie będą nieustanne zabawy i wesołe kompanie; burgerowie moi będą balowali w niedzielę, ale ja będę wystawiony na pociski nieprzyjaciela, ponieważ błogosławieństwo Boże oddali się od nas.

— Jesteś pan przecież człowiekiem tego rodzaju—odparł Bürgers—który może zabronić żołnierzom tańców.

— Nie, ponieważ pan będziesz im dawał przykład.

Prezydent Bürgers, widząc, że postanowienie moje jest niezłomne, postanowił uciec się do wybiegu. Uwolniono mnie od dowodzenia wyprawą, polecając jednak wybór jenerałów, którzy mnie mieli zastąpić. Wskazałem Mikołaja Smita, który później mianowany był wice prezydentem Rzeczypospolitej i ex-prezydenta Pretoriusa.

Prezydent Bürgers zatwierdził ten wybór i wy-

ruszył z nimi przeciw wojskom Sekukuni'ego. Po kilku dniach marszu siły boerskie napotkały Magalego; był to jeden z wodzów czarnych; obwarował się on dosyć silnie w pieczarach i wąwozac; burgerowie jednak wyparli go ztamtąd, zadając straty znaczne.

— Wziąłem już Gibraltar!—zawołał prezydent, olśniony tem pierwszem zwycięztwem.

Nieszczęściem, dalszy ciąg wyprawy nie odpowiadał temu początkowi. Pierwsze starcie się z wojskami, dowodzonemi przez samego Sekukuni'ego, wyszło Boerom na złe; powodem był brak łączności i wzajemnego porozumienia się. Komendant Joubert, któremu zaraz na wstępie udało się zdobyć obwarowane szańce Sekukuni'ego, dał się wziąć w dwa ognie i musiał się cofać przed naciskiem otaczających go Kafrów w liczbie od 4,000—8,000.

To niepowodzenie łącznie z innemi przyczynami dezorganizacyi, zniechęciło Boerów, którzy zaczęli zdradzać oznaki niesubordynacyi. Bezużytecznem było, według ich zdania, prowadzić dalej tę wojnę tak nieudolnie rozpoczętą.

Najusilniejsze namowy prezydenta Bürgersa nie powstrzymały ich od powrotu do ognisk domowych. Przed cofnięciem się jednak mała armia boerska zostawiła przed Kraalami nieprzyjacielskimi trzy silne straże, złożone z ochotników, na których czele stał jeden z wodzów boerskich i pewien oficer niemiecki; udało im się trzymać w szachu siły Sekukuni'ego, który wreszcie prosił o pokój. Boerowie zgodzili się za zwrotem kosztów wojennych w postaci 1,000 głów bydła rogatego.

Tymczasem prezydent i jego komenda wrócili do swych domów przed końcem kampanii; wywarło to wrażenie tem gorsze, że prezydent ośmielił się nałożyć na Burgerów pogłówny podatek wojenny, wysokości pięciu funtów sterlingów, ażeby w ten sposób pokryć koszty, spowodowane pozostawieniem oddziałów na granicach kafrskich. Występowałem energicznie przeciw tej mierze, uważając ją, zupełnie słusznie, za przeciwną konstytucyi; podatek bowiem narzucono bez zgody Rady ludowej, która wtedy właśnie miała swe ferye. Dla tych samych powodów znaczna część Burgerów nie chciała płacić tego podatku.

W roku 1877, kiedy otwarto posiedzenia parlamentu, pierwszą czynnością prezydenta było wystąpienie gwałtowne przeciw Burgerom, którzy nie zapłacili podatku. Nie powstrzymała go obecność sira Shepstone'a, znajdującego się podówczas w Pretoryi, dokąd przybył, jak mi się zdaje, dla zebrania danych do ankiety, któraby mogła uprawnić projekt anneksyi Transwaalu do Anglii. Stanąłem w obronie opornych, kładąc nacisk na przeciwkonstytucyjny charakter podatku.

Gdy podczas przerwy w posiedzeniu rozmawiałem na naradzie z kilku kolegami, zbliżył się do mnie prezydent Bürgers, i kładąc rękę na ramieniu, rzekt:

— Czyżbyś próbował przeczyć, panie Krüger, że Burgerowie, odmawiający płacenia podatku, są otwartymi buntownikami wobec rządu?

— Przeczę temu absolutnie—odparłem—i zaraz panu wytłómaczę motywy mojego postępowania. Burgerowie, których pan potępiasz, nie protestują wcale przeciw podatkom zwykłym; nie chcą tylko płacić podatku nadzwyczajnego, który pan nakładasz samowolnie. Zresztą, dajmy na to, że nawet zarzut pański był słuszny, pozwól zadać sobie jedno pytanie: gdyby żona pańska zawiniła wobec pana bardzo ciężko, czy byłoby z pańskiej strony szlachetnie obwiniać ją wobecności jej najcięższych wrogów? Otóż, tak właśnie zachowałeś się pan dziś względem Rzeczypospolitej,

wobec jej wroga (Shepstone'a), mogłoby to dowodzić, że pan nietylko nie kochasz swego kraju, ale go nawet nienawidzisz.

Prezydent nie znalazł na to ani słowa odpowiedzi.

Podobne spory przyczyniły się niemało do wywołania zaburzeń, z których skorzystali Anglicy dla wytknięcia drogi do aneksyi. Znaczna więszość Burgerów z Veldu (z równin) usposobiona była względem władzy wykonawczej nieprzyjaźnie; ludność zaś wioskowa [1]) złożona przeważnie z cudzoziemców, z których wielu nie posiadało nawet tytułu Burgerów, wyrażała swe zadowolenie z obecnego rządu; oczekiwali bowiem rzeczy nadzwyczajnych od owego projektu nadmorskiej kolei żelaznej, która była marzeniem Burgersa. Oczywiście przyglądali się oni ze spokojem niewzruszonym postępom opozycyi, pewni, że wynikiem jej najgorszym może być tylko włączenie do Anglii, coby im dogadzało najzupełniej.

Od nich to, naturalnie, pochodziły pierwsze petycye adresowane do Shepstone'a, w celu uzyskania tej aneksyi; petycye te podpisywane były wyłącznie przez obywateli miejskich.

Właśnie w tym czasie kończył się mandat prezydenta i Burgerowie przygotowywali się do nowych wyborów. I tym razem zwrócono się do mnie wzywając mnie gorąco do postawienia kandydatury; zrazu odmówiłem, ale wobec próśb usilnych i niezadowolenia mych przyjaciół musiałem ustąpić. Wszelako wymogłem na mych wyborcach obietnicę, że w razie, gdyby się większość oświadczyła za jakimś innym Burgerem, oni też uznają wybrańca narodu; tym sposobem chciałem uniknąć wszelkich nieporozumień, któreby mogły sprzyjać projektom aneksyi.

[1]) Jest to jedna z właściwości dyalektu boerskiego, że nazwę wioski otrzymuje każde miasto, nawet stolica, a miastami nazywają nawet nic nieznaczące kraale kafryjskie.

Już w pierwszym tygodniu, kiedy się odbywało obliczanie głosów w komitecie (na listach nieurzędowych), okazało się, że posiadałem znaczną większość. Zawiadomiony o tym rezultacie udałem się do prezydenta Bürgersa, mówiąc:

— Prezydencie, obiecuję oddać panu większość głosów, jeżeli mi pan obieca przyjąć najenergiczniejsze środki przeciw aneksyi i bronić naszej niepodległości. Jeżeli takie są zamiary pańskie, potwierdź je przysięgą, ażebym mógł zapewnić Burgerów, że sprawa ich swobody w dobrych spoczywa rękach. Co do mnie, przysięgam na honor, że dotrzymam mej obietnicy.

Bürgers obiecał zrobić wszystko, co będzie zależało od niego, aby utrzymać niepodległość Rzeczypospolitej; niestety jednak, jeszcze przed dniem wyborów sztandar angielski powiewał na całem terytoryum Transwaalu.

Zaledwie się ukończyła nieszczęśliwa wojna z Sekukunim, do Pretoryi przybył Shepstone, gubernator Natalu; właściwą jego misyą była aneksya Rzeczypospolitej, upewniał jednak, że przybył wyłącznie dla załatwienia spraw bieżących, kafryjskich i innych.

Ponieważ Shepstonowi towarzyszyło 25-ciu ludzi zbrojnych, błagałem usilnie prezydenta Bürgersa, żeby mu zabronił wstępu do miasta ze strażą angielską, a wzamian tego, aby mu przysłał eskortę, złożoną z Burgerów. Bürgers był głuchym na nasze prośby.

Rady więc moje nie zostały uwzględnione i 21 stycznia 1877 roku Shepstone wszedł trymfalnie do Pretoryi, otoczony eskortą uzbrojoną; za nim się posuwało kilka wozów. Podobało się grupie entuzya-

stycznych *legalistów* wyprządz konie i samym ciągnąć powóz aż do mieszkania. Ogół ludności nie wziął żadnego udziału w tej demonstracyi niezwykłej. Swiadkowie, obecni przy tej scenie, twierdzili później, że pomiędzy manifestantami nie było nawet dziesięciu Burgerów.

W pięć dni po 26 stycznia 1877 r. Shepstone rozpoczął rokowania z prezydentem i jego radą. Zaczął od aluzyi przezroczystej co do słabości tej Rzeczypospolitej, wyrażając swój żal, że się jej nie udało pokonać Sekukuni'ego. Obawiał się, jak mówił, że odtąd wodzowie czarni zaczną się chełpić swą mniemaną potęgą i szerzyć grabieże nawet na terytoryach jej królewskiej mości.

Ponieważ konferencya ta zapowiadała się bardzo mozolnie, Rada więc wybrała komisyę, złożoną z radcy Stanu Jorissona i ze mnie. Unikałem zresztą starannie rozpoczęcia wszelkiej kwestyi, którahy mniej lub więcej dotykała niepodległości Rzeczypospolitej; w gruncie rzeczy więc istnienie naszej komisyi ukryło się przed oczami Shepstona.

Ale on, na swoją rękę rozpoczął nową seryę pertraktacyj z prezydentem Bürgersem, który ostatecznie zwołał Radę ludową w lutym, na sesyę nadzwyczajną.

Pierwszą sprawą, poddaną pod roztrząsanie tego zgromadzenia, były propozycye pokojowe, uczynione w tym przeciągu czasu przez Sekukuni'ego; propozycye te były wynikiem wypadków przytoczonych powyżej. Nie były one wcale na rękę Shepstonowi, ponieważ nieukończona wojna z Kaframi stanowiła główny argument, który miał mu posłużyć do usprawiedliwienia aneksyi. W razie zawarcia pokoju, jego aluzye co do niedbalstwa Rzeczypospolitej i jej słabości traciły wszelkie znaczenie, a przynajmniej stawały się niewłaściwe. Odważył się więc na środek

przewlekający sprawę, a mianowicie na posłanie do Sekukuni'ego dwóch delegowanych angielskich, celem przeprowadzenia ankiety.

Prezydent Bürgers, przez słabość, przystał na tę propozycyę i delegaci angielscy wrócili, oczywiście, z odpowiedzią przewidzianą, mianowicie, Sekukuni wcale nie myślał o pokoju. Zobaczymy wkrótce, że wiarołomstwo to drogo kosztowało Anglików.

Drugą sprawą, roztrząsaną przez Zgromadzenie, był projekt konfederacyi wszystkich państw południowo-afrykańskich. Projekt ten usprawiedliwiały rozmaite powody, posłowie jednak odrzucili go zasadniczo olbrzymią większością głosów. Ja również wystąpiłem z energiczną mową przeciw tej myśli, ponieważ, mojem zdaniem, ta mniemana konfederacya mogła przynieść Boerom tylko niepodległość.

Prezydent Bürgers uciekł się tym razem do środka, nie dającego się usprawiedliwić niczem. Podniósł nagle ten fakt, że najzaciętszymi członkami opozycyi byli właśnie ci, którzy niegdyś odmówili płacenia pięciu funtów szterlingów podatku wojennego; zażądał więc wyłączenia ich ze Zgromadzenia narodowego, jako niegodnych tego zaszczytu.

Pomimo poparcia radcy stanu Jorissena, Rada ludowa uważała za obowiązek wniosek ten odrzucić. Zdemoralizowany tem niepowodzeniem Bürgers doszedł do wniosku, że konstytucya obecna nie daje mu władzy dostatecznej. Przedstawił więc Radzie projekt konstytucyi nowej, ustanawiającej ministrów odpowiedzialnych, najwyższy Trybunał i rozszerzającej władzę prezydenta.

Projekt ten zalecał również pewną zmianę w herbie Rzeczypospolitej.

Został on zresztą przyjęty przez Radę ludową, wbrew opozycyi jawnej, która się zresztą odwdzięczyła pod koniec posiedzenia, mianując mnie wice-prezyden-

tem. Lud, zapytany o zdanie, uczynił lepiej: odrzucił nową konstytucyę.

Zgromadzenie Ludowe rozwiązało się, pełne przeczuć najsmutniejszych. Większa część jego członków przewidywała, że się zerwie wkrótce wątła nić, a zawieszony na niej miecz Damoklesa spadnie na głowę Rzeczypospolitej; zbudziła się obawa, że dni niepodległości są już policzone. Niektórzy łudzili się jeszcze nadzieją, że liczne postanowienia, powzięte w ciągu sesyi nadzwyczajnej, odwrócą niebezpieczeńswta wypadki jednak, które nastąpiły wkrótce, usprawiedliwiły obawy pesymistów.

Shepstone, istotnie, oczekiwał tylko przybycia naczelnego komisarza, sir Bartle Frere'a, ażeby zrzucić maskę i odegrać swą rolę właściwą.

Sir Bartle Frere wylądował w Kapsztadzie.

W pierwszych dniach kwietnia, a już 7-go tego miesiąca Shepstone oświadczył na posiedzeniu Rady, że rząd angielski upoważnił go do omówienia przedwstępnych punktów aneksyi. Odpowiedziałem, że co do mnie, nie chcę słyszeć o tym projekcie wcale, ponieważ przysięga obowiązuje mnie do obrony Rzeczypospolitej wobec wszystkich i przeciw wszystkim. Mogę się poddać tylko w takim razie, gdyby Rada Ludowa zwolniła mnie od przysięgi i potwierdziła aneksyę. Shepstone zapytał mnie wtedy, w jakim przeciągu czasu Rada Ludowa może być zwołana. Odparłem, że zwołanie Zgromadzenia narodowego należy do prezydenta i nie wymaga czasu długiego.

Na nieszczęście wdał się w tę sprawę prezydent Bürgers, mówiąc, że nie należy nadużywać cierpliwości Shepstone'a; nie było więc już mowy o zwołaniu Rady Ludowej. Prezydent zaproponował jednakże zredagowanie protestu przeciw aneksyi; komisya wybrana przez rząd jeszcze istniejący miała złożyć ten protest Gabinetowi Londyńskiemu. Plan ten

został przyjęty, ale są podstawy do przypuszczenia, że Bürgers ani chwili nie rachował na jego skuteczność. Nie przeszkodziło to zresztą Shepstonowi ogłosić dnia 12-go kwietnia 1877 r. urzędowej aneksyi Rzeczypospolitej.

Niema słów na potępienie niesprawiedliwości politycznej podobnego czynu. Anglia gwałciła traktat Zandriverski (1852), w którym oświadczała uroczyście, że uznaje zupełną niepodległość Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej i zrzeka się wszelkich pretensyj do terytoryów, leżących na północ od rzeki Vaalu. Lecz dzisiaj wiemy, że zobowiązania najświętsze nie mają dla Anglii żadnego znaczenia; przy pierwszej sposobności wyłamuje się z nich, albo poświęca je dla swych interesów osobistych; wiemy, że tak postępowała zawsze i tak postępować będzie w przyszłości. Dzisiaj wiadomo, jakie były wstrętne skutki tego gwałtu.

Ostatnia wojna, która z Transwaalu uczyniła kupę gruzów, a setki mężczyzn, tysiące kobiet i dzieci niewinnych pozbawiła życia, wojna ta, wywołana przez Anglię wbrew wszelkiej cywilizacyi i sprawiedliwości, częściowo bierze początek w aneksyi 1877 r. Mówię częściowo, ponieważ wojnao statnia miała w gruncie rzeczy dwie przyczyny główne.

Pierwszą i główną jest bogactwo kopalni złota w ziemiach Rzeczypospolitej; drugą odwet Amajuby. Ale dodać należy, że bez aneksyi nie byłoby Amajuby, a zatem nie byłoby i odwetu.

Wpływ drażniący, który aneksya wywrzeć musiała na stosunki obu narodów, był przewidziany przez Najwyższą Radę Rzeczypospolitej; świadczy o tem protest następujący, zredagowany przez nią i zwrócodo Anglii:

„Zważywszy, że rząd Jej Królewskiej Mości traktatem Zandriverskim z r. 1852 gwarantował nie-

podległość Trawswaalu i że rząd Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej nie poczuwa się wcale do dania kiedykolwiekbądź, jakiegokolwiek powodu do akcyi nieprzyjaznej, a sam też nie przybierał nigdy postawy zaczepnej; zważywszy, że rząd republikański zawsze był i jest gotowym do zaspokojenia wszelkich wymagań słusznych, oraz usuwa wszelkie możliwe powody do niezadowolenia; zważywszy, że znowu oświadcza najzupełniejszą gotowość do zawarcia z rządem Jej Królewskiej Mości wszelkiej umowy, lub też wzięcia na siebie wszelkich zobowiązań, wymaganych dla zapewnienia bezpieczeństwa wszystkich białych narodowości w Afryce Południowej i że w każdej chwili gotów jest te zobowiązania wykonać; zważywszy, że według urzędowej deklaracyi ministra kolonii Jej Królewskiej Mości, lorda Carnaroona, rząd brytański nie może mieć zamiaru ujarzmienia Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej wbrew jej woli; zważywszy, że olbrzymia większość narodu jasno oświadczyła tak za pomocą petycyi, jako też innych sposobów, że aneksyi tej nie uznaje; zważywszy z drugiej strony, że rząd jest przekonany, iż nie jest w stanie bronić orężem swych praw i niepodległości narodowej przeciw przeważającej potędze Wielkiej Brytanii i że zresztą nim nie wyczerpie wszelkich środków pokojowych i wszelkiego pośrednictwa przyjaznego ze względu na wspólnego wroga i z obawy wywołania wielkiego żalu w całym świecie chrześcijańskim, nie ma zamiaru uczynić najlżejszego kroku, któryby mógł rzucić zarzewie wojny wśród ludności białej na południu Afryki.

„Rząd jaknajenergiczniej protestuje przeciw rozporządzeniom specyalnego komisarza Jej Królewskiej Mości i, kierowany powyższemi motywami, postanawia wysłać natychmiast do Europy i Ameryki komisyę, złożoną z deputowanych, opatrzonych pełnomocnictwem zupełnem; komisya ta w razie potrzeby ma się zwrócić do pośrednictwa osoby trzeciej, któraby przedstawiła Jej Królewskiej Mości interesy i życzenia narodu boerskiego; w razie zaś gdyby ten środek zawiódł — czegoby rząd żałował niezmiernie i czego nawet przewidywać nie chce — odwołać się powinna do przyjaznej interwencyi innych mocarstw, szczególniej tych, które uznały niepodległość naszego państwa. Na członków tej komisyi wybrano: MM. S. J. P. Krügera, wice prezydenta i członka Rady Najwyższej i E. J. P. Jorrissena, sekretarza Stanu Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej.”

Muszę jeszcze zaznaczyć, że doktór Jorissen został wybrany na moje żądanie, dzięki swej erudycyi w kwestyach prawnych i znajomości języków obcych.

Po zamianowaniu tej komisyi rada wykonawcza przestała istnieć. Prezydent Bürgers usunął się do kolonii przylądkowej, zkąd był rodem. Rzeczpospolita nie miała już prezydenta; ja zaś objąłem kierunek spraw państwowych, jako wice prezydent.

ROZDZIAŁ VII.

Pod sztandarem angielskim.

W maju 1877 r. wybrałem się w drogę z doktorem Jorissenem i M. W. E. Bockiem, którego nam dodano jako sekretarza. Celem naszej podróży było wręczenie Gabinetowi Londyńskiemu powyżej przytoczonego protestu.

Shepstone tymczasem napisał do lorda Carnarrona, ówczesnego ministra kolonii, że go zapewniłem wrazie nieudania się naszej misyi, iż będę równie wierny rządowi nowemu, jak poprzednio rządowi dawnemu. Shepstone donosił również, że doktór Jorissen uważał aneksyę za niezbędną, a zniesienie jej za zgubne dla Transwaalu.

Muszę tutaj zaznaczyć, że zawsze zaprzeczałem gorąco temu twierdzeniu Shepstona. Nietylko nie prowadziłem z nim nigdy rozmowy podobnej, ale całe moje postępowanie późniejsze zadaje kłam oskarżeniu tego rodzaju.

Po przybyciu do Anglii poselstwo nasze zauważyło wkrótce, że na podstawie dzienników i korespondencyi, mianowicie listu pastora Joosta z Potschefstroomu, ogłoszonego w *Zuid-Africaan*, rozpowszechniło się mniemanie, że tylko mała garstka nieprzejednanych, na których czele stałem ja, sprzeciwiała się aneksyi. Starałem się obalić tę intrygę, zwracając przytem uwagę, że najłatwiej jest poznać prawdę, odwołując się do plebiscytu. W ten sposób można będzie sprawdzić, czy większość burgerów jest za, czy też przeciw aneksyi.

W tym sensie napisałem nawet do ministra kolonii list, a gdy doktór Jorissen wahał się, czy ma go podpisać, przyjąłem całą odpowiedzialność na siebie. Rząd angielski odrzucił zresztą moją propozycyę pod pretekstem bardzo dziwnym, a mianowicie, że odwołanie się do plebiscytu kosztowałoby zbyt wiele czasu i pieniędzy. Jest to zwykły sposób postępowania Anglików; gdy się im daje sposobność przekonania się, że są w błędzie, nie chcą poszukiwać prawdy dla powodów mniej lub więcej kłamliwych, a następnie tak długo powtarzają swe argumenty zmyślone, aż wreszcie cały świat uwierzy, że to oni właśnie mają słuszność.

W listopadzie 1877 r. delegacya nasza opuściła Anglię; odwiedziliśmy Holandyę, Francyę i Niemcy, celem uzyskania interwencyi któregokolwiek z tych mocarstw.

Wszędzie przyjęcie było bardzo serdeczne, ale rezultat żaden.

W końcu grudnia wróciłem do swego domu, do Rustenburga, zkąd wkrótce potem udałem się do Pretoryi, ażeby złożyć sprawozdanie ze swego mandatu. Zgromadzenie było trochę burzliwe, gdy się dowiedziano, że deputacya nie przywiozła z Anglii odpowiedzi zadawalającej. Jeden z burgerów, M. W. Vorstez, wyraził życzenie, żeby się niezwłocznie odwołać do plebiscytu celem zbadania zapatrywań ludu na fakt aneksyi. Wniosek ten przyjęto jednogłośnie. Na posiedzeniu następnem w Nauwport, w obwodzie Potchefstroom, ten sam wniosek przyjęto z równem

powodzeniem; wybrano komisyę dla zredagowania plebiscytu. Na czele tej komisyi stał ex-prezydent Pretorius.

Shepstone, mocno niezadowolony z tych postanowień, prosił mnie o przykrócenie tych zaburzeń ludowych. Natychmiast w towarzystwie Pretoriusa i Viljoena udałem się do Pretoryi, gdzie miałem interview z Shepstonem. Oświadczyłem mu, że nie mogłem i nie chciałem przeszkadzać plebiscytowi, ponieważ sam zapewniałem rząd angielski, że jest to jedyny sposób wyznania, że większość narodu odnosi się wrogo do aneksyi, teraz więc nie przystoi mi zmieniać zdania.

— Jeżeliby jednak—dodałem—pan przyznał, że miałem słuszność i że raport co do uczuć narodu boerskiego, złożony przez pana narodowi angielskiemu, nie jest zgodny z prawdą, wtedy plebiscyt stałby się niepotrzebnym.

Zaraz potem Shepstone udzielił pozwolenia na zwołanie zebrań, poprzedzających głosowanie powszechne pod warunkiem, że burgerowie przybędą bez broni. Członkowie komisyi mieli czuwać nad tem, żeby prawo głosowania udzielono tylko tym burgerom, którzy posiadali prawa wyborcze.

W kwietniu 1878 r. komisya zebrała się w Doornporcie; okazało się, że zebrała ona 125 list, liczących razem 6,591 głosów przeciw aneksyi i 31 listę, zawierającą 587 głosów za aneksyą. W ten sposób uczucie narodowe wyraziło się zupełnie wyraźnie, szczególniej, że według raportu statystycznego, podanego przez Shepstona do ministeryum kolonii, ludność męzka Rzeczypospolitej nie przewyższała 8,000 i że pomiędzy temi, którzy dla jakichbądź powodów zmuszeni byli wstrzymać się od głosowania, znajdowała się znaczna ilość przeciwników aneksyi. Komisya postanowiła więc wysłać do Anglii delegacyę, która miała rządowi złożyć dowody, że większość Boerów odnosi się do aneksyi niechętnie.

Tę nową misyę powierzono Pietowi Joubert'owi, temu, który później został jenerałem, i mnie. Dodano nam jeszcze, jako sekretarza, Holendra, W. E. Bocka.

Na pokrycie kosztów podróży zebrano podczas posiedzeń zgromadzenia składkę między burgerami, którzy przeznaczyli na ten cel 1,900 funtów sterlingów.

Delegacya nasza wniosła petycyę, adresowaną do lorda Carnarvona; petycya w treściwych słowach wyrażała przekonanie mieszkańców Rzeczypospolitej, że rząd angielski był źle poinformowany co do rzeczywistych uczuć republikanów. Burgerowie nie mogli uwierzyć, żeby Anglia chciała przyłączać jakiś naród wbrew jego woli; postanowili więc rezultat plebiscytu przedstawić rządowi, aby ten mógł zdać sobie sprawę dokładną z istotnego położenia rzeczy i zmienić swą decyzyę. Niestety, w owym czasie nie znaliśmy jeszcze wcale Anglików! Dzisiaj nikt już nie byłby tak naiwnym, żeby uważać Anglię za zdolną do rachowania się z uczuciami.

Przed udaniem się do Europy delegacya nasza zatrzymała się w Kapstadzie, gdzie uzyskaliśmy widzenie się prywatne z naczelnym komisarzem i gubernatorem kolonii, sir Bartle Frere'em. Przyjął nas bardzo uprzejmie, ale nie obiecywał nam swego poparcia; zdaniem jego zresztą, cel nasz był sprzeczny z naszemi interesami — przyszłość bowiem narodu boerskiego zależała całkowicie od połączenia się z Anglią.

Przybyliśmy do Londynu w lipcu 1878 roku. Tymczasem w ministeryum kolonii lorda Carnarvona zastąpił sir M. Hicks Beach, dla sprawy boerskiej była to przepowiednia niepomyślna. Przytem w Londynie poprzedził nas list sir Shepstona, będący odpowiedzią na kroki poczynione przez nas przed odjazdem. Sir Shepstone intrygował mnie i Jouberta,

zarzucając nam, że byliśmy jedynymi twórcami niezadowolenia ludowego.

Podczas pierwszego spotkania się z sir Hicksem Beachem, oznajmił on nam, że zgadza się tylko na rozprawy piśmienne; podaliśmy mu więc raport, streszczający położenie rzeczy, podnosząc w słowach stanowczych słuszność praw Rzeczypospolitej i nicość pretekstów, służących za podstawę do billu aneksyi. Zresztą fakt aneksyi zrywał traktat Zandriverski, uznany przez rząd angielski i uznający prawa emigrantów boerskich. Wreszcie raport wyrażał nadzieję, że poczucie sprawiedliwości narodu angielskiego skłoni go do porzucenia stanowiska wrogiego niepodległości Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, którą to niepodległość uznały wszystkie wielkie mocarstwa.

Odpowiedź sir Hiksa Beacha, jak się tego można było spodziewać, brzmiała nieskończenie zniechęcająco. Jedyną rzeczą, którą minister mógł obiecać, było przyzwolenie na udzielenie Transwaalowi autonomii, skoro tylko stan kraju pozwoli na to; zaznaczał przytem, że utrzymanie tej polityki pojednawczej zależało wyłącznie od Boerów i ich mandataryuszów.

Delegacya odpowiedziała krótko, że nie może sobie wyobrazić, ażeby polityka tego rodzaju, przy której upierała się Anglia, mogła przywrócić spokój wśród Boerów, a tem mniej natchnąć ich uczuciami przyjaznemi. Słuszne prawa Rzeczypospolitej raz jeszcze zostały przedstawione w memoryale nieco dłuższym, zawsze jednak daremnie. Deputowani musieli wracać do Afryki południowej, nic nie uzyskawszy.

Podczas tej drugiej podróży do Anglii otrzymałem od pewnego Anglika, sympatyzującego z Boerami, pierścień złoty, na którym wyryte były te słowa: „Odwagi, sprawa wasza jest słuszna i w końcu musicie zwyciężyć”. Na wewnętrznej stronie sygnetu umieszczone były cyfry, wyrażające rezultat plebiscytu w kwestyi aneksyi. Do dziś dnia noszę ten pierścień, klejnot dla mnie bardzo cenny, jedyny, który noszę.

Znów na zakończenie podróży złożyliśmy wizytę mocarstwom kontynentalnym (w jesieni 1878 r.). Zwiedziłem przy tej sposobności wystawę powszechną w Paryżu; widziałem sam po raz pierwszy w życiu balon i zaraz mi się udało unieść się w powietrze; poprosiłem żartem aeronautę, ażeby mnie zawiózł do ojczyzny. W ten sposób aeronauta się dowiedział, kim jestem i ofiarował mi medal, na pamiątkę wspólnej podróży napowietrznej.

Deputacya wylądowała w Durbanie, w grudniu 1878 r. Rok 1879 rozpoczynał się pod nieszczęśliwą gwiazdą. Na całem południu Afryki burzyła się ludność czarna. Sekukuni, który niegdyś, dzięki staraniom Anglików, odmówił zawarcia pokoju, dziś zachowywał się równie odpornie, nie rozumiejąc, że ze zmianą rządu powinna się była zmienić jego postawa. Anglicy, którzy go popierali, gdy się buntował przeciw zwierzchności Rzeczypospolitej, teraz, po aneksyi Transwaalu, nakazali mu spokój i posłuszeństwo. Daremnie jednak. Ostatecznie więc trzeba było wysłać przeciw niemu oddział ochotników pod dowództwem pułkownika Rowlandsa, ale rezultaty tej wyprawy nie były najświetniejsze.

Najgorszem jednak ze wszystkiego było to, że przeciw panowaniu angielskiemu zbuntował się Cetewayo, król Zulusów. Nigdy dotąd Anglicy nie uznawali pretensyi Rzeczypospolitej do ziemi Zulusów.

Po aneksyi Transwaalu uznali wreszcie prawa dawnej Rzeczypospolitej za słuszne. Po powrocie z Europy wylądowałem w Durbanie. Sir Bartle Frere zwrócił się do mnie z prośbą o udzielenie wodzowi angielskiemu, lordowi Chelmsfordowi, wybierającemu się właśnie na wojnę, wskazówek praktycznych co do sposobu walki z Zulusami.

Zgodziłem się na to chętnie. Radziłem jenerałowi angielskiemu naśladować Boerów, którzy na każdym popasie tworzyli szańce z wozów ustawionych parami, najstaranniej wybierając szyldwachów i wszę-

dzie, ustawiając patrole, celem posiadania jak najdokładniejszych informacyj o wszystkich ruchach nieprzyjaciela.

Sir Bartle Frere prosił z początku, żebym zechciał towarzyszyć osobiście lordowi Chelmsfordowi w jego wyprawie w charakterze radcy i komendanta wojsk; nie przyjąłem tej propozycyi, ale sir Bartle upierał się stanowczo przy swoim projekcie, wreszcie powiedział, że wzamian za tę usługę mogę żądać wszelkiej nagrody; nic mi odmówionem nie będzie.

Wtedy zmieniłem zdanie i rzekłem:

— Bardzo dobrze, zgadzam się, staję na czele 500 Burgerów i oddaję wam kraj Zulusów, jeżeli dacie mi taką nagrodę, jakiej zażądam.

Sir Bartle Frere zdawał się być z początku dotknięty tem, co uważał za najzwyklejsze samochwalstwo. Twierdziłem, że z pięciuset ludźmi zaledwie ukończę pomyślnie wyprawę, dla której Anglicy uzbroili tysiące żołnierzy!

— Czyżbyście sobie wyobrażali, że stoicie tak dużo wyżej od nas?

— Bynajmniej — odparłem — ale nasza taktyka jest wyższa od waszej, a przytem znamy dobrze kraj.

Sir Frere zapytał mnie natychmiast, jaka jest nagroda, o którą się kuszę. Odpowiedziałem z prostotą:

— Niepodległość mego kraju i mego narodu!

Ale gubernator tym razem udał, że słów moich nie słyszy. Shepstone swoją drogą powtórzył piśmiennie tę samą propozycyę. Odpowiedziałem mu, że aneksya wywołała zerwanie między Boerami i rządem angielskim, tak, że teraz porozumienie się przyjazne między dwoma narodami jest zupełnie niemożliwe; Anglicy więc, w razie porażki nie mogą rachować na pomoc narodu, którego prawa do swobody zdeptali, wbrew wszelkim pojęciom o sprawiedliwości.

Znaną jest wzgarda Anglii dla jej przeciwników

czarnych. Wzgarda ta była jedną z przyczyn głównych krwawej klęski pod Isandhlawana (22 stycznia 1879 r.), gdzie wymordowano przeszło 1,200 Anglików. To niepowodzenie nauczyło ich przezorności, tak że w kilka miesięcy później (w lipcu 1879 roku) Chelmsford odniósł nad Zulusami zwycięztwo pod Ulundi, poczem nastąpiło ujęcie Cetewaya, kładące kres kampanii.

Coprawda, głos ogółu obwiniał Anglików, że oszukali głównego wodza Zulusów, nakłaniając go do wydania króla, którego wprowadzili w zasadzkę. Musimy dodać, że nigdy nie przytoczono żadnego wyraźnego dowodu na poparcie tego twierdzenia.

W marcu 1879 roku sir Shepstona zastąpił sir Owen Lanyon, członek najzupełniej niezdolny do spełniania czynności tak wielkiej wagi; wojskowy, nie miał najmniejszego pojęcia o administracyi cywilnej, zwyczajach i obyczajach boerskich.

W przyłączonej Rzeczypospolitej wrzało nieustannie. Dnia 10 stycznia 1879 r. delegacya nasza po powrocie z Europy zwołała wielki meeting, aby zdać sprawę ze swego mandatu. Na meeting stawiło się około trzech tysięcy Burgerów; byłoby się ich zebrało więcej, gdyby nie stanęły na przeszkodzie wezbrane rzeki i choroba koni, która właśnie wtedy szerzyła się najsrożej. Rozdano wszystkim kopię listu sir Frerea do Jouberta i do mnie. Gubernator wyrażał w nim nadzieję, że zechcemy przekonać naród, iż aneksya jest rzeczą nieodwołalną.

Przemówiłem krótko, dziękując Burgerom za ich gotowość do poświęceń i gorące przyjęcie, jakie okazali swym mandataryuszom; następnie nakłaniałem ich do jedności i posłuszeństwa prawom, starając się uwydatnić, że naród boerski może odzyskać swobodę tylko solidaryzując wszystkie swe wysiłki. Zgromadzenie uchwaliło porządek dnia; przyjęło owacyjnie dele-

gatów, dziękując im za spełnienie podjętego przez nich niewdzięcznego zadauia; oświadczyło jednak, że spokój jest niemożliwy wobec nieubłaganej postawy rządu angielskiego.

Kilku Burgerów podjęło myśl, że chwila obecna nadaje się do użycia siły, do której musimy się uciec, nie mogąc nic uzyskać drogą pokojową, łagodnością; dzięki jednak poparciu Pretoriusa i Jouberta udało mi się nakłonić ich do działania przezorniejszego.

Podczas posiedzenia zdarzył się wypadek następujący: pewien Burger, zwracając się do mnie, zawołał:

— Panie Krüger, mnie się zdaje, że dosyć już nasłuchaliśmy się pięknych rozpraw; odtąd naszem hasłem powinno być: „Hejże na Anglika!"

Odpowiedziałem mu z prostotą:

— Czy jesteś pewien, że gdybym teraz zawołał na ciebie: „Sah!" (rodzaj wykrzyknika, używanego w południowej Afryce dla podrażnienia psów) byłbyś mnie gotów ugryźć? A gdybym zawołał: „kąsaj!" czy mogłyby mnie twoje zęby uchwycić.

Wyprawiono Pieta Jouberta do Natalu, gdzie podówczas przebywał sir Bartle Frere, ażeby mu oświadczyć, że naród boerski postanowił nie uznać władzy angielskiej. Joubert otrzymał od gubernatora obietnicę, że przybędzie do Transwaalu osobiście, aby *de visu* zdać sobie sprawę z położenia rzeczy. Wskutek tego Burgerowie postanowili zebrać się znów w fermie Kleinfontein. Zaproszono na ten meeting sir Frere'a, który obiecał swą bytność.

W dzień naznaczony, 18 marca 1879 roku od 4—5,000 Burgerów zgromadziło się w fermie Kleinfontein. Joubert, zdając sprawę z niepowodzenia swej misyi, zakończył temi słowy:

— Obecnie zachodzi pytanie, czy naród boerski ma się poddać, czy też nie?

Przemówiłem wtedy kilka słów powtórnie, nakłaniając rodaków do unikania wszelkich zaburzeń, wszelkiej manifestacyi, mogącej zakłócić spokój kraju, i radząc im powierzyć komitetowi troskę o wybór chwili, odpowiedniej do rozpoczęcia walki, naturalnie, po wyczerpaniu wszystkich środków pojednawczych. Zalecenie moje przyszło zupełnie w porę, większość bowiem Burgerów znajdowała się w stanie podbudzenia najwyższego i głośno zapewniała o konieczności „strzelania" Anglików [1]). Cetewayo, który walczył wtedy z korpusem ekspedycyjnym i gotowi byli połączyć się z Zulusami dla zgniecenia „czerwonych kurtek".

Udało mi się jednak obalić ten wniosek, zwracając uwagę swych Boerów, że łączenie się z dzikusami przeciw narodowi cywilizowanemu byłoby czynem niegodnym ludu chrześciańskiego. Sir Bartle tymczasem kazał czekać na siebie. Po wyjeździe z Natalu, w celu udania się na meeting do Kleinfontein posuwał się naprzód z powolnością pełną wyrachowania. Może miał nadzieję, że długie oczekiwanie zniechęci Boerów, skłaniając ich do powrotu do ognisk rodzinnych, i że w ten sposób zwolniony będzie od dotrzymania swej obietnicy. Z Heidelberga, gdzie urządził popas, wysłał doniesienie, że ponieważ oczekiwany jest w Pretoryi, nie może się zatrzymać w obozie boerskim. Ale temu samemu kuryerowi wręczono odpowiedź, w której Burgerowie oświadczali, iż wobec tak długiego oczekiwania obecność jego uważają za konieczną. Tym razem nie mógł się wymówić.

W Kleinfontein powitali go przywódcy komitetu, udając się konno na jego spotkanie; następnie zaprowadzili go do obozu, w którym panowała cisza śmiertelna. Sir Bartle zaczął witać Burgerów na pra-

---

[1]) Boerowie mówią „strzelać Anglika" takim tonem, jakgdyby mówili „strzelać lwa".

wo i na lewo, ale nikt mu nie oddał ukłonu. Rokowania najważniejsze zostały odroczone na dni kilka, ażeby w przeciągu tego czasu sir Frere mógł się udać do Pretoryi.

Wrócił ztamtąd w towarzystwie gubernatora sir Owena Lanyona, kilku urzędników i eskorty zbrojnej.

Komitet wyłożył swe skargi, kładąc główny nacisk na fakt nie zaprzeczony, że aneksya wywołała niezadowolenie całego narodu.

Komisarz zgodził się na to. Raczył nawet uznać, że był źle poinformowany, i zauważyć, że cała ludność usposobiona jest wrogo dla aneksyi, a prąd ten nieprzyjazny podtrzymują najwybitniejsze jednostki w kraju. Wtedy komitet zaproponował zredagowanie nowego adresu do Anglii, przedstawiając wszystkie krzywdy narodu boerskiego; do adresu tego komisarz miał dołączyć swoje uwagi osobiste. Sir Frere obiecał poprzeć adres, chociaż osobiście oświadczał się stanowczo za aneksyą. Zaraz potem zgromadzenie rozwiązano.

Sir Bartle Frere, jak dowiedzieliśmy się później, napisał do rządu angielskiego, że w owej chwili żałował niezmiernie, iż nie ma armat i dlatego nie może buntowników nauczyć rozumu. Prawdziwie po angielsku, nieprawdaż?

Komitet nie pozostał bezczynny. Wyprawiono listy do wolnego stanu Oranie i do kolonii Przylądkowej, nakłaniając rządy do udzielenia pomocy Burgerom, dążącym do odzyskania niepodległości. W odpowiedzi na te kroki Rada ludowa stanu wolnego olbrzymią większością głosów uchwaliła przesłać nam życzenie, ażeby wysiłki nasze uwieńczył skutek jaknajpomyślniejszy. Kolonia Przylądkowa w listopadzie 1879 r. wysłała do sir Bartle Frere'a delegacyę, która miała poprzeć naszą sprawę u naczelnego komisarza. Ale delegacyi tej nie przyjęto, ubarwiając odmowę kilku kwiatkami retorycznemi; można ją było jednak streścić w tych wyrazach, będących typową odpowiedzią angielskich mężów stanu: „Fakt już dokonany".

W trakcie tego do południowej Afryki wysłany został jenerał sir Garnet Wolseley z władzą nadzwyczajną. Mianowany naczelnym komisarzem (łącznie z sir Frerem) otrzymał specyalne polecenie załatwienia wszystkich spraw bieżących, przedewszystkiem sprawy Zulusów i Transwaalu. Przytaczają niezwykły apophtegmat tego człowieka: „Dopóki słońce przyświecać będzie ziemi, Transwaal pozostanie posiadłością angielską, i raczej Vaal powróci do swych źródeł, niż Transwaal odzyska niepodległość!"

Pierwszym jego czynem była walka z Zulusami; dzięki liczebnej przewadze sił udało mu się pokonać Sekukuni'ego i zmusić go do poddania się zupełnego.

Po meetingu w Kleinfontein komitet narodowy postanowił, że następne zgromadzenie odbędzie się w Wonderfontein. Natychmiast sir Garnet Wolseley rozrzucił proklamacye, głoszące, że wszyscy, którzy wezmą udział w tym meetingu, zostaną oskarżeni o zdradę stanu, narażając w ten sposób na niebezpieczeństwo swoje majątki i swoje rodziny. Proklamacya ta nie zrobiła żadnego wrażenia, na meetingu bowiem w Wonderfontein zebrało się pięć, czy nawet sześć tysięcy Burgerów.

Położenie rzeczy zaostrzało się z dniem każdym. Zdaniem ogółu teraz właśnie nastąpiła chwila odpowiednia do rozpoczęcia walki. Chociaż zachwycała mnie jedność i stałość moich Burgerów, uważałem za obowiązek powiedzieć im jeszcze parę słów przestrogi.

Przypomniałem o znacznych siłach, któremi rozporządzała Anglia; wyraziłem obawę, że wojna, roz-

poczęta w tych warunkach, doprowadzić może stronnictwo słabsze do zniechęcenia, a więc i do klęski.

Gdy wieczór nadszedł, przebiegłem obóz, chcąc pochwycić urywki z rozmów Burgerów, ugrupowanych dokoła ognisk i poznać myśli najskrytsze swoich rodaków. Nie zupełnie jednak mogłem sobie być wdzięczny za ten pomysł; oto bowiem jeden z podsłuchanych przezemnie dyalogów:

— Zdaje mi się—mówił jakiś Burger, że Krüger nas zdradza.

— Nie—zaprzeczył drugi—nie myślę tego o nim, zrobił on dla nas zbyt dużo; zanadto jest nam oddany, aby posądzenie podobne mogło go dosięgnąć.

— A jednak — upierał się przy swojem zdaniu pierwszy—jeżeli nie ma zamiaru nas zdradzić, po jakiego licha przeszkadza nam strzelać Anglików?

— Niewątpliwie—odparł znów drugi—plany jego są, według mnie, pozbawione sensu; pomimo to jednak nie uwierzę nigdy, żeby nas mógł zdradzić.

Zaraz potem wróciłem do mego namiotu trochę smutny, ale z tem przekonaniem, że naród mój dojrzał zupełnie do wojny o niepodległość.

Na meetingu jednozgodnie uchwalono, że naród chce zachować wolność i niepodległość, a Burgerowie nie uważają siebie wcale za poddanych Jej Królewskiej Mości i nie pragną pozostać nimi, że się dopominają dawnych swobód, a przedewszystkiem przywrócenia Rady ludowej; że zgromadzenie niniejsze rozpocząć powinno kroki, mające na celu odzyskanie niepodległości. Polecono deputowanym Pretoriusowi i Bokowi zawiadomić sir Gareta Wolseleya o tej woli narodu; ale Wolseley, zamiast odpowiedzi, oskarżał posłów o zdradę stanu i rozkazał uwięzić Pretoriusa w Potchefstroom, a Boka w Pretoryi.

Burgerów, oczywiście, oburzyło gwałtownie podobne wiarołomstwo; niektórzy nawet postanowili siłą wyzwolić Pretoriusa, ale ten napisał list, prosząc ich,

by nie czynili podobnego kroku. Garstka jednak egzaltowanych nie zwróciła na to uwagi i zbrojno wyruszyła w drogę do Potchefstroom.

Właśnie tam się wybierałem, gdy mi doniesiono o tym zamiarze. Zaciąłem konia, chcąc ich dogonić i powstrzymać od podobnie szalonego kroku, co mi się na szczęście udało.

Tego samego wieczora uwolniono i Pretoriusa i Boka. Ale władze angielskie wymogły najpierw na Pretoriusie obietnicę, że przebiegnie kraj, rozdając wszędzie proklamacye rządu angielskiego; proklamacye te miały na celu przekonać Burgerów, że wszelkie ich skargi są daremne. Dano nawet do rozporządzenia Pretoriusa konie dla odbycia tej podróży.

Burgerowie, których dogoniłem niedaleko od Potchefstrom, znajdowali się jeszcze wraz ze mną w Nauwpoort, kiedy przybył Pretorius i odczytał im pismo rządowe. Zalecało ono Burgerom zachowanie spokoju; nikt przecież nie kwestyonował ich swobód, obecny zaś stan rzeczy był tylko rodzajem mostu, po którym dojść mieli z czasem do autonomii. Gdy Pretorius skończył czytanie, zwróciłem się do Burgerów:

— Burgerowie, czy rozumiecie, czego chce od was rząd angielski? Czy wiecie, czego jest warta owa autonomia, za pomocą której was pragną olśnić? Znaczy ona: włóżcie sobie stryczek na szyję, ażebym was mógł powiesić; potem zaś będzie wam wolno wywijać nogami, ile się wam spodoba. Oto co Anglicy nazywają swobodą i samorządem.

Można sobie wyobrazić, jakie powodzenie miał mój sarkazm; nazajutrz Pretorius doniósł sir Garnet Wolseleyowi, że zmuszony jest przerwać swą podróż, ponieważ Burgerowie zdecydowali się stanowczo wywalczyć niepodległość za jakąbądź cenę.

Wkrótce po tych wypadkach parlament Ziemi Przylądkowej powziął projekt skonfederowania wszyst-

kich państw Afryki południowej pod sztandarem angielskim.

Projekt ten wywołał wielkie zamieszanie wśród Boerów, przejętych sprawą swobody swego kraju; było widocznem, że w razie doprowadzenia tej konfederacyi do skutku, aneksya Transwaalu stanie się faktem dokonanym.

Wysłano więc Jouberta i mnie do Kapsztadu. Mieliśmy wymódz na naszych przyjaciołach, zasiadających w parlamencie, zaniechanie tego projektu. Przez cały czas naszej podróży przyjmowano nas wszędzie z najtkliwszem wylaniem. W samym Kapsztadzie mieliśmy interview z grupą deputowanych, którym w energicznych wyrazach przedstawiłem konieczność zniweczenia planu angielskiego, tłómacząc im zresztą, iż Rzeczpospolita w żaden sposób nie mogła przystąpić dobrowolnie do konfederacyi, w której nie miałaby prawa głosu i w której cudzoziemcy rozstrzygaliby o jej przyszłości.

— Nie maczajcie rąk w krwi waszych braci! — Temi słowy ich pożegnałem. — Projekt konfederacyi został odrzucony.

Podczas naszego pobytu w Kapsztadzie nie dawał nam spokoju jeden z członków rządu kolonialnego, nalegając usilnie, żebyśmy złożyli wizytę sir Bartle Frere'wi. Odrazu odmówiliśmy stanowczo, ale mimo to prośby ponowiono, dając nam tym razem do zrozumienia, że komisarz naczelny chce się widzieć z nami prywatnie.

— Poszedłbym chętnie—rzekłem—gdyby mi pan mógł powiedzieć, o jakiego sir Bartle Frere'a tu chodzi, gdyż znam ich co najmniej czterech.

Pierwszy z nich przybył do nas do Kleinfontein mówiąc, że nie przynosi nam wojny, ale jest zwiastunem pokoju. Następnie czytałem w niebieskiej księdze Anglii, że tego samego dnia jakiś sir Bartle Frere, a więc drugi zapewne, pisał do swego rządu:

— Gdybym był miał dostateczną ilość armat i żołnierzy, byłbym wymiótł tę zgraję agitatorów.

Sposobność poznania trzeciego sir Bartle Frere'a dała mi nasza suplika w sprawie aneksyi. Ten trzeci twierdził, że doniósł rządowi angielskiemu, iż w Kleinfontein widział 5,000 najwybitniejszych Boerów i że petycye ich polecił szczególnej uwadze gabinetu londyńskiego; później zaś w tych samych księgach niebieskich wyczytałem, że inny sir Bartle Frere, a zatem już czwarty tego samego dnia donosił rzeczonemu gabinetowi, że Boerowie, o których była mowa, stanowili tylko garstkę opryszków. Ponieważ jest rzeczą niemożebną, ażeby jeden tylko sir Bartle Frere odegrał te cztery role tak różne i sprzeczne, zatem, z powzięciem decyzyi stanowczej, czekamy aż pan nam określi dokładnie, o którego z tych czterech chodzi w obecnej chwili.

Opowiedź moja zmieszała bardzo emisaryusza angielskiego.

Podczas naszego pobytu w Kapsztadzie dokonał się w polityce dosyć ważny przewrót, a mianowicie: upadek ministerym torysów i powrót do władzy Gladstona; tego samego Gladstona, który był zawsze przeciwnikiem aneksyi. Chwila ta wydała się nam pomyślną do uczynienia najwyższego wysiłku. Napisaliśmy (w maju 1880 r.) do starego męża stanu list, w którym przedstawiliśmy istniejący stan rzeczy i desiderata narodu boerskiego; błagaliśmy o zniesienie aneksyi i powrót do *modus vivendi* z 1852 roku. Zawiedliśmy się jednak srodze, gdyż Gladstone także odpowiedział, że aneksya została już dokonaną, a gabinet nie ośmieli się doradzać Jej Królewskiej Mości zrzeczenia się zwierzchnictwa nad Transwaalem.

Po powrocie do ojczyzny zdaliśmy naszym mandataryuszom sprawozdanie z ujemnego rezultatu naszych starań; odtąd ugruntowało się między Burgerami przekonanie jednomyślne, że era meetingów i protestów platonicznych już się skończyła.

Odtąd dla dobra kraju należało pracować w milczeniu, gromadząc o ile możności jaknajwięcej broni i amunicyi, ażeby w każdej chwili być gotowymi do walki. Najwyższa przezorność i milczenie najzupełniejsze były rzeczą konieczną, jeżeli naród chciał się zbroić do wojny o niepodległość, nie obudzając przedwcześnie niczyjej uwagi.

ROZDZIAŁ VIII.

Wojna o niepodległość (1880—1881)

Pierwszą błyskawicą, ostrzegającą o nadciągającej burzy, była przymusowa sprzedaż wagonu (wozu) veldkorneta Bezuidenhouta. Rząd angielski wprowadził system przymusu legalnego, skierowanego przeciw tym, którzy nie chcieli płacić nowo nałożonych podatków. Takim oporem zaznaczali zwykle burgerzy, że władzy Anglii nad sobą nie uznają; do nich należał właśnie Bezuidenhout. Dotychczas burgerzy płacili, oznajmiając, że ulegają jedynie przemocy, ale kiedy zmiarkowali, że Anglicy widzą w tym sposobie postępowania dążności ugodowe, wielu z nich zażądało, aby notowano na pokwitowaniu ich protest poprzedni; wielu zaś poprostu odmówiło wypłaty podatków.

Rząd angielski położył areszt na wagonie Bezuidenhouta (jako zalegającego w opłacie); następnie wyprawiono wagon do Potschefstroomu, aby go sprzedać przez licytacyę publiczną. Wtedy właśnie nadszedł Piet Cronje, wsławiony w ostatniej wojnie, a z nim gromada uzbrojonych burgerów. W mgnieniu oka wagon opanowali, siłą wyrzucili zeń urzędnika sądowego i w tryumfie poprowadzili odbity wehi-

kuł do fermy Bezuidenhouta, którego natychmiast wraz z innym burgerem do mnie wysłali. Niechbym tylko stanął w Postchefstroomie, a oni zaraz walkę rozpoczną. Nie zwlekając, opuściłem moją fermę Bockenhoutfontain w pobliżu Rustenburga i podążyłem do burgerów, zebranych pod Potchefstroomem. Zaledwie przybyłem, komendant wojsk angielskich wezwał mnie do siebie.

— Przyznasz pan, że jest to bunt jawny!

Takiemi słowy zakończył ubarwione opowiadanie całej sprawy.

— Bunt istniałby tylko wtedy — odpowiedziałem — gdybyśmy uznawali aneksyę, ale tak nie jest; nie jesteśmy poddanymi angielskimi, a zatem sprawa Bezuidenhouta przekracza granice zatargu prywatnego i staje się sprawą ogólną, która obchodzi cały kraj.

Wskutek tych wypadków zwołano do Kaalfonteinu zgromadzenie ludowe, na którem był obecny sekretarz rejencyi angielskiej. Zgromadzenie ludowe, zapowiedziane na dzień 8-my stycznia 1881, zwołano na dzień 8-my grudnia 1880 do Paardekraal; po raz ostatni roztrząsać tam miano pytanie, czy zatarg z Anglią można było zakończyć pokojowo. Zresztą, w ostatniej chwili zgromadzenie zostało zakazane; miano uważać za buntowników tych, którzyby w niem udział brać chcieli.

W dniu oznaczonym tłumy napłynęły do Paardekraal; lud zawyrokował, że nadeszła chwila działania dla władzy wykonawczej, że zwołać należy Radę Ludową.

Zamianowano mnie prezydentem tryumwiratu, któremu powierzono kierunek spraw rządu. Do tryumwiratu należał ex-prezydent Pretorius i Piet Joubert [1]);

[1]) Jouberta zmusiłem nieledwie do przyjęcia władzy, do której, jak mówił, nie czuł się wcale uzdolnionym.

ten ostatni miał stanąć na czele wojska. Wydaliśmy odezwę głoszącą, że prawo słuszne narodu opiera się na jego historyi, że urzędownie uznajemy odbudowanie Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej.

Należało tę odezwę wydrukować W tym celu wysłaliśmy do Potschefstroomu około 400 ludzi pod wodzą Piet Jouberta, a nowa władza wykonawcza przeniosła się tymczasowo do Heidelbergu, co było rzeczą łatwą, gdyż Anglicy nie zostawili w tem mieście garnizonu, a urzędnik sądowy rad nie rad musiał ustąpić.

Joubert po przybyciu do Potschefstroomu zajął się drukowaniem odezwy; wtedy właśnie zabrzmiał huk pierwszego wystrzału, który tę wojną rozpoczął; Anglicy strzelili do straży burgerskiej; kula przeszyła wtedy ramię burgera, Transa Robertsa.

Jednocześnie nowo mianowana władza po raz ostatni postanowiła wysłać propozycyę zgody do gubernatora Transwaalu; lud odwoływał się do „honoru szlachetnego narodu angielskiego." W odpowiedzi kazano wojskom brytańskim zdusić *powstanie*.

Nie będę tu opisywał przebiegu tej wojny, znanej aż do najdrobniejszych szczegółów. Nie potrzebuję też wykazywać, z jaką przezornością postępować musieli burgerzy wskutek ich małej liczby (około 7,000 ludzi). W takich warunkach najlepiej było otoczyć wszystkie centry zajęte przez załogi angielskie, aby im przeciąć komunikacyę; resztę zaś burgerów wysłać na granice Natalu i tu zatrzymać siły nieprzyjacielskie. Na nieszczęście, brak amunicyi był dla nas ważną przeszkodą. Na początku wojny każdy żołnierz dostawał tylko piętnaście nabojów, tak, że trzeba było rachować na łup wojenny, aby módz walczyć z wrogiem jego własną bronią (co zresztą zdarzyło się także pod koniec ostatniej wojny). Walka, podjęta w takich warunkach, była oczywistem szaleństwem, tembardziej, że miano podburzyć przeciwko nam plemiona kafryjskie, ale Bóg rozgrzewał

nasze serca i dzięki Przedwiecznemu zwyciężyliśmy liczbę.

Wśród bitew, wydanych w ciągu tej wojny, jedna zasługuje specyalnie na głębsze zastanowienie, a mianowicie bitwa pod Bronkhorstpruit. Burgerzy zetknęli się z 94-tym regimentem, który marszem forsownym dążył z Lijdenburga do Pretoryi. Franc Joubert na czele 150 ludzi wyszedł na spotkanie Anglików. Zaledwie kolumny stanęły naprzeciw siebie, Joubert wysłał do pułkownika Anstruthera zawiadomienie, że jeśli wojsko angielskie cofnie się do Lijdenburga, rozlewu krwi nie będzie. Posłem w tej sprawie był burger, Paweł de Beer, który doskonale władał mową angielską. Anstruther odpowiedział sucho:

— Dążę do Pretoryi i do Pretoryi przybędę!

Joubert musiał więc przyjąć bitwę.

Akcya miała się rozegrać na pagórku jałowym, na którym zaledwie tu i owdzie wegetował krzak ciernisty. Anglicy uszykowali się w wąwozie, burgerzy zaś stali na otwartem polu. Kilka minut zaledwie trwała bitwa, ale wynik jej był poważny. Raniono lub zabito 250 Anglików, reszta prosiła o pardon. Pułkownik Anstruther, sam śmiertelnie raniony, kazał przywołać komendanta Jouberta. Powiedział mu, że ginie pobity przez szlachetnego przeciwnika; ofiarował mu swoją szpadę na pamiątkę, potem skonał. Nie przechwalaliśmy się nigdy tą wygraną, pomimo licznych a kłamliwych objaśnień, któremi Anglicy starali się ją usprawiedliwić, mówiąc o jakiejś rzekomej naszej zasadzce; i dzisiaj nie mówilibyśmy o tym fakcie, gdyby nie depesza lorda Robertsa, hrabiego Waterford, Kandahar i Pretorya, w której wódz naczelny chciał sfałszować dzieje, a którą w ciągu ostatniej wojny wysłał z Bronkhorstspruit do Anglii; słowa depeszy brzmią jak następuje:

„Stanąłem na polu bitwy z r. 1881, w której wojska angielskie zostały zdradą nieprzyjaciela zdziesiątkowane."

Zresztą te słowa dowodzą jedynie, że lord Roberts jest Anglikiem z krwi i kości.

Zmarły jenerał Joubert po całym kraju prowadził walkę zaciętą; był on wtedy w sile wieku i wykazał niezwykłe zdolności strategiczne. Zwycięztwa ówczesne Boerów cały świat zdumiewały. Trzeba też przyznać, że jenerałowi Joubertowi dzielnie dopomagali tacy wodzowie, jak Smit i Piet Cronje (którego bohaterstwo miało uświetnić dzień pod Paardekraalem, jeden z najkrwawszych w ostatniej wojnie). Jak wiadomo, rozstrzygającym dniem w tej kampanii był dzień bitwy pod Amajuba, 27 lutego 1881 r.

Podczas trwania tej wojny starałem się nieopuszczać Heidelbergu, rezydencyi rządu, od czasu do czasu tylko robiąc wycieczki do różnych komend, do Potschefstroom, do gór Smoczych, do Standertonu, by dodawać ducha walczącym. Byłem także w Rustenburgu, by podtrzymywać burgerów, którzy oblegali załogę angielską.

Podczas tej podróży doniesiono mi, że Kafrowie wodza Magato, którego kraal znajdował się w pobliżu, przybierają postawę groźną. W towarzystwie kilku ludzi, między innymi syna mego, Piet Krügera, udałem się do nich.

Tysiące dzikusów roiły się w kraalu w zamiarach, oczywiście, podejrzanych.

Poszedłem prosto do mieszkania Magaty i zapytałem:

— Czemu dostarczyłeś żywności załodze angielskiej, kiedy zaleciłem wam zupełną neutralność w wojnie białych z białymi?

Magato odpowiedział:

— Otrzymałem poprzednio wiadomość od Anglików, że zajęli Heidelberg i dążyli w nasze strony; grozili mi wielką karą, gdybym ośmielił się stawiać im opór.

— Wszystko to być może, ale ponieważ nie usłuchałeś moich rozkazów, stawię cię przed radą wojenną.

Pochwyciłem wodza za ramię, ale jednocześnie wpadła do chaty banda Kafrów, uzbrojona w siekiery i w strzelby. Jeden z moich towarzyszów, Piet van der Walt, zagroził Kafrom, że natychmiast strzeli do Magaty, jeśli którykolwiek z nich dotknie się Pawła Krügera.

Magato, lękając się o życie własne, kazał wodzom rozpędzić dzikich, co też uczynili, nie żałując kija. Gdy spokój zapanował, zwróciłem się ku Magato i rzekłem:

— Zwołaj teraz swoich Kafrów, bo do nich przemówię.

Wódz zawahał się, i chciał pośredniczyć między mną a Kaframi.

— Nie—odparłem—sam pragnę mówić.

Na rozkaz Magaty wodzowie Kafrów powrócili zmieszani i bez broni. Przemówiłem do nich, ganiąc ostro ich nikczemne postępowanie i nakazując surowo, by nadal siedzieli cicho, nie mieszając się do wojny białych, która ich nic a nic nie obchodzi. Potem wziąłem w obroty głównego wodza, dopóki nie złożył uroczystej obietnicy, że odtąd pozostanie neutralnym.

Cała sprawa zakończyła się ku ogólnemu zadowoleniu, a wtedy prosiłem Magaty, aby mi pożyczył dwa konie, które miały mnie zawieźć do Heidelbergu; ale wódz kafryjski zauważył, że taka pożyczka mogła go narażać na odwet Anglików.

— Jednakże—doradził mi—powtórz swoją prośbę wobec wszystkich Kafrów; ja się będę opierał, a ty zawołaj: „Nie chcesz pożyczyć mi koni, to sam je zabiorę."

Poddałem się tej komedyi i dostałem podwodę, o którą mi właśnie chodziło.

Wojna dobiegała do końca.

Podczas zawieszenia broni zaproszono mnie na granicę Natalu, by traktować o pokój. Puściłem się więc w podróż, jedną z najcięższych, jakie odbyłem, bo ulewy poniszczyły drogi, a przytem musiałem okrążać miejsca zajęte przez Anglików, co niezmiernie przedłużało podróż. W przewidywaniu, że nie stanę na czas w miejscu umówionem (Langsneck w Natalu), prosiłem przez jenerała Jouberta o przedłużenie zawieszenia broni, które trwać miało tylko do dnia 14-go marca. Tymczasem burgerzy entuzyastycznie przyjmowali przedstawicieli rządu: Pretoriusa, doktora Jorissen'a, Morego i mnie.

W kilka dni później zawarto pokój z naczelnym komisarzem, sir Ewelin'em Wood, przedstawicielem rządu angielskiego.

Spotkanie nastąpiło w równej odległości od obydwóch obozów. Rokowania pokojowe opierały się na podstawach następujących:

1) Amnestya dla wszystkich wodzów boerskich.

2) Udzielenie Boerom prawa nadania zupełnego pełnomocnictwa osobom do rokowań wybranym.

3) Wyznaczenie komisyi królewskiej, która rozstrzygać miała wszystkie spory wojną wywołane, oraz zwrócenie terytoryum poprzednio zagarniętego.

4) Autonomia pod protektoratem angielskim.

5) Utworzenie nowej posady rezydenta angielskiego.

6) Podporządkowanie interesom Anglii polityki zagranicznej Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej.

Brand, prezydent Wolnego Stanu Oranje, miał asystować rokowaniom, z głosem doradczym, lecz samo utworzenie komisyi królewskiej dało powód do licznych dyskusyi. Rząd Wielkiej Brytanii pragnął widzieć składzie w komisyi tylko poddanych angielskich, z wyjątkiem Branda, doradcy dwóch partyi. Wodzowie boerscy ze swej strony żądali utworzenia

komisyi, w której każda strona miałaby równą ilość przedstawicieli. Oprócz tego Anglia chciała zatrzymać część zagarniętego terytoryum, mianowicie okręgi: Wakkerstroom i Utrecht, a wodzowie boerscy żadną miarą na to żądanie przystać nie mogli. Wreszcie, po wielu rozprawach, sir Ewelin Wood zapytał podstępnie:

— Jeżeli nie cofniemy się, czy nanowo rozpoczniecie wojnę?

— Pozwól mi pan odwrócić to pytanie—odparłem. — Jeśli nie ustąpimy, czy *wy* kroki wojenne rozpoczniecie?

Sir Wood odpowiedział twierdząco; wtedy wziąłem kapelusz w rękę i rzekłem:

— W takim razie nie mamy o czem rozprawiać.

Ale Sir Wood przytrzymał mnie za ramię, starając się gniew mój ułagodzić, a jenerał boerski, Smit, wołał zapalczywie:

— Lepiej byłoby spór z bronią w ręku rozstrzygnąć.

Nowa trudność powstała, gdy przyszła kolej na opróżnienie z wojska zajętego terytoryum i wyżywienie załóg angielskich podczas trwania rokowań pokojowych. Można było sądzić przez chwilę, że o tę przeszkodę wszystko się rozbije; już doktór Jorisson zredagował akt zerwania układów, według planu, który mu poddałem i który miano przeczytać przedstawicielom rządu angielskiego; jednak wskutek usilnej namowy Branda postanowiliśmy akt ten odrzucić. Posiedzenia odbywały się znowu w domu O'Neills'a, ale trudno było niezmiernie dojść do jakiegokolwiek porozumienia. Wood starał się wszelkiemi sposobami wykręcać z obietnic ustnych, a nawet poniżył się do kilku oszukaństw; i tak na przykład, skorzystał z ożywionej rozmowy, którą prowadziłem z Joubertem i z Jorissonem, aby wysłać do obozu zawiadomienie

o przedłużeniu zawieszenia broni. Ale ja spostrzegłem manewr i zapytałem:

— Dokąd idzie ten człowiek?

Po otrzymaniu odpowiedzi rzekłem do adjutanta angielskiego:

— *Stop that man*[1]).

I udałem się do namiotu Wood'a.

Odwołałem się do jego prawości, zaklinając, aby podpisał najpierw układ odnośny do punktów już zgodnie omówionych. Wood, do muru przyciśnięty, dał wreszcie swój podpis. Wtedy ogłoszono urzędownie stronom wojującym przedłużenie zawieszenia broni.

Podpisano wstępne punkty traktatu, ale teraz zaczęli oficerowie angielscy obniżać nasze powodzenia wojenne, zapewniając, że straty przez nas poniesione zmusiłyby nas wkrótce do zaprzestania walki. Jeden z tych oficerów zapytał Jouberta:

— Ilużludzi straciliście pod Nack'em?

— Jednego, a drugiego raniono.

Oficer roześmiał się, zaręczając, że widział więcej poległych.

— Dobrze — zawołał rozwścieczony Joubert— poszukaj pan poległych Boerów na polu bitwy, wygrzeb ich z ziemi, a jeśli dwóch znajdziesz, to ja gotów jestem zjeść tego drugiego ze skórą i z włosami.

Ci sami oficerowie wynosili pod niebiosa wytrzymałość i odwagę żołnierzy angielskich, którzy bili się do ostatniego naboju. Słuchał ich duchowny z Newcastle, który znów chwalił nasze męztwo. Zwróciłem się do niego z temi słowami:

— Po powrocie do kraju powiedz pan Jej Królewskiej Mości, że żołnierzom angielskim należy się osobna nagroda za szanowanie amunicyi; po bitwie

[1]) Zatrzymaj tego człowieka.

znaleźliśmy ją w paczkach nienaruszoną, na grzbiecie jucznych mułów.

Sam Wood zapytał pewnego razu:

— Po co wysłaliście 200 ludzi do Biggersbergu?

— Bo nam powiedziano, że w tem miejscu stoi 12,000 Anglików.

— I przeciw takiej liczbie wysłaliście tę garstkę?

— Ba! nie mieliśmy więcej ludzi; zresztą, sądziłem, że ich tam więcej nie trzeba.

Wstępna konwencya, którą Joubert i ja podpisaliśmy w imieniu Rzeczypospolitej, obejmowała punkty następujące: autonomia zupełna pod protektoratem Anglii, mianowanie rezydenta angielskiego w Pretoryi, oddanie okręgów podczas wojny zagrabionych. Sprawę palącą opróżnienia miast z załóg angielskich miała załatwić komisya królewska. Sir Wood w imieniu rządu zobowiązał się nie zajmować pozycyi, które opuścić mieli Boerowie, obozujący koło Langsneck, oraz nie wysyłać do Transwaalu ani wojska, ani amunicyi. Komisya królewska podjęła się też w przeciągu sześciu miesięcy załatwić wszelkie sprawy dotyczące pokoju, zawrzeć traktat ostateczny i kraj oddać Boerom.

W skład tej komisyi, która wkrótce rozpoczęła swoje obrady, wchodzili: Sir Herkules Robinson, nowy komisarz naczelny, Henryk de Villiers prokurator najwyższy Ziemi Przylądkowej, i sir Ewelyn Wood. Traktat przez nich opracowany nosi nazwę konwencyi w Pretoryi z r. 1881.

Przyjęcie tego traktatu przez Radę Ludową dało powód do rozpraw burzliwych. Pięć miesięcy przedtem, podczas sesyi nadzwyczajnej, ja sam, chcąc

uspokoić Burgerów, sławiłem wspaniałomyślność Anglii, dodając, że z całem zaufaniem patrzę na komisyę królewską, a w zgodzie z Anglią widzę jutrzenkę ery szczęśliwej dla ludu boerskiego. Teraz musiałem znowu sam protestować przeciw niektórym artykułom konwencyi. Wysłałem depeszę do lorda Gladstone'a, uskarżając się gorzko na niektóre punkty traktatu, sprzeczne z obietnicami poprzedniemi—ale odpowiedzi nie otrzymałem. Traktat przyjęto wreszcie ale z zastrzeżeniami następującemi: zgromadzenie oznajmiało, że ulega jedynie przemocy, a w zamian za zgodę, wydartą mu przymusem, ma nadzieję, że Anglia zechce zmodyfikować punkty konwencyi niemożliwe do przyjęcia, w szczególności zaś te, które dotyczyły zwierzchnictw Wielkiej Brytanii i strat terytoryalnych. Najbardziej oburzyło Burgerów podstawienie nazwy „Państwo Transwaalu“, na miejsce „Rzplitej Południowo-Afrykańskiej“, nazwy dla nich drogiej. Tę nazwę przywrócono dopiero w 1884, co jednak nie przeszkodziło mi używać jej stale przed sankcyą urzędową, w rozmowach z przedstawicielami angielskiego rządu. Razu jednego zwrócił mi na to nawet uwagę rezydent Jej Królewskiej Mości.

— A w jakiż sposób dowiedziesz mi pan, zapytałem, że moja ojczyzna nazywa się teraz „państwem Transwaalu” nie zaś Rzplitą Poł.-Afrykańską?

— Bo konwencya taką nazwę przyznała w 1881.

— A więc przypuśćmy, że ja sprzedaję panu fermę i piszę w kontrakcie te słowa: „Ja, niżej podpisany, Paweł Krüger, dotychczasowy właściciel... niniejszem itd.”. Czyż z powodu tego kontraktu stracę nazwę *Krüger* dlatego, że w akcie sprzedaży nazwałem się *właścicielem?* Traktat jest także kontraktem, a Rzplitą nazwano w nim Państwem Transwaalu, co jednak nie dowodzi wcale, aby innej nazwy nosić odtąd nie miała. Rzeczpospolita Południowo-Afrykańska jest i będzie jej nazwą rzeczywistą.

Sir Hudson roześmiał się i wywnioskował: „Dobrze, trzymaj się pan tej nazwy, ale nie oburzaj się, jeśli dla mnie wasz kraj będzie państwem Transwaalu.”

Od dnia 8 sierpnia, jeszcze przed otwarciem zwykłych posiedzeń Rady Ludowej, załogi angielskie kraj opuściły, a na pałacu rządowym powtórnie wywieszono *Vierckleur* [1]) drogi sercom Boerów.

---

[1]) Sztandar o czterech barwach.

ROZDZIAŁ IX.

Paweł Krüger prezydentem.

(1883 — 1888).

W roku 1882 Rada Ludowa, na wniosek Jouberta, jednomyślnie postanowiła wybrać prezydenta państwa. Jouberta i mnie naglono, abyśmy postawili nasze kandydatury na ten urząd, co też uczyniliśmy, popierając się wzajemnie. W przypuszczeniu, że na mnie wybór paść może, przygotowałem mój program osobisty, budowałem podstawy mojej przyszłej polityki:

Słowo Boże, jako natchnienie każdej działalności rządowej, i podstawa samego państwa; podniesienie rolnictwa; zgromadzenie funduszu zapasowego dla wytworzenia przemysłu narodowego; przedłużenie aż do morza linii kolei żelaznych; środki powstrzymujące napływ cudzoziemców (z wyjątkiem Holendrów), aby obce żywioły nie zalały ludności miejscowej; stosunki przyjazne z Anglią; zacieśnienie węzłów łączących nas z innemi państwami południowej Afryki; surowe przestrzeganie władzy nad plemionami niepodległemi i stosunek przyjazny z plemionami podbitemi; rozwój wszystkich instytucyj, które mają ograniczać życie narodowe kręgiem wpływów ewangelicznych a nade-

wszystko zreformowanie i podniesienie wykształcenia ogólnego—takie były czynniki, od których, według mnie, zależały przyszłe losy Rzeczypospolitej.

Podczas wyborów otrzymałem trzy czwarte głosów, zostałem więc obrany prezydentm na pięć lat następnych.

W tejże epoce Rzplita musiała walczyć z Mapochem (*alias* Njabel) w Sekukunilandzie. Mapoch dał schronienie Mampurowi, zabójcy Sekukuniego (po przywróceniu rządu republikańskiego Sekukuni był naszym wiernym sprzymierzeńcem) i nie chciał wydać nam zbrodniarza. Trzeba było rozpocząć z nim wojnę, która trwała dziewięć miesięcy i zmusiła nas do uzbrojenia czterech tysięcy Boerów. Cudzoziemiec, nazwiskiem Nelmapius, towarzyszył komendom i za pomocą dynamitu wysadzał w powietrze jaskinie, w których zwykle kryli się Kafrowie. Wojna wygasła w lipcu 1883. Mapoch musiał wydać w nasze ręce Mampura; tego ostatniego powiesiliśmy, skazując jego obrońcę na więzienie dożywotnie. Ułaskawiony przed wybuchem ostatniej wojny Mapoch osiadł w Transwaalu w pobliżu Pretoryi z garstką swoich stronników.

Wynik tej wojny powiększył znaczenie Rzeczypospolitej, wykazując jej przeciwnikom, że była dość silną, by bronić się sama, bez pomocy jakiegokolwiek obcego mocarstwa.

W tejże epoce inne wypadki zaszły na granicy południowo-zachodniej. Dwóch wodzów kafryjskich: Moszet i Montsioa walczyło z sobą. Inni wodzowie wzięli ich stronę, mianowicie: Massuw stanął przy Moszecie, a przy Montsioa—Monkoraon. Ten ostatni żył zawsze w przyjaźni z Anglikami i teraz zwerbował sobie między nimi ochotników. Za jego przykładem poszła druga strona wojująca, przyrzekając 3000 mórg ziemi każdemu, kto do niej przystanie. Pomimo chwiejnej podstawy takiej obietnicy, zwabiła ona wielu ochotników z Transwaalu, z Oranie, nawet

z Przylądka. Rząd Rzplitej musiał ogłosić dekret zakazujący Burgerom przyłączać się do Kafrów; dekret nie miał jednak żadnego wpływu na ludzi, pociągniętych nadzieją wysokiej nagrody.

Rząd musiał wysłać generała Jouberta na granicę zachodnią, aby zawrócił Burgerów nieposłusznych dekretowi, ale Rzplita nie mogła wmieszać się urzędownie do walk wodzów kafryjskich, bo konwencya odebrała jej prawo władzy nad ich terytoryum.

Kalwejn, inny wódz dzikich, zbuntował się tymczasem, lecz uspokoił go natychmiast generał Joubert na czele swej komendy.

Wreszcie Moszet i Massuma pobili swoich przeciwników. Ochotnicy byli przeważnie Boerami, chociaż znajdowało się między nimi kilku Anglików. Zajęli obszar gruntu równy parcelom im należnym i założyli dwie maleńkie rzeczypospolite: (Stellaland i Gosen); pierwszą zarządzał J. van Niekerk; jej stolicą był Wrijburg. Stolicą Rzplitej Gosen został Rooigrand, a jej zarządcą Gey van Pattius. Wkrótce wybuchły między temi państewkami kłótnie, a potem doszło nawet do wojny z wodzami kafryjskimi, od których dzierżyli swe ziemie. Wytworzyły się też w nich dwie partye polityczne; jedna chciała przyłączyć się do kolonii Przylądka, druga do Transwaalu. Kolonia wysłała im osobistość, niewątpliwie najodpowiedniejszą do pogodzenia państewek spragnionych jakiegokolwiek jarzma: wysłała Cecyla Rhodes'a. Transwaal ze swej strony wysłał generała Franciszka Jouberta, którego zamianowano wtedy komisarzem granicy zachodniej. Ten ostatni zawiadomił nowe państewka, że Transwaal nic dla nich uczynić nie może, ponieważ na mocy konwencyi londyńskiej (działo się to w roku 1884) nowe rzeczypospolite leżały po za obrębem jego terytoryum.

Ze swej strony wódz kafryjski, Montsioa, zapragnął również należeć do liczby poddanych Transwaalu. Wydanym wówczas dekretem rząd, odnosząc

się do konwencyi z r. 1884, według której miał prawo zawierać traktaty z wodzami dzikusów, tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie, poddając je ratyfikacyi Anglii, przyjął w poczet swych poddanych wodzów Moszeta i Montsioa, aby uniknąć dalszego rozlewu krwi. Akt urzędowy brzmiał jak następuje: „Dekret niniejszy wydany został zgodnie z postanowieniami, wyrażonemi w konwencyi londyńskiej i pod zastrzeżeniem tychże, zawartych w artykule IV". Ta konkluzya dopuszczała możliwość odwołania dekretu i wykazywała jednocześnie, iż Rzeczpospolita miała zamiar poddania aneksyi ratyfikacyi Anglii [1]). Ale gabinet londyński innego był zdania; to też wysłał do Afryki sir Charles Warrena z poważną siłą zbrojną (5,000 ludzi) dla uspokojenia granic zachodnich. Jednocześnie sir Herkules Robinson telegrafował do Pretoryi, że dekret powinien być poprostu odwołany, gdyż Anglia poprzednio już oświadczyła, że terytoryum sporne jej wpływom podlega. Rząd Rzeczypospolitej, choć nigdy o podobnym wpływie nie słyszał, odwołał dekret bez protestu. Prezydent Krüger sam udał się na granicę w towarzystwie doktora Leyds'a, głównego prokuratora, aby koniec waśni przyśpieszyć.

Wkrótce potem zjechałem do Fourteen Stream aby zobaczyć się z Warrenem i Rhodesem. Jedynym skutkiem konferencyi było zgodne uznanie potrzeby mianowania komisyi mieszanej, którąby określiła granice zgodnie z artykułami konwencyi, a w razie sporów prezydent Brand miałby głos rozstrzygający. W owym czasie Rhodes stał po mojej stronie. Natomiast bardzo źle wyrażał się o Joubercie; aby go uciszyć, musiałem zauważyć, że gani nieobecnego.

[1]) Jednakże pastor du Toit, dyrektor oświaty, którego powołano na miejsce Fr. Jouberta wywiesił chorągiew Transwaalu w przyłączonych państewkach, co wywarło wielkie wrażenie w kołach dyplomatycznych Afryki Południowej. Krüger kazał ściągnąć chorągiew boerską i wytoczyć śledztwo. Du Toit tłumaczył się, że rozwinięcie sztandaru nie miało na celu zaznaczenia władzy Rzeczypospolitej, a jedynie zwrócenie uwagi na przylepiony obok niego dekret. Dodajmy, że akt wzmiankowany był zupełnie legalnym, o czem świadczą własne słowa Krügera.

Kiedy komisarze określili granice, zaproponowałem, aby natychmiast wyznaczono ją na gruncie, zwracając uwagę, że konie komendy Warena, policyi i mojej własnej świty, już ją kopytami wydeptały. Ale Warren propozycyi nie przyjął, lękając się, jak mówił, by nie przyszło do krwawej utarczki między moimi a jego ludźmi.

Wyprzedziłem o całe dwa lata porządek chronologiczny faktów, gdyż to spotkanie nastąpiło dopiero we dwa lata po mojej trzeciej podróży do Anglii. Przedsięwziąłem tę podróż wskutek decyzyi Rady Ludowej z 1883 r., która wyznaczyła delegacyę mającą wyjednać u gabinetu londyńskiego zniesienie konwencyi z roku 1881, a przynajmniej staranną jej rewizyę w duchu zgodniejszym z żądaniami ludu boerskiego. Członkami delegacyi byli oprócz mnie: generał Smit i pastor du Toit, ówczesny dyrektor oświaty, oraz dr. Jorissen, który wyprzedził nas, by zbadać grunt w Londynie, zkąd wkrótce zatelegrafował do nas, iż rząd gotów jest wejść w układy z delegatami Boerów.

Pastor du Toit wydawał przedtem *Patryotę* w Paarl (Przylądek) i podczas wojny bronił gorąco spraw Rzeczypospolitej.

Po zawarciu pokoju zamieszkał w Transwaalu i został jednogłośnie prawie wybrany na dyrektora oświaty. Pomógł on dzielnie ambitnym widokom Kotzego; udało się im w ciągu posiedzenia, na którem wybierano delegacyę, zrzucić doktora Jorissena ze stanowiska sekretarza stanu, a tem samem wkręcić pastora Du Toit do delegacyi. Był to czyn podstępny, który krzywdę wielką wyrządzał Jorissenowi, a prze-

cież kraj tyle mu zawdzięczał! Ale daremnie stawałem w jego obronie, nie mogłem obalić decyzyi Rady.

Nasza delegacya wyruszyła w drogę w sierpniu 1883 i przybyła do Kapsztadu, jadąc przez Kimberley i Paarl. Przybyliśmy do Londynu 28 września. Zaczęły się rokowania z lordem Derby, ówczesnym ministrem Kolonii. Po kilku dniach tenże oznajmił, iż rząd udzieli chętnie Rzeczypospolitej takiej niepodległości, jakiej używa Wolny Stan Oranie. Delegacya zresztą określała swoje żądania, jako prostą kwestyę prawną. Kładła nacisk na ten punkt, że na mocy traktatu z r. 1852 Rzeczpospolita miała *prawo* do niepodległości, którą odebrano jej nielegalnie, a zwrócono traktatem w 1881 r., ale nie w zakresie omówionym ustnie. Podjęto także kwestyę sprostowania granic; delegacya uzyskala ich rozszerzenie, tak, iż teraz objęły dość znaczny obszar po za granicami dotychczasowemi.

Pewnego razu wybuchnęła też żywa dyskusya między mną a Herkulesem Robinsonem, który asystował rozprawom. Utrzymywałem, że niektóre fermy, jak Polfontein i Richfontein, należące dawniej do Transwaalu, powinny mu być oddane; na co Herkules Robinson szepnął: *It is a lie* (to kłamstwo). Skoczyłem z miejsca i byłbym może poturbował Robinsona, gdyby nie wdanie się osób trzecich.

— Zaklinam was, panowie — wołał lord Derby—nie róbcie gwałtów.

Odparłem, że Herkules Robinson obraził mnie i że mam prawo żądać satysfakcyi; otrzymałem ją też, bo Robinson przeprosił mnie, dodając, że w swojej uwadze nic ubliżającego nie miał na myśli.

Pomimo to później zawiązała się między nami przyjaźń, która trwała aż do śmierci Robinsona. Był to istotnie bardzo uczciwy człowiek i gentleman w całem znaczeniu tego wyrazu, jedyny zresztą komisarz, z którym mogłem z całem zaufaniem prowadzić korespondencyę prywatną.

Wkrótce potem podpisano konwencyę z 1884 r., która dawała Rzeczypospolitej zupełną niepodległość. Jedynie artykuł IV ograniczał czasami prawa Rzeczpospolitej, ale zniknęła podległość, nienawistna Boerom. To też dowodzenia lorda Chamberlaina, który później twierdził, że Transwaal podlegał zawsze Anglii, żadnych faktycznych podstaw nie miały.

Po podpisaniu konwencyi, w dniu 27-m lutego 1884 r. delegacya udała się na ląd stały i zwiedziła Holandyę; tu zamierzałem zaciągnąć pożyczkę, która pozwoliłaby nam zbudować kolej żelazną do zatoki Delagoa. Przyjmowano nas wszędzie z zapałem; zapraszano na bankiety; Holendrzy objawiali żywą radość z powodu poznania rodaków z Afryki południowej; tylko najważniejszej rzeczy brakło — funduszów. Zwiedziliśmy jeszcze Brukselę, Paryż, Madryt. Wszędzie nowe uroczystości, nowe uczty. Kolejno podejmowali nas: prezydent Rzeczypospolitej francuskiej i król hiszpański, ale wciąż nie było pieniędzy.

W Lizbonie nareszcie rząd portugalski obiecał wybudować własnym kosztem część drogi przydatnej jego posiadłościom. Wróciliśmy wtedy do Holandyi i tu kilku kapitalistów wzięło na siebie budowę reszty linii, dając podstawę przyszłemu Towarzystwu niderlandzkiemu dróg żelaznych w Afryce południowej. Po spełnieniu w ten sposób naszej misyi, powróciliśmy do kraju, ale przedtem zwiedziliśmy Berlin; tu z niezmierną serdecznością przyjęli nas: Bismarck i cesarz Wilhelm I [1]).

Teraz mogłem śmiało oznajmić Radzie ludowej, że już minęły czasy opieki obcego państwa i że Rzeczpospolita zaliczoną została do państw niepodległych, a Anglia przyjęła to zawiadomienie urzędowe głębo-

[1]) Anegdoty dotyczące rzekomego pobytu Krugera u bogatego ziemianina niemieckiego, ogólnie w Niemczech powtarzane, są jedynie czczym wymysłem według świadectwa samego Krugera.

kiem milczeniem. Przywiozłem też z Holandyi doktora Leydsa, któremu powierzyłem stanowisko sekretarza stanu. Wszyscy wiedzą, jak ważną rolę odegrał on później w losach Rzeczypospolitej południowoafrykańskiej.

Podczas sesyi prawodawczych w 1884 r. roztrząsano sprawę koncesyi drogi żelaznej do Delagoa. Ten projekt znalazł wielu przeciwników, lecz ja broniłem go wszystkiemi siłami, wykazując ważność tej kolei dla Transwaalu. Kolonia przylądkowa bowiem takie cło nakładała na nasze produkty, że Burgerzy nie mogli znaleźć zbytu na swoje towary.

Zapewniłem ich nakoniec, że nowa droga nie pociągnie za sobą nowych podatków, ale przeciwnie stanie się źródłem nowych dla kraju dochodów. Rada ludowa przyznała mi wreszcie słuszność i uchwaliła koncesyę.

W tymże czasie miano obierać głównego dowódcę wojsk naszych; jednogłośnie wybrano jenerała Jouberta.

Rok 1885 zaznaczył się nową wojną na granicy zachodniej. Massuw, któremu komisya graniczna przyznała autonomię, ale który sam udał się pod opiekę Transwaalu, nagle zbuntował się i nie chciał płacić podatków. Jenerał Joubert musiał wyruszyć przeciw niemu na czele komendy i bateryi artyleryjskiej. Dzielny Piet Cronje wziął szturmem okopy Massuwy i zdobył jego kraal po krótkiej walce, w której wódz kafryjski zginął. Straty Boerów wyniosły: 14 zabitych i 30 ranionych. Między innymi poległ Szwejtzer, dowódca artyleryi. Okrutnie dotknięte plemię zaniechało odtąd wszelkiej walki.

Rzeczpospolita przechodziła jednak ciężki kryzys. Przekroczyła już sumę kredytu w Standardbanku i tenże odmówił dalszych zaliczek. Mogłem tylko z całą usilnością podtrzymywać odwagę Burgerów. Ja osobiście liczyłem jedynie na Opatrzność, kiedy zdarzenie niespodziewane zmieniło postać rze-

czy. Odkrycie złota w Witwatersrandzie miało ocalić finanse Rzeczypospolitej. Nowa era dziejowa otwierała się przed narodem. Należy jednak zapytać się, czy było w tem dla niego szczęście, skoro ostatecznie złoto więcej jeszcze, niż rozgoryczenie wywołane aneksyami częściowemi stało się główną przyczyną klęsk, które spadły na Afrykę południową. Nie ulega wątpliwości, że ostatnia wojna wybuchnęła jedynie wskutek znalezienia złota w Transwaalu. Anglicy w nim zamieszkali daremnie rozwodziliby swoje żale; rząd angielski palcem nie ruszyłby, gdyby go nie zwabiły bogactwa krajowe, bo kwestya praw wyborczych, w gruncie rzeczy mało ważna dla cudzoziemców, była jedynie pozorem, pochwyconym przez intrygantów, którzy ukryli pod nim chciwe, osobiste żądze. Przepowiednia zmarłego jenerała Jouberta sprawdziła się okrutnie.

Kiedy przyszedł do niego radością promieniejący Burger z oznajmieniem, że znaleziono jeszcze jedno złotonośne pole, Joubert potrząsnął jeno głową:

— Nie cieszyć się, ale płakać powinieneś — wyrzekł — bo to złoto potoki krwi naszej wytoczy.

Od chwili, w której zdołano obliczyć wartość olbrzymią pól złotonośnych w Witwatersrandzie, Rzeczpospolita musiała otworzyć to terytoryum cudzoziemcom i wprowadzić w życie prawa dotyczące wydobywania złota. Ztąd wynikło, że w połowie roku 1886 okolice kopalń zaległy tłumy spekulantów i awanturników z krańców świata przybyłych.

Te gromady zawierały w sobie, rozumie się, żywioły bardzo podejrzanej wartości; przyznać jednak trzeba, że większość składała się z osób spokojnych, dla których polityka była rzeczą obojętną, gdyż przybywały tu jedynie pędzone nadzieją zdobycia majątku. Codziennie zakładano nowe kopalnie: na zachodzie kopalnie Krügersdorp; na wschodzie Heidelberg i Wigel, a później Mamanje i Kierksdorp. Zbytecznem byłoby dodawać, że powiększenie ludności i tak

dobrze opłacająca się praca w kopalniach zwiększyły dobrobyt ogólny.

Boerowie znaleźli rynki zbytu na swoje produkty, a skarb publiczny wzbogacił się różnemi opłatami.

W tymże roku zaczęto dzielić grunta złotodajne na parcele (claims), wydzierżawiane na lat 99 wzamian za oznaczone opłaty. Po upływie tego czasu grunta wracały do państwa.

Grupa takich parceli stała się kolebką miasta Johannesburga, które w przyszłości miało się tak rozwinąć i zostać centrem handlowym najważniejszym w całej Afryce południowej. Natal i Kolonie Przylądka zapragnęły też połączyć się z tem miastem za pomocą kolei żelaznej, ale ja oświadczyłem, że dopóty nie rozpatrzę projektów tych linii komunikacyjnych, dopóki nie ukończę linii do zatoki Delagoa. W rzeczywistości chodziło mi jedynie o to, aby nowe drogi nie zatamowały rozwoju handlu wewnątrz kraju. Były to obawy uzasadnione, czego najlepszym dowodem walki o brody celne, które mogły utrudnić nam stosunki z Anglią.

Nowy stan rzeczy, wywołany przez imigracyę, spowodował też potrzebę utworzenia komitetu poszukiwaczy złota *(dolvers)*, który zajmowałby się wszelkiemi sprawami, dotyczącemi pracy w kopalniach złota, a także dolą robotników. Przez pewien czas Cecyl Rhodes był członkiem tego komitetu.

W roku 1897 udałem się do Johannesburga, aby zdać sobie sprawę z położenia. Doznałem tam dobrego przyjęcia, ale jednocześnie wręczono mi wiele skarg mieszkańców, mających żale rozmaite do rządu. W przemowie wywołanej temi właśnie skargami, orzekłem, że tego rodzaju zatargi rozstrzygać powinien komitet kopalniany, wyraziłem też nadzieję, że w ten sposób wszystkie spory zakończą się z zobopólnem zadowoleniem, co uwolni mnie od konieczności użycia siły.

Niejednokrotnie wymawiano mi te słowa i być

może, iż powinienem był przemówić łagodniej, by nie poruszać drażliwości imigrantów. Ale trzeba pamiętać o różnorodności żywiołów, wchodzących w skład ludności napływowej, pamiętać o rozruchach w Kimberley, powstałych w łonie takichże elementów, co nawet władze angielskie zmusiło do użycia siły zbrojnej. Należy wreszcie pamiętać, iż Rzeczpospolita nieraz już drogo opłaciła swoją zbytnią powolność.

Moja surowość miała jedynie na celu chęć usprawiedliwioną oszczędzenia krajowi nowych zatargów z Anglią.

Zresztą skargi imigrantów przyjmowano i rozpatrywano z całą dobrą wolą, a każda słuszna skarga otrzymywała zadośćuczynienie sprawiedliwe. Tak naprzykład postąpił rząd w sprawie zbyt wysokich opłat dzierżawnych za parcele, opłaty owe zostały obniżone stosownie do żądań poszukiwaczy złota.

Od pewnego czasu Wolny stan Oranje i Rzeczpospolita nasza pragnęły połączyć się węzłami ściślejszemi. W tym celu zwołano w r. 1887 konferencyę, która jednak do niczego nie doprowadziła. Najpierw dlatego, że wymagałem, aby Wolny stan Oranje nie budował na swem terytoryum żadnej sieci dróg żelaznych, które zmniejszałyby odległość między Rzeczpospolitemi a koloniami Anglii, dopóki nie ukończę kolei wiodącej do Delagoa. Lękałem się bowiem słusznie, że nowe koleje mogą zaszachować lub powstrzymać rozwój linii komunikacyjnej, kosztem naszego rządu zbudowanej.

Powtóre wyraziłem na konferencyi życzenie zawarcia przymierza zaczepno-odpornego, ale tego rodzaju przymierze nie podobało się wcale prezydentowi Brandowi. Łatwo zrozumieć, że moje zapatrywanie na sprawę budowy dróg żelaznych ściągnęło na mnie wiele zarzutów drukowanych w dziennikach Kapsztadu, przyjmowałam je wszakże spokojnie, w przekonaniu, że spełniam swój obowiązek, broniąc przedewszystkiem interesów kraju własnego.

W tymże roku rząd boerski zgodził się na wcielenie małej *Nowej Rzeczypospolitej*, która dzisiaj stanowi transwaalski okrąg Vryheidu. Ta *Nowa Rzecz pospolita* wyłoniła się z zatargu między dwoma wodzami Zulusów, Usibepu i Dinizulu (syna Cetewaya); otóż wbrew przepisom rządu boerskiego, pewna liczba boerów z Natalu i z Rzeczypospolitej przyłączyła się do Dinizula. Ta pomoc zapewniła mu zwycięztwo; wywdzięczając się za nie odstąpił swoim stronnikom pewien obszar ziemi i ztąd powstała „Nowa Rzeczpospolita".

Łukasz Meyer, który w tej kampanii odgrywał rolę jenerała, został mianowany prezydentem. Ale obywatele pragnęli wrócić pod skrzydła Transwaalu, który przyjął synów marnotrawnych, dając im te same prawa, które panowały w czterech innych okręgach, a także możność wysyłania do Rady Ludowej czterech przedstawicieli. Mój mandat pięcioletni dobiegał do końca i Rada w 1887 r. ogłosiła wybory nowego prezydenta.

ROZDZIAŁ X.

Paweł Krüger powtórnie prezydentem obrany.

(1888 — 1893).

Podczas wyborów, które odbyły się w maju, spotkałem się znów ze współzawodnikiem w osobie jenerała Jouberta, ale wybrany zostałem znaczną większością głosów. W tymże roku podczas posiedzenia Rady dr. Leyds został sekretarzem stanu na miejsce Bocka, którego powołano na nowo utworzone stanowisko sekretarza Rady wykonawczej. Jednocześnie zaszły wypadki, mogące pociągnąć za sobą najpoważniejsze komplikacye.

Cecil Rhodes rozpoczynał właśnie erę intryg machiawelskich, które spełnić miały jego marzenia o wszechwładzy Anglii nad całą Afryką południową. Lobengula panował wówczas nad Mahabelesami i Mashonami, osiedlonemi na północ od Transwaalu. Był to syn owego Selikatsa, który, jak o tem już wspominałem, wojował z pierwszymi trekerami, później wszakże żywił dla Rzeczypspolitej uczucie przyjazne; sam Lobengula poszedł za przykładem, choć opóźnionym, swego ojca i żył w jaknajlepszej zgodzie z burgerami, którzy na jego ziemi polowali. W r. 1887 wyprawił nawet do Pretoryi jednego z najznakomit-

szych swoich wodzów w charakterze ambasadora, proponując, aby mu wysłano konsula, któryby mieszkał stale na podległem mu terytoryum. Rzeczpospolita dała posłuch jego żądaniu i powierzyła misyę konsula Piet Groblerowi, znanemu dobrze mieszkańcom Matabelelandu.

Nowy konsul miał też przedstawić Lobenguli zarys traktatu, według którego Transwaal objąłby pod swój protektorat terytoryum królika. Grobler wykonał moje polecenie natychmiast po przybyciu do Buluwayo (stolicy kafryjskiej), a Lobengula miał w krótkim przeciągu czasu dać swój podpis; chciał tylko przedtem zwołać swoich wodzów (Induna) i otrzymać pozwolenie.

Grobler skorzystał z wolnego czasu, aby dojechać do żony, która, dążąc do kraju Kafrów, znajdowała się nad rzeką Krokodylową. Ale ta podróż w towarzystwie tylko pięciu, czy sześciu ludzi była dla Groblera fatalną; spotkał bowiem w drodze bandę uzbrojonych Kafrów z plemienia Khama, które podówczas z Lobegulą wojowało. Wobec energicznej postawy gromadki Boerów cofnęła się straż przednia, pozostawiając w jej rękach jednego Kafra; Grobler wypuścił go, rozkazując, aby wodzowie przyszli zdać sprawę podróżnym ze swoich zamiarów. Sam wyszedł naprzeciw nich, zapominając o wszelkiej ostrożności, ale zaledwie posunął się o sto metrów naprzód, cała banda zwaliła się na drogę i dała ognia. Zawrócił ku swemu wagonowi, lecz zraniony kulą w nogę upadł. Na to nadbiegła młoda służąca kafryjska, Lottering, i stając między nim a napastnikami, osłoniła ranionego. Tymczasem towarzysze Groblera nanapadli z kolei na dzikich i rozproszyli ich szybko. Potem zanieśli ranionego do wagonu i bez innych przeszkód dojechali do rzeki Krokodylowej, ale na nieszczęście Grobler wskutek otrzymanej rany umarł w kilka dni później.

To morderstwo było niewątpliwie dziełem ducha

nienawiści, tak umiejętnie rozwijanego wśród dzikich przez Cecila Rodesa i jego klikę. Grobler mógł krzyżować im zamiary zlania w jedną kolonię angielską wszystkich państw Afryki południowej. Cała ta sprawa wywołała zamianę not między rządem a naczelnym komisarzem korony brytańskiej, bo wódz Khama był osłonięty jej protektoratem. Aby uniknąć pozoru do poważnego konfliktu, rząd musiał zadowolić się opłatą 200 f. szt., którą rok rocznie Khama miał składać na rzecz wdowy po Groblerze.

Aby zrozumieć rolę Cecil Rhodesa w tej całej sprawie, oraz przyczynę rzeczywistą wszystkich walk, na które Rzeczpospolita została narażona, potrzebne są szczegóły, które tu podam poniżej, dotyczące tak samej osoby Rhodesa, jak i jego dzieła naczelnego: *Chartered Company*.

Cecil Rhodes jest właśnie tym człowiekiem nieszczęścia, który najsilniej przyczynił się do klęsk, w jakie popadła Rzeczpospolita południowo-afrykańska. Ten człowiek, chociaż miał wielu wielbicieli, był niewątpliwie jedną z istot najbardziej pozbawionych wszelkich skrupułów.

Wzbogacił się w Kimberleyu, spekulując na brylantach, a potem zmonopolizował, rzec można, wszystkie kopalnie dyamentów, znajdujące się w tej miejscowości.

Odtąd na największych rynkach finansowych wszystko działo się według jego woli. Był członkiem parlamentu w Ziemi Przylądkowej; w r. 1890 został pierwszym ministrem. Dawno już czyhał na bogactwa Transwaalu; teraz zdobycz pożądana była w jego szponach. Przyłączenie do kolonii angielskich ziem: Gosen i Stella, dróg, jego zdaniem, dogodnych do sąsiednich Rzeczypospolitych było pierwszym wynikiem jego intryg.

Cecil Rhodes chciał pierwotnie zawrzeć rodzaj przymierza z Rzecząpospolitą południowo - afrykańką. Podczas jednej z licznych swoich podróży zawitał do Pretoryi i tak do mnie przemówił:

— Powinnibyśmy połączyć nasze usiłowania; wiem, iż Rzeczpospolita wzdycha do portu własnego; powinna dostać zatokę Delagoa.

— W tej sprawie — odparłem — nie wiem do czego doprowadziłoby nas nasze współpracownictwo; Delagoa należy do Portugalczyków, którzy go nam z pewnością nie odstąpią.

— To go im zabierzemy!

— Nie należę do rzędu tych ludzi, którzy porywają się na cudzą własność. Jeżeli Portugalczycy portu nie sprzedadzą, nie przyjmę go z rąk pana, bo przekleństwo Boga ciąży nad dobrem źle nabytem.

Od tej pory Rhodes zaniechał myśli nakłonienia mnie do swoich widoków.

Za jego namową naczelny komisarz rządu angielskiego, Herkules Robinson, zawarł traktat z Lobengulą, największym wodzem Matabelesów. Rhodes wymógł na nim znakomite ustępstwo, które opłacił własnemi, co prawda, pieniędzmi i pewną ilością broni palnej. Otrzymał w ten sposób prawo eksploatacyi kopalń i rozszerzył swoje wpływy u Matabelesów, aby zniweczyć tutaj przewagę Rzeczypospoltej południowo-afrykańskiej. Wkrótce jednak zrozumiał, że tylko protekcya Anglii doprowadzić go może do upragnionego celu i wtedy zaczął poruszać niebo i ziemię, aby otrzymać królewską kartę praw, z określoną władzą i z określonemi monopolami. Udało mu się to bez wielkiego trudu, bo nikt lepiej od niego nie umiał rzucać pieniędzy tam, gdzie należało, aby tylko cel swój osiągnąć. Gdzie piękne mowy były bezskuteczne, tam świecił złotem, tym Sezamem miękczącym nieugięte sumienia.

Nie ulega wątpliwości, że osoby najwyżej postawione w Anglii były osobiście zainteresowane Towarzystwem *Chartered*. Partye polityczne, które jednak płynęły po innych wodach, niż Cecil Rhodes, dostały miliony (to fakt niezbity) wzamian za poparcie.

Zresztą nikt nie będzie wiedział, do jakiej cyfry doszły sumy, które Rhodes rzucił w to przedsięwzięcie psycho - polityczne. Przekupstwa, oszustwa, kłamstwa, ten człowiek nie cofał się przed niczem, nie opuścił żadnej krzywej drogi, jeśli ona przyśpieszyć miała jego tryumf i nie było w jego oczach sposobów i narzędzi dość wstrętnych, aby ich nie użył dla swojej sprawy.

Rhodes otrzymał kartę praw, chociaż można było zapytać, jakie prawa miała Anglia do obszarów monopolami tej karty objętych. Natychmiast powstało towarzystwo z kapitałem jednego miliona f. szt., a wkrótce potem w r. 1890 Rhodes zebrał wyprawę w celu obejrzenia i wzięcia w posiadanie oddanych mu obszarów.

Nie zwrócił też, rozumie się, najmniejszej uwagi na protesty Lobenguli, który teraz wrogo na niego spoglądał. Zagarnął zaraz Mashonaland i wybudował forteczki nazwane: Salisbury, Wiktorya, Charter. Ale to wszystko równało się machaniu szablą w powietrzu, bo Rhodes przekonał się wkrótce, że cały ten kraj nie miał żadnej wartości bądź to kopalnianej, bądź rolniczej.

Teraz jedyną drogą wyjścia było zagarnięcie Matabelelandu, któremu Rhodes przypisywał istotną wartość złotodajną.

Sposób łatwo znaleziono: trzeba było tylko wywołać spór z Lobengulą. Powstał mały spisek; doniesiono Lobenguli, że Mashoni ukradli mu bydło, za co trzeba było ich ukarać (w Afryce mówią, że tę wiadomość przesłał mu sam Rhodes bezpośrednio, albo też przez swego gubernatora).

Lobengula wpadł w sidła; według przyjętego w takich razach zwyczaju posłał Mashonom pewną ilość żołnierzy, którzy zażądali odszkodowania. Wtedy Rhodes odsłonił przyłbicę i zażądał ukarania Lobenguli za najście zbrojne na jego terytoryum i zabicie kilku Mashonów. Miał już sposób w ręku. Dr Jameson na czele komendy, zapewne gotowej już oddawna, zdziesiątkował Matabelesów przy pomocy kilku dział systemu Maxima. Lobengula ratował się ucieczką i zginął, jak mówią, nad rzeką Zambezi.

Można się zapytać, co myślał w ostatniej chwili ten królik murzyński o narodzie rzekomo chrześcijańskim, który odebrał mu państwo i życie.

Lecz skrupuły nie zamącały spokoju Rhodesowi. Zajął się natychmiast wyzyskaniem nowej zdobyczy. Na wszystkie sposoby dziurawiono ziemię Matabelesów, ale bez spodziewanych rezultatów. Wtedy zapewne Rhodes pomyślał o wynagrodzeniu sobie strat poniesionych przez zagarnięcie części ziemi, należącej do Rzeczypospolitej, a potem całego jej oszaru. Potwornej tej grabieży dokonał w kilka lat później.

Brand, prezydent Wolnego Stanu Oranje, zmarł w r. 1888; przez całe ćwierć wieku godność swoją piastował. Zastąpił go Franciszek William Reitz, późniejszy sekretarz stanu Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, człowiek przez wszystkich szanowany, jeden z tych prawych, o których często mówią książki, lecz z którymi rzadko spotkać się można w życiu; serce szlachetne, wyborowe, z jedyną ambicyą służenia krajowi; jednem słowem, człowiek, którego poznać jest szczęściem. Wkrótce po jego nominacyi, w r. 1889, przedstawiciele rządu dwóch rzeczypospolitych zjechali się w Potschefstroomie w celu ponownego zaciśnięcia łączących je węzłów.

Ta druga konferencya miała zupełnie inny koniec, niż pierwsza, bo przyjęte zobowiązania równały się przymierzu odpornemu, mając głównie na celu przewidywanie wypadku, który zagrażałby utratą niepodległości jednej lub drugiej Rzeczypospolitej. Jednocześnie zawarto traktat handlowy, który w obydwóch krajach otwierał wolną zamianę produktów i towarów z wyjątkiem tych, na które Rzeczpospolita południowo-afrykańska cło nałożyć musiała, aby zapewnić rozwój własnym monopolom.

Wreszcie podpisano również ugodę co do kolei żelaznej, którą dawniej proponowałem.

W r. 1888 zjechałem powtórnie do Johannesburga, gdzie doznałem uprzejmego przyjęcia. Większość petycyi, które wówczas otrzymałem, wyrażała życzenie utworzenia instytucyi rady miejskiej i rozszerzenie kadrów sądownictwa. Aby zadosyćuczynić temu ostatniemu życzeniu, dr Jorissen został mianowany sędzią specyalnym Johannesburga (później zajęto się również utworzeniem municypalności).

Ale odtąd zaczęła mnie nurtować troska: w jaki sposób zaspokoić żądanie nowej ludności bez uszczerbku dla Rzeczypospolitej, bez szkody dla starych burgerów, bo chociaż żądanie cudzoziemców przyjmowała z największą życzliwością Rada wykonawcza, której Rada Ludowa dała zupełne pełnomocnictwo w sprawach dotyczących poszukiwaczy złota, sądziłem wszakże, że trzeba było wynaleźć taką kombinacyę, która pozwoliłaby nadać cudzoziemcom prawo głosu w przedstawicielstwie narodowem. Powziąłem wtedy myśl utworzenia drugiej Rady Ludowej, specyalnie uzdolnionej do rozstrzygania nowych kwestyj imigracyą wywołanych, jak np. prawodawstwo kopalniane, komunikacye telegraficzne i kilka innych.

Było to w każdym razie jedyne lekarstwo na skargi nowej ludności, jedyna możliwa droga dania cudzoziemcom bytu obywatelskiego i politycznego, którego dotąd odmawiały im ciasne granice konstytucyi w kwestyi prawa głosowania.

Według brzmienia konstytucyi ten tylko mógł uzyskać prawo obywatelstwa, kto przez lat pięć zapisanym był na liście veldkornetów; w moim projekcie naturalizacya mogła nastąpić po dwóch latach, dając prawo wyborcze do drugiej Rady, oraz możność objęcia urzędów publicznych, od ogólnego głosowania zależnych; wyjątek stanowiły urzędy: prezydenta Rzeczypospolitej, naczelnego dowódcy wojska i członka drugiej Rady. Ktokolwiek przez dwa lata praw tych używał, a zatem przez lat cztery był veldkornetem, mógł być członkiem drugiej Rady. W dziesięć lat później cudzoziemiec mógł korzystać ze wszystkich praw i przywilejów rodowitego burgera.

Przeciw temu projektowi powstała bardzo energiczna opozycya; niektórzy członkowie Rady Ludowej uważali, że wytworzyłaby się w ten sposób pewna hierarchia narodowa (istotnie było to trochę dążnością projektu); reszta zaś widziała w nim zbytnie ustępstwa dla cudzoziemców.

Wówczas postanowiono poddać projekt głosowaniu ludu całego, drogą *referendum*. Wyszedł on zwycięzko z tej próby, burgerzy chcieli w tej sprawie dać mi dowód zaufania. Z wszelką pewnością twierdzić mogę, że taki projekt przez kogokolwiek innego podany, przepadłby z kretesem. W roku następnym Rada Ludowa przyjęła go znaczną większością głosów.

Zdaniem prasy angielskiej, minister Chamberlain był jej echem, druga Rada nie mogła mieć znaczenia praktycznego. Najzupełniej temu przeczę. Chociaż decyzye i projekty drugiej Rady musiały otrzymać sankcyę Rady Ludowej, ta ostatnia raz tylko odmówiła swego potwierdzenia w kwestyi prawa eksploatacyi kopalnianego obszaru ziemi, którą dzierżawca wziął jedynie w celach eksploatacyi rolnej.

Trzeba też pamiętać, że to prawo, zmieniające konstytucyę na korzyść cudzoziemców, we mnie znalazło obrońcę, i przyjęte zostało przez Radę Ludową pomimo wrogiej manifestacyi, skierowanej przeciw mnie, przeciw burgerom i która niedawno miała miejsce w Johannesburgu.

Udałem się do Narvalspontu, koło rzeki Oranje, by rozmówić się z naczelnym komisarzem w sprawie ziemi Swazi. Zatrzymałem się w przejeździe w Johannesburgu i, jak zwykle, przyszła do mnie deputacya ze skargami cudzoziemców. Ponieważ odpowiedziałem delegacyi, że nie mogę w tej chwili rozpatrywać pretensyi wszystkich; jeden z jej członków zarzucił mi pogardliwe traktowanie nowej ludności. Oburzony, odpowiedziałem:

— Nie napływową ludnością gardzę, ale takimi, jak pan, ludźmi.

Natychmiast wzburzenie zapanowało w mieście. Wieczorem, gromady manifestantów obległy dom pana de Brandis, u którego mieszkałem, chwyciły sztandar Rzeczypospolitej i podarły go w kawałki. Oburzenie starych burgerów nie miało granic, i tylko z niesłychanym trudem zdołałem ich uspokoić, przedstawiając im, między innemi, że, mojem zdaniem, ogół mieszkańców Johannesburga pozostał wiernym państwu, a cały skandal jedynie spada na garstkę buntowników.

W Norwalspont naczelny komisarz wspomniał o tej całej smutnej sprawie, na co odrzekłem:

— Panie, postępowanie tych ludzi przypomina mojego babuina, którego niegdyś trzymałem w domu. Zwierzę tak się we mnie rozkochało, że nie pozwoliło, aby mnie ktokolwiek dotknął. Pewnego wieczoru siedzieliśmy koło ognia i mój babuin, nie wiem jakim sposobem sparzył sobie ogon; wtedy rzucił się na mnie z wściekłością, przypuszczając zapewne, że ja jestem przyczyną jego bólu. Tak samo postępują emigranci w Johannesburgu. Poparzyła ich mania spekulacyi i sądzą, że temu Paweł Krüger winien.

Wkrótce potem (r. 1891) obchodzono uroczyście dziesiątą rocznicę odzyskanej niepodległości i tu znowu zaszedł wypadek, który na moją niekorzyść wyzyskali cudzoziemcy. Miałem wówczas mowę, kreślącą zarysy dziejów mojego ludu tak, jak widziałem je w świetle słowa Bożego. Mowę moją rozpocząłem w sposób następujący:

„Ludu Boży, stary ludu tego kraju, wy cudzoziemcy, wy nowoprzybyli i wy zabójcy i złodzieje."

Cudzoziemcy, którzy śnili jedynie o zwiększeniu sumy swych niezadowoleń udali, ma się rozumieć, ogromne oburzenie; nazwałem ich zabójcami i złodziejami! Nie potrzebuję chyba dodawać, że w sposób najfałszywszy myśl moją przekręcili, gdyż ja chciałem poprostu wezwać każdego ze zgromadzonych, nawet zabójcę i złodzieja, jeśli się taki w tłumie znajdował do modlitwy, do ukorzenia się przed drogą cudów, którą Najwyższy lud nasz prowadził. Gdyby w słowach moich tkwiła obraza, dotknęłaby ona całego zgromadzenia; ludności dawnej i nowej, co jest rzeczą jasną dla każdego sprawiedliwego człowieka, któryby zadał sobie pracę bezstronnie słów moich wysłuchać.

Sprawa ziemi Swazi należała także do rzędu tych, które wiele kłopotów przysporzyły Rzeczypospolitej.

Ziemia Swazi ze wszystkich stron, z wyjątkiem wschodniej, otoczona naszą Rzecząpospolitą, należała do niej aż do r. 1881; wtedy oderwała ją od nas komisya królewska. Kilku burgerów otrzymało pewne ustępstwa od Umbandina, króla ziemi Swazi, a za ich przykładem poszło wielu awanturników, którzy do tego stopnia wyczerpali cierpliwość Umbandina, że zwrócił się do Anglii z prośbą o radę; to państwo, które, jak się domyśleć łatwo, z całą gotowością ofiarowało królikowi swoją pomoc; był to łatwy sposób zagarnięcia ziemi Swazi pod swoje wpływy.

Offy Shepstone, syn owego Teofila Shepstone, który w r. 1877 przyłączył Rzeczpospolitą do Wielkiej Brytanii, został doradcą Umbandina.

Ale bezład w kraju rósł ciągle tak, że w końcu oddano go pod rząd komitetu, złożonego z Boerów i z Anglików. Lecz był to jedynie krótkotrwały kompromis, a sir Herkules Robinson nie okazywał żadnej niechęci w kwestyi przyłączenia ziemi Swazi do naszej Rzeczypospolitej. Wówczas różni dżyngoiści i „filantropi," od których roiła się Wielka Brytania, podnieśli krzyk zgrozy.

Wtedy rząd angielski wydelegował posła nadzwyczajnego, sir Franciszka de Winton, aby kwestyę zbadał na miejscu.

Jenerał Joubert, delegat Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, przedstawił mu powody, dla których rząd transwaalski pragnął ziemię Swazi opanować. Potem wskutek raportu Wintona rząd angielski polecił sir Henrykowi Loch, nowemu gubernatorowi kolonii Przylądka od r. 1889 i naczelnemu komisarzowi, aby porozumiał się ze mną. Zjechaliśmy się w Blingnautspont; Cecil Rhodes asystował naszej rozmowie.

Desiderata Boerów obejmowały zgodę Anglii nietylko na przyłączenie ziemi Swazi, ale także dwóch innych terytorów sąsiednich i niepodległych: Sambaanu i Umbigezy, które tego pragnęły.

Anglicy pragnęli znów przeprowadzić kolej żelazną z Natalu do Johannesburga i oznaczyć prawa celne jednakie dla całej Afryki południowej. Ale ta unia nie podobała mi się wcale, bo w mojej polityce miałem zawsze jedną stałą zasadę: najpierw port własny, a potem ugoda celna. Natomiast zgodziłem się na projekt kolei żelaznej z Natalu do Johannesburga, ze względu na przyjazne usposobienie, jakie żywiłem dla moich sąsiadów; nie chciałem jednak, aby inne sprawy nasze od tej kolei zależały.

Aby rozstrzygnąć tę kwestyę, musiałem oprzeć się na dawniejszem zobowiązaniu i odnieść się do rządu portugalskiego, który zgodził się budować kolej żelazną do Delagoa tylko pod tym warunkiem, aby inna krótsza linia, wiodąca do Johannesburga, zbudowaną nie została.

Nakoniec naczelny komisarz poprosił mnie o kilka dni zwłoki dla zredagowania zarysu traktatu. Stosownie do jego życzenia, zostawiłem mu dra Leydsa, który był obecnym na naszej konferencyi, aby w razie potrzeby mógł mi dać odnośne objaśnienia. Dr Leyds miał też podpisać zarys projektu jedynie dla stwierdzenia swej obecności na posiedzeniach.

Wkrótce potem sir Henryk Loch przysłał mi projekt ugody, według której ziemia Swazi miała być rządzona wspólnie przez dwa państwa; Rzeczpospolita mogła wybudować kolej aż do zatoki Kosi, na co udzielono Rzeczypospolitej pas ziemi, szerokości trzech mil angielskich pod tym jedynie warunkiem, że ów pas ziemi, oraz sama zatoka pozostaną pod protektoratem Anglii, taki warunek już *à priori* uniemożliwiał rzecz całą. Oprócz tego Rzeczpospolita mogła powiększyć swoje granice małem terytoryum, leżącem między jej granicami a ziemią Swazi.

Sir Loch utrzymywał, że te propozycye zgadzały się ze słowną umową naszą w Blignautspont. Dodawał jeszcze, że dr Leyds, obecny przy redagowaniu traktatu, podzielał to zdanie, czego dowodził jego podpis własnoręczny.

Dr Leyds i ja zaprotestowaliśmy jak najenergiczniej, traktat odrzuciłem pomimo gróźb Locha, który dawał do zrozumienia, że w razie mojej odmowy rząd angielski na mocy praw, zawarowanych konwencyą londyńską, wyśle siłę zbrojną do ziemi Swazi.

Wkrótce potem przybył do Pretoryi w charakterze rozjemcy Jan Hofmeyer i pod jego presyą podpisano pierwszy traktat, tyczący ziemi Swazi. Rzeczpospolita, rozumie się, mało na nim zyskała, a zato straciła wiele przywilejów dawniejszych, między innemi przywilej zawierania traktatów z dzikusami tak na północ, jak i na północo-zachód.

Na dobitkę Rzeczpospolita zobowiązywała się nie stawiać przeszkód budowie kolei żelaznej z Natalu, oraz (tu znać rękę Cecila Rhodesa) udzielać wszelkiej pomocy, w zakresie swoich środków, towarzystwu *Chartered*. Ten artykuł, jak się o tem przekonamy, wywołał nowe trudności.

Zgromadzenie narodowe ratyfikowało ostatecznie ów traktat, wyrażając jednocześnie ubolewanie, że dobra wola Rzeczypospolitej tak skąpą w Anglii znajduje wzajemność.

Przykre położenie, wywołane traktatem, trwało aż do roku 1893, w którym podpisano drugą konwencyę, tyczącą ziemi Swazi.

Podczas drugiego okresu mojej prezydentury zaszły zdarzenia: Trek Adendorffa i odnowienie dawnych sprzeczek kościelnych, z których z łatwością skorzystali moi przeciwnicy.

Pierwszy wypadek spowodowało wydzierżawienie przez Adendorffa gruntu w ziemi Banjai, ku wielkiemu niezadowoleniu Cecila Rhodesa, który daremnie ofiarowywał zań niesłychane sumy; to też przez zemstę zakwestyonował prawo dzierżawy; wobec czego koncesyonaryusz i jego wspólnik, B. Forster (junior), postanowili natychmiast objąć w posiadanie wydzierżawione grunta.

Ale Cecil Rhodes i naczelny komisarz, którzy widzieli w tym czynie niebezpieczeństwo, grożące towarzystwu *Chartered*, powołali się na konwencyę co do ziemi Swazi, żądając, abym powstrzymywał treków.

Zgodziłem się na to i wydałem odezwę, ganiącą trek zamierzony, zakazując burgerom wzięcia w nim udziału pod groźbą kar wyznaczonych za przestępstwa praw krajowych. To rozporządzenie wywołało naturalnie gorące protesty; wiedziałem, że stracę część mojej popularności, ale nie mogłem pozwolić na gwałcenie artykułów konwencyi.

Przyszłe wybory na prezydenta miały mnie zresztą pouczyć, ile mi za tę sprawę zapłacić przyjdzie; bo jakiekolwiek można mi było postawić zarzuty, sprawa treku Adendorffa najsilniejszej przeciwko mnie dostarczała broni.

Zresztą Rada Ludowa rozstrzygnąć miała sprawę treku; wielu wpływowych jej członków stanęło przeciw mnie, jak np. zmarły jenerał Joubert i Schalk Burger, który podczas ostatniej wojny objął, po moim wyjeździe, prezydenturę.

Jednakże Rada Ludowa wyrok mój zatwierdziła, a nawet sami trekerzy zaniechali wyprawy, idąc w tem za radami, których im, przy każdej sposobności udzielałem.

W epoce, w której polityka zewnętrzna Rzeczypospolitej tyle przedstawiala trudności, spadły na mnie inne troski, sprawami Kościołów spowodowane.

Po wojnie z r. 1881 burgerzy odczuli potrzebę ściślejszych węzłów w sferze wyznaniowej. Spróbowano zlać w jedność dwa główne kościoły: *Horvormden* i *Nederduitczgereformeerden;* trzeci kościół *Dopper kirche*, do którego sam należę, trzymał się na uboczu i nie należał do tego zjednoczenia, które wkrótce w ciężkie wpadło próby.

Różne, mniej więcej dogmatyczne rozbieżności, rozdzieliły chwilowo złączone sekty; pewna liczba burgerów, na której czele stał Krystyan Joubert, złamała pakt zgody i powróciła do dawnego Kościoła; kilku jeszcze dysydentów, zgromadzonych koło Wolmaransa (później członka delegacyi do Europy wysłanej) przyłączyło się do nich i *Hervormdenkirche* zmartwychwstała.

Ale separatyści żądali, aby kościołowi temu zwrócono dawne jego dobra; tymczasem ci, którzy trwali przy unii, te same wytaczali pretensye; ztąd, jak to łatwo zrozumieć, wynikały przykre niepokoje.

Zamierzyłem też położyć koniec złemu. Wystosowałem cyrkularz do pastorów różnych sekt religijnych, wzywając ich na konferencyę, z której wytrysnąć mogła, mojem zdaniem, zgoda [1]).

Konferencya doszła do skutku w 1891, w sali drugiej Rady i pod mojem przewodnictwem.

Wszystkie sekty wysłały swoich przedstawicieli.

Otworzyłem posiedzenie mową, w której zaznaczyłem, że nie występuję tu jako prezydent państwa, ale jako prosty chrześcijanin i jedynie w tym celu, aby zakończyć walki wewnętrzne, nurtujące kościół ewangelicki.

Lecz daremnie próbowałem uleczyć ranę rozjątrzoną, proponując nowe zlanie się sekt walczących z sobą.

Nie udało mi się też rozstrzygnąć kwestyi dóbr kościelnych i konferencya nie przyniosła żadnego rezultatu.

Natomiast i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, moi nieprzyjaciele wyzyskali na moją niekorzyść to platoniczne wejrzenie w sprawy duchowne i podczas następnych wyborów na prezydenta nie omieszkano zarzucić mi autokratyzmu, przybierania roli najwyższego arbitra we wszelkich kwestyach, nawet religijnych.

---

[1]) Zwracamy uwagę, że Krüger, chociaż należał do *Dopperkirche*, miał także głos w kościele urzędowym i że mógł proponować ugodę, nie przekraczając atrybutów swej władzy.

W roku następnym odbyły się wybory; było trzech kandydatów: Joubert, sędzia najwyższy Kotze i ja.

Rzeczpospolita nie widziała dotąd walki wyborczej tak zaciętej.

Moi przeciwnicy zarzucali mi autokratyzm, oskarżali o roztrwonienie grosza publicznego; miałem też poświęcać prawa i prerogatywy narodu na korzyść głównie Holendrów, którym oddawałem urzędy publiczne; zbyt wiele przytem czyniłem ustępstw.

Co prawda, równie ciężkie zarzuty stawiano moim rywalom.

Gdy myślę o tej epoce ogarnia mnie dziwny smutek.

Joubert i ja, chociaż najwierniej służyliśmy Rzeczypospolitej, musieliśmy dźwigać ciężar takich oskarżeń, że gdyby choć w dziesiątej ich części tkwiła prawda, żaden z nas nie wart byłby ani godziny dłużej używać owoców zaufania ludu.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Rok 1897.

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa.*

5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*

8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

Rok 1898.

14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825),** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek,** powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*

*24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu,** z przedmową *Ignacego Matuszewskiego,* z ilustr.

*31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach,** powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki,** tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna,** w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

*35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historya prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasa,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

38 i 39 Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego,** w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego,* z ilustr.

40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*47. Juliusz Słowacki. **Beniowski,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*50. Adam Krechowiecki. **Stella.—Tarłówna,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

51. G. Kraumer. **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej,** w tłómacz. i z przedmową *Włodz. Trąmpczyńskiego.*

***52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego,** z przedmową *Władysława Smoleńskiego,* z mapą dawnej Polski.

Tom.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio,** z przedmową *Adama Pługa.*

63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac,** przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilust.

Rok 1899.

66 67. Oskar Mysing. **Berezyna,** w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąmpczyńskiego.*

*68. Konstanty Rengarten. **Pieszo do Chin,** w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*69. C. F. Gordon Cumming. **ycie w Chinach,** w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*70. Michał Bałucki. **Przeklęte pieniądze,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*73. 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. **Don Kiszot,** w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami G. Doręgo.

81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie,** z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami.

84. Stanisław Grudziński. **Połpanek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babylonu.** Powieść.

87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska,** Studyum krytyczno-literackie.

88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi,** z przedmową *Wiktora Gomulickiego.*

89, 91. **Pamiętniki Szymona Konopackiego,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

90. Maciej Wierzbiński. **Nowelle,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*

Tom.
I. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.
92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*
93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a,** w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego.*
95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.
96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona,** w przekładzie Topora.
98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne,** z przedmową.
101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura,** z przedmową *J. A Święcickiego,* z ilustracyami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
II. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami,
103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci? (Zarys** dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
104. Sewer. **Wśród pokus,** powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami i mapką.
106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci.** Powieść z czasów kampanii węgierskiej.
109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu,** z ilustracyami.
110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** powieść z przedmową *Teodora Jeske Choińskiego.*
111. **Pamiętnik Generała Wysockiego,** z ilustracyami.
112. Jan de la Brete. **Mój Wuj i mój Proboszcz,** powieść z przedmową *Juliana Mohorta.*
III. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej.** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami
113, 114. Edward Foà. **Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustr

Rok 1900.

115. Wiktor Hugo. **Rzeczy Widziane,** (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
116. Henryk Szuman. **Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie** (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara.*
117, 118, 119, 120. Teodor Jeske-Choiński. **Tyara i Korona,** powieść historyczna.

Tom.
121, 122. Dr. Lassar-Cohn. **Chemia Życia Codziennego,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
123, 124, 125. Hr. L. N. Tołstoj. **Zmartwychwstanie,** powieść, z przedmową *J. A. Święcickiego.*
IV. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.
126. John Ruskin. **Gałązka dzikiej oliwy,** w przekładzie W. Szukiewicza, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
127. Włodzimierz Zagórski. **Humoreski**
128, 129. Walerya Marrené-Morzkowska. **Błędne koła,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
130, 131. Szymon Konopacki. **Moja druga młodość,** trzeci i czwarty tom pamiętników.
132. Ewweli-Bej. **Suryawansa.** Powieść na tle życia Ormian tureckich.
133, 134. Dr. Józef Siemiradzki. **Szlakiem wychodźców** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* (z ilustracyami).
135. A. Komorowski. **Wspomnienia Podchorążego,** (z ilustr.)
136. Marcin Kukuczyn (Maciej Bencur). **Obrazki i Nowelle** z przedmową *Wawrzyńca Szrobara.*
137. Józef Korzeniowski. **Kollokacya,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
138. Karolina Świetla. **Z naszych Walk i bojów—Oczarowana,** w przekładzie Maryi Czesławy, z przedmową *Bronisława Grabowskiego.*
139. Eliza Orzeszkowa. **Przy dochodzeniu śledczem.**
140. Edward Strumpf. **Obrazy Kaukazu,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.
141. Wanda Grot-Bęczkowska. **Marzycielka,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
142. Juliusz Słowacki. **Poezye liryczne i gnomiczne,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
V. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.
143. Edmund Plauchut. **Chiny i Chińczycy,** w przekładzie H. Michałowskiego, z ilustracyami.
144, 145. Mikołaj Jósika. **Ostatni Batory,** z węgierskiego przełożył Antoni Lange, z przedmową *J. A. Święcickiego.*
146, 147. Marya Rodziewiczówna. **Dewajtis.**
148. Józef Tokarzewicz (Hodi). **W dniach wojny i głodu,** z przedmową *Teodora Jeske Choińskiego.*
149, 150. Dr. Sven Hedin. **Przez pustynię Azyi,** w przekładzie Wiktora Doleżana, z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.
151. Jonasz Lie. **Ideolog,** przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.

Tom.
152. T. T. Jeż. **Jaskółki.**
153. Wiktor Gomulicki. **Opowiadania o Starej Warszawie,** z ilustracyami.
154, 155, 156. Karol Rais. **Patryoci z zakątka,** w przekładzie J. Kietlińskiej-Rudzkiej.
157. Dr. Maks Pettenkofer. **Powietrze i zdrowie,** w przekładzie Maryana Stępowskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
158, 159. Marya Rodziewiczówna. **Na wyżynach.**
160. Ks. Augustyn Kordecki. **Pamiętnik Oblężenia Częstochowy,** z ilustracyami.
161. Anna Neumanowa. **Ze Świata.**
162. M. Szukiewicz. **Z ziemi fjordów i fjeldów.**
163. Klemens Junosza. **Dworek przy cmentarzu.**
VI. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

Rok 1901.

164. Michalina Domańska. **Brzydka.** Powieść.
165, 166. Antoni Fogazzaro. **Malombra,** z przedmową *W. Marrené-Morzkowskiej.*
167, 168. Artur Gruszecki. **Na wyścigach.** Powieść.
169, 170, 171. W. Doroszewicz. **Sachalin,** z ilustracyami.
172, 173. O. Ludwik Coloma. **A pfe! — Tumany i kałuże,** z przedmową *Hajoty.*
174, 175. Marya Rodziewiczówna. **Błękitni.** Powieść.
I. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej. — Literatura Babilońsko-Assyryjska i Egipska.** (T. I).
176, 177. Ernest Lavise, Alfred Rambaud i in. **Napoleon I w świetle najnowszych badań.**
178, 179, 180. Hr. Alfred de Vigny. **Cinq-Mars,** przełożył Witold Łaszczyński.
181. Ludwik Ariosto. **Orland oszalały,** w przekładzie Felicyana.
182, 183. Rudyard Kipling. **Od morza do morza,** przekład z angielskiego M. G.
184. Knut Hamsun. **Wiktorya.** Historya miłości.
185, 186, 187 Karol Dickens. **Powieść o dwóch miastach,** w przekładzie i z przedmową *Hajoty.*
II. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej.—Literatura Chińska i Japońska** (T. II).
188. Teodor Jeske-Choiński. **Trubadurowie,** z przedmową *Autora.*

Tom.
189. Matylda Serao. **W biurze telegraficznem.**
190, 191. T. T. Jeż. **Z ciężkich dni.**
192, 193. Paweł Bourget. **Widmo,** tłómaczyła Br. Neufeldówna.
194. El. (Kazimierz Laskowski). **Wiersze i Śpiewki,** z przedmową *A. Września.*
195. Stefan Krzywoszewski. **Pani Jula,** z przedmową *A. Września.*
196. Juliusz Zeyer. **Jego i jej świat,** tłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka, z przedmową *A. Września.*
197, 198. Slatin-basza. **Przez Sudan ogniem i mieczem,** tłómaczył Włodzimierz Trąmpczyński.
199, 200. Eugeniusz Mottaz. **Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre,** przełożyła Jadwiga z Chmielowskich Baranowska, przejrzał i objaśnił *Stanisław Krzemiński.*
III. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej, — Literatura Arabska.** (T. III).
201. Gomulicki Wiktor. **Wiersze.** Zbiór nowy.
202, 203, 204. Ks. Bolesław Maryański. **Ester.** Powieść.
205. E. Brausewetter. **Finlandya w oświetleniu literackiem.** Opracowała Gabryela Plewińska.
206, 207. J. Sielski. **W pół drogi.** Opowiadanie
208. Dr. Henryk Biegeleisen. **Pamiętnik J. Słowackiego.** Z ilustracyami.
209 Aleksander Wybranowski. **Ongi w dworach i dworkach szlacheckich.**
210, 211 Piotr Leroy-Beaulieu. **Nowe społeczeństwa Anglo-Saksońskie,** tłómaczył Klemens Podwysocki.
212. Świętopełk Czech. **Jastrząb contra Hordliczka,** tłómaczył Paweł Laskowski.

Rok 1902

213, 214, 215. Artur Gruszecki. **Większością!** Powieść.
216. **Wybór nowel francuskich.** Przełożył Jan Lorentowicz.
217, 218, 219, 222, 223, 224, 225. Karol Szajnocha. **Jadwiga i Jagiełło.** Opowiadanie historyczne.
220, 221. René Bazin. **Rodzina Oberlé.** Tłómaczyła J. P.

Tom.
IV. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej.—Literatura Indyjska.** (T. IV).
226, 227, 228 Kazimierz Gliński. **Cecora.** Powieść historyczna.
229, 230. Ernest Menault. **Miłość macierzyńska u zwierząt,** przełożył F W., z ilustracyami.
231, 232. Rudyard Kipling. **Kim** Powieść.
233. Dr. W. Popiel. **Kobieta wobec badań nauki współczesnej.**
234, 235. Jerzy Bogurad. **Pro Christo.** Powieść.
236, 237, 238. Franciszek Herczeg. **Gyurkovicsowie.** Powieść. Tłómaczyła z węgierskiego B. Jaroszewska.
V. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej—Literatura Perska.** (T. V, część I.)
239. Józef Dunin-Karwicki. **Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości.** Opowiadania historyczne.
240, 241. T. T. Jeż. **Miłość w opałach.** Powieść.
242. Fr. Reinstein. **Humoreski.**
243, 244. Orisson Swett-Marden. **Sztuka życia.**
245, 246. Antoni Fogazzaro. **Mały światek nowożytny,** przekład z włoskiego *J. Korzeniowskiej.*
247, 248, 249. Hajota. **Ostatnia butelka.** Powieść.
250, 252, 253. Dr. L. Sonderegger. **Podstawy ochrony zdrowia** w przekładzie i z przedmową *Dra E. Biernackiego.*
251. Kazimierz Gliński. **Poezye.**
254. Maryan Manteuffel. **Statyści,** Szkic.
255. **Pamiętniki hr. de Moriolles,** tłóm. *Zofia Przyborowska.*
256. Dr. med. Stanisław Orłowski. **Suggestya i Hypnotyzm.**
257, 258, 259. Ignat Herrmann. **Ojciec Kondelik i Narzeczony Wejwara,** z czeskiego przeł. *Paweł Laskowski.*
260. Roman Zmorski (Zamarski). **Podania i Baśni ludu.**
VI. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej—Literatura Żydowska.** (T. VI, cz. 1).

Wszystkie te dzieła nabywać można oddzielnie w cenie 25 k. za tom broszurowany, lub 40 k. w oprawie, z wyjątkiem dzieł oznaczonych *, których cena od N. R. 1900 podniesioną została na 40 k., oznaczonych **, które kosztują obecnie 50 k., oraz oznaczonych ***, które się liczą po 60 k.

Na przesyłkę każdego tomu, w oprawie lub bez oprawy, dołącza się 10 k.

Ilustr. „Hist. Lit. Pols." Chmielowskiego sprzedaje się oddzielnie po rb. 2 za tom, z przesyłką 2 ruble 20 kop., zaś „Historya Literatury Powszechnej" J. A. Święcickiego po rb. 1 kop. 50, z przesyłką rb. 1 kop. 70 za tom.

ROZDZIAŁ XI.

Paweł Krüger po raz trzeci wybrany prezydentem.

Obliczenie głosów dało wynik następujący: Krüger 7,854 głosy, jenerał Joubert 7,009, sędzia Kotze 81. Stronnictwo Jouberta, niezadowolone z porażki, utrzymywało, że mój wybór był nieprawidłowy. Rada ludowa musiała też w ciągu pierwszych obrad, dnia 1-go maja, utworzyć komisyę, uprawomocnioną do zatwierdzenia wyboru, złożoną z sześciu deputowanych, po trzech z każdego stronnictwa. Ponieważ mój mandat kończył się faktycznie dnia 5-go maja, pozostałem więc tymczasowo przy władzy. Komisya większością głosów uznała prawomocność wyborów, jednakże mniejszość domagała się powtórnego głosowania.

Rada ludowa stanęła po stronie większości 18 głosami przeciw 3 i zostałem po raz trzeci wybrany prezydentem dnia 12 maja 1893 r. Musiałem wtedy ukazać się na balkonie nowego pałacu rządowego i przemówić do ludu, stłoczonego na placu kościelnym. Nie była to właściwie przemowa, ale długie kazanie patryotyczne, w którem zachęcałem usilnie

Burów do zgody i jedności. Oddałem też cześć kobietom, a w końcu zwróciłem się do dzieci, namawiając je do zachowania wierności mowie ojczystej [1]).

---

[1]) Według reformy szkolnej z roku poprzedniego, językiem wykładowym został język holenderski. Mową ojczystą zatem, o której wspomniał prezydent, była mowa holenderska, a nie gwara burska. Podajemy tutaj część jego mowy:

„Dzieci kochane, na was będę miał oczy zwrócone, wy, w których widzę Państwo Przyszłości. Pragnę z całego serca, abyście się stały pożytecznymi członkami społeczeństwa za przyczyną wszystkich sił żywych narodu. Przywileju wielkiego używacie od chwili, w której państwo zadekretowało przymusowe religijne nauczanie, a nie powinno to być przywilejem niektórych, ale chcemy, abyście wszystkie zeń korzystały. Z nauczania religijnego rząd wasz zrobił prawo, miejmy nadzieję, że nasi następcy je utrzymają. Jeszcze drugą korzyść macie, ponieważ władza prawodawcza czuwa nad mową krajową, mową drogą waszym przodkom, bo kierowała nimi w ciężkich próbach i walkach; ta mowa pozwala wam zbliżyć się do Biblii, czytać ją i rozumieć; gdyby wam ta mowa zobojętniała, zobojętnieliby wam wasi przodkowie i Biblia, a nawet wasza narodowość. Bądźcie więc silnie przywiązani do waszej mowy. Zapewne, trzeba znać obce języki, a szczególniej mowę tego narodu, z którym częste mieć będziecie stosunki, ale powinna ona zawsze stać na drugim planie. Wasz język, język Biblii, niech najpierwsze zajmuje miejsce. Weźcie do serca moje słowa, rozważcie je i proście Pana, aby wam pozwolił pozostać wiernemi waszym obowiązkom, przez co zasłużycie na wdzięczność waszych następców".

W prawie szkolnem, przedstawionem w roku 1874 przez prezydenta Bürgersa, pominięto dwa punkty zasadnicze, na które Krüger kładł obecnie nacisk. To też owo prawo stało w sprzeczności z poczuciem religijnem narodu i dlatego pozostało martwą literą. Po ukończeniu wojny o niepodległość Krüger, wiceprezydent rządu tymczasowego, postanowił opracować prawo szkolne, odpowiadające pobożnym uczuciom i życzeniom narodu. W pastorze du Toit znalazł godnego pomocnika, a kiedy w roku 1882 rada ludowa prawo przyjęła, mianował go dyrektorem nauczania (ministrem oświaty). Ale Du Toit był raczej politykiem, a nie pedagogiem i podał się do dymisyi w roku 1889. Odkrycie w tym czasie złota i następstwa, jakie to odkrycie za sobą pociągnęło, dało rządowi tyle zajęcia, sprowadziło tyle kłopotów, że nie starczyło czasu na zajęcie się kwestyami pedagogicznemi i miejsce dyrektora nauczania pozostało przez lat parę niezajęte.

Później rząd, rezygnując już z pastorów, ze względu na niesnaski religijne, panujące w kraju, powołał na to stanowisko profesora dra Mansvelta. Ten początkowo odmówił, ale prezydent osobistemi wpływami nakłonił go do podjęcia trudów dyrektora i w r. 1891 dr Mansvelt zajął swoje nowe stanowisko. Gdy zdał sobie sprawę ze stanu szkół w danej chwili, wygotował wraz z komisyą, z pośród rady ludowej wybraną, nowe prawo szkolne, które przez *referendum* przyjęte zostało.

W tej pracy prezydent Krüger brał czynny udział, szła ona nieraz pod jego dyrekcyą. Znać też w niej dbałość o spełnienie trzech zasadniczych dążeń prezydenta. Według niego, zbyt czynna interwencya rządu w sprawie oświaty mogła osłabić inicyatywę prywatną, a nawet upoważnić niektórych rodziców do złożenia na barki państwa najświętszych obowiązków. Było jednak rzeczą jasną, że ówczesny program wychowawczy nie mógł dać społeczeństwu członków zdolnych stawić czoło napływowej fali imigracyi. Z drugiej strony stworzenie szkół wyższych, specyalnych, w których mogliby się wykształcić przyszli urzędnicy państwowi, było koniecznością i pociągało za sobą ofiary pieniężne, na jakie nie mogła się zdobyć inicyatywa prywatna. Trzeba więc było stosować się do okoliczności, uwzględniać wszystkie potrzeby, co też Krüger uczynił.

Tak samo postąpił w sprawie urządzenia zdolności ciała nauczającego; nie chciał, by starych pedagogów usunięto brutalnie, bo wszak ci ludzie w ciężkich czasach darmo prawie czas swój i siły poświęcali. To też postanowiono, rodzajem kompromisu, pozostawić ich w szkołach wiejskich, zwanych *szkołami burskiemi*, pod warunkiem, aby nie mieli żądań zbyt wygórowanych.

Trzecią troską Krügera były szkoły normalne wyższe dla młodych dziewcząt; osobiście wrogo do nich usposobiony, utrzymywał, że takie szkoły mogą spaczyć i skrzywić życie ludu, u którego od niepamiętnych czasów ognisko rodzinne było jedy-

Zgoda Burgerów była co prawda konieczną w roku, w którym kraj nawiedzić miały najstraszniejsze wylewy, jakich jeszcze nigdy nie widziano.

Na rok przed wyborami z 1893 roku, które po-

---

raz trzeci postawić mnie miały na czele rządu transwaalskiego, utworzył się w Johannesburgu rodzaj ligi, która jaknajfatalniejszy wpływ miała wywrzeć na losy Transwaalu. *Transvaal National Union* [1]) (taka była nazwa) postawiło sobie za zadanie utrzymywać ludność Johannesburga w ciągłem podnieceniu, zbierać wszelkie możliwe żale do rządu i nie cofać się przed żadnym środkiem wiodącym do celu podejrzanego.

Pozornie wywołało to tylko agitacyę w sprawie głosowania; ale, jak to później zobaczymy, o co inne-

---

nem miejscem dla kobiet. Jednakże uległ w końcu namowom swoich doradców, a potem sam przeszedł nawet postępowców, żądając przyjęcia do gimnazyum rządowego wszystkich dziewcząt odpowiednio uzdolnionych. W r. 1894 sam otwierał liceum żeńskie w Pretoryi i mowę przy tej sposobności wypowiedział. Zresztą po kilku latach cały naród reformę tę przyjął.

Jako stronnik oświaty dla wszystkich, Krüger uzyskał nawet subwencyę dla szkół, w których język holenderski nie był językiem wykładowym. Był więc promotorem jedynego w swoim rodzaju artykułu prawa z dnia 1 czerwca 1892 r., które popierało rozwój niektórych szkół angielskich i szkoły niemieckiej w Johannesburgu.

Chociaż zauważył nawet, że ludność pochodzenia angielskiego niechętnie patrzy na jego łaski i że jego przeciwnicy stworzyli komisyę szkolną, z funduszem 2 milionów marek, przeznaczonym na subwencyę zakładów wychowawczych, prowadzonych w duchu anty-narodowym, zatwierdził utworzenie szkół cudzoziemskich na koszt państwa, w których pionierzy mogli kształcić swoje dzieci za cenę minimalną. W nich uczono też mowy holenderskiej. W przeciągu dwóch lat (1896—98) szkół takich powstało 12, z ogólną cyfrą 1499 uczniów, z których każdy kosztował państwo 240 marek.

Zresztą od r. 1892 system szkolny tak się rozwinął, że otrzymał dwie wielkie nagrody na wystawie wszechświatowej w Paryżu w roku 1900, pomimo przeszkód tamujących oświatę w Transwaalu, jako to: rozproszenie ludności, wojny z dzikusami, małej ilości rąk roboczych i zarazy na bydło...

[1]) Transwaalski związek narodowy.

PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA.

PAMIĘTNIKI
PREZYDENTA KRUGERA

przekład

JUSTYNY PASZKIEWICZÓWNY
I ANTONINY MORZKOWSKIEJ.

Część II.

WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Декабря 1902 года.

znać trzeba, że deputacya z niczem wróciła do domu.

Ponieważ ziemia Swazi stała się dla Rzeczypospolitej źródłem niewysychającem kłopotów i zatargów, postanowiłem rozmówić się powtórnie z sir Henrykiem Lochem.

Zjechaliśmy się w Volksrust w r. 1894, co dało powód do podpisania trzeciej konwencyi.

Rzeczpospolita otrzymała nareszcie prawo zajęcia ziemi Swazi, nie uważając jej jednak za prowincyę Transwaalu; było to rozróżnienie czysto formalne, które w rzeczywistości pozwalało opanować Swazi.

Konwencya, przyjęta przez Radę Ludową z r. 1895, położyła tymczasowy koniec intrygom nieprzyjaciół naszych. Ale nie był to jeszcze spokój, bo zaledwie skończyła się ta sprawa, Anglia przywłaszczyła sobie ziemię Sambaan i Ubigeza.

Rzeczpospolita oddawna była w przyjaznych stosunkach z temi kraikami i nawet podczas roztrząsania sprawy ziemi Swazi była mowa o przyłączeniu ich do Transwaalu. Po ostatecznem podpisaniu konwencyi Anglia zresztą miała takie samo prawo do tych krajów, jak do księżyca; ale jej chodziło jedynie o wyprzedzenie Rzeczypospolitej, o przecięcie jeszcze jednej drogi do morza, drogi, z której Anglicy żadnej właściwie korzyści mieć nie mogli. Rzeczpospolita protestowała, rozumie się, przeciwko tej aneksyi i, jak zwykle, napróżno.

W tymże roku, na szczęście, spełniło się jedno z moich gorących pragnień. Otwarto w Pretoryi kolej do zatoki Delagoa. Ukończono ją nareszcie nie bez wielkich trudności, pokonanych jedynie dzięki energii Towarzystwa holendersko-południowo-afrykańskiego.

Wszystkie państwa Afryki południowej wysłały

na tę uroczystość swoich przedstawicieli, a Rada Ludowa zawotowała kredyt 20,000 f. st., aby każdy burger mógł dostać bilet wolnej jazdy aż do zatoki Delagoa i osądził całość dokonanego dzieła.

Tysiące obywateli skorzystało z tej sposobności; powrócili oni do domu zachwyceni podróżą. Ta kolej miała zresztą dosłownie zburzyć stosunki wewnętrzne kraju.

Dotąd monopol przewozu i handlu na Johannesburg należał do kolei żelaznej Ziemi Przylądkowej. Wszystko to zmienić się miało.

Aby wywołać zgodną jedynie konkurencyę i zapewnić sobie część słusznie należną dochodów tranzytowych do Johannesburga, Rzeczpospolita chciała podzielić dochody (towarowe i osobowe) między trzy kraje, złączone kolejami żelaznemi z Pretoryą, mianowicie: Ziemię Przylądkową, Natal i Transwaal.

Ale Cecil Rhodes, wówczas pierwszy minister w Kapsztadzie, inaczej postanowił. Dla Przylądka żądał tylko 50% dochodu. Natal i Transwaal pozostałe 50% mogły między siebie rozdzielić. Rzeczpospolita, rozumie się, odmówiła i zaczęła się wojna taryfowa.

Przylądek zniżył ceny na całej przestrzeni aż do granicy Transwaalu, gdyż kolej żelazna w Wolnym Stanie Oranje jeszcze wówczas do towarzystw angielskich należała. Towarzystwo południowo-afrykańskie podniosło znów ceny na części kolei do niego na Przylądku należącej (Vereeniguing—Johannesburg), aby zrównoważyć straty, poniesione na innych oddziałach kolejowych.

Rząd Ziemi Przylądkowej obmyślił wtedy plan bardzo mądry. Aby nie płacić cen podwyższonych przez Towarzystwa transwaalskie, wyładowywał towary na przystanku Viljoen, zkąd dostawiano je do Johannesburga na wozach w woły zaprzężonych. Ale

w prawach celnych Rzeczypospolitej był artykuł, upoważniający prezydenta do zlokalizowania tranzyta przez granice w niektórych punktach; przez inne przejście było wzbronione.

W odpowiedzi na podstęp Cecila Rhodesa i jego kliki Rzeczpospolita postanowiła zamknąć przejście przez granicę dla wszelkich towarów zamorskich i dla tych jedynie, gdyż prezydent nie chciał utrudniać handlu lądowego między Wolnym Stanem Oranje a Ziemią Przylądkową.

Administracya kolonialna angielska podniosła krzyk oburzenia; jej zdaniem, łamałem traktat londyński.

W konwencyi był istotnie artykuł, głoszący, że granice handlowe Transwaalu powinny być otwarte dla wszystkich towarów pochodzenia angielskiego; zakaz wprowadzenia którego z nich uznanym być może tylko wtedy, jeżeli dotyczy danego towaru wogóle, z jakiegokolwiek tenże pochodziłby kraju.

Rzeczpospolita złamała więc konwencyę londyńską, bo nadawała przywileje Ziemi Przylądka (kolonii angielskiej) i Wolnemu Stanowi Oranje, kosztem innych narodów! Powinna była albo znieść dekret, dotyczący towarów zamorskich, albo uciec się do wstrętnego środka zakazu ogólnego.

Cecil Rhodes bez chwili wahania poddał całą sprawę do rozstrzygnięcia gabinetowi londyńskiemu, temu właśnie, któremu zawdzięczamy ostatnią wojnę. Jego członkiem był Chamberlain; człowiek ten gotów był posłać Rzeczypospolitej *ultimatum*, gdyby tylko Ziemia Przylądkowa zgodziła się ponieść połowę kosztów wojny, wystawić dodatkowy oddział żołnierzy i oddać swoją kolej na usługi wojska.

Trzeba przyznać ku wstydowi Afrykandrów z Przylądka, że na te warunki przystali. Rzeczpospolita musiała znów ustąpić sile.

Chciałbym teraz wspomnieć o wyprawie Jamesona; nie na niego jednego spada tu jednak odpowiedzialność.

Chamberlain istotnie kilka razy wtedy zapewniał, że nie miał nic wspólnego z tą sprawą, ale późniejsze czasy zadały kłam jego zapewnieniom; dzisiaj wiadomą jest rzeczą, że rząd angielski, a przynajmniej Chamberlain, wiedział dobrze o intrygach, snutych przez Cecila Rhodesa; wyprawa Jamesona była tylko jednym z upakarzających epizodów tych intryg.

Cecil Rhodes dawno już marzył o zdobyciu, w ten lub inny sposób, Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, a dla urzeczywistnienia swych pragnień używał wszelkich środków, których dostarczały mu złoto, wpływy i stanowisko pierwszego ministra. *Związek Narodowy* był jednym z jego narzędzi głównych; związek podtrzymywał w Johannesburgu ciągłe podniecenie umysłów, prawdziwy ferment powstańczy, a w końcu stał się ogniskiem spisku, uknutego przez Rhodesa przeciw państwu.

Za pośrednictwem Związku sprowadzono cichaczem do Johannesburga broń i amunicyę i ukryto je w kopalniach „Simmer" i „Jack", których głównym akcyonaryuszem był Rhodes.

Wiedział on jednak, że sam Johannesburg nie mógłby trzymać w szachu całej Rzeczypospolitej. Szukał więc miejsca koło samych granic, w którem mógłby zgromadzić siły zbrojne w razie możliwej rewolucyi.

W tym celu rozpoczął rokowania z gabinetem londyńskim, za pośrednictwem swego faktotum, d-ra Butherferda, Harrisa i dziennikarki, miss Flory Schaw, aby miejsca dla niego dogodne mogły znaleźć się w obrębie *Chartered*. Z telegramów, wymienionych podczas tych rokowań między osobami, które do tej

go zupełnie jej chodziło. Fakty dowiodły potem, że Cecil Rhodes umaczał tu rękę.

Okoliczność poboczna odkryła niebawem prawdziwy charakter *National Union*, a była nią wojna z Kaframi i w górach Blauw.

Rzeczpospolita miewała zawsze zatargi z plemionami kafryjskiemi, mieszkającemi na północy. Teraz nastąpił wypadek ważniejszy. Chodziło o ukrócenie swawoli pewnego Malapocha, którego plemię zamieszkało góry Blauw; był to despota okrutny, bez wahania ścinał głowy swoim poddanym z nizin, jeżeli zdołał ich przekonać, że złożyli podatek Rzeczypospolitej.

Postanowiono wysłać przeciw niemu oddział i polecono jenerałowi Joubertowi zebrać w Pretoryi potrzebną ilość ludzi. Wśród młodzieży, wezwanej do broni, znajdowało się wielu cudzoziemców, którzy ochotnie wezwania posłuchali, z wyjątkiem Anglików.

Ci nazywali się „British subiects" [1]) i sądzili zapewne, że należą do zbyt arystokratycznej rasy, by mogli walczyć razem z Burami, którymi gardzili. Duchowieństwo angielskie niemało się też przyczyniło do zamącenia spokoju. Feldkornet musiał w końcu aresztować opornych, w myśl 5-go artykułu prawa wojennego; ale uwięzieni wysłali podanie do Sądu Najwyższej Instancyi, aby im wolność zwrócono. Nic na tem zresztą nie zyskali, gdyż kazano odprowadzić ich pod dobrą strażą do komendy, do której należeli.

Jednakże *Związek narodowy* nie pozostał bezczynnym. Jego członkowie zawotowali różnego rodzaju nagany pod adresem władzy najwyższej. Wreszcie

[1]) Poddani angielscy.

Anglia wmieszała się w tę sprawę i wydelegowała do Pretoryi Henryka Locha, by konflikt rozstrzygnął.

Na krótko przed jego przybyciem Rada ludowa postanowiła, ażeby młodzieńcy, którzy nie posiadali tytułu Burgera, byli uwolnieni w czasie wojny od służby wojskowej za opłatą pewnego odszkodowania.

Anglicy przyjęli Locha oddawna już obmyślaną demonstracyą. Zaledwie gubernator zajął obok mnie miejsce w pojeździe urzędowym, wyprzęgli konie i zaciągnęli go do Transwaal-Hotelu przy towarzyszeniu śpiewek satyrycznych.

Jeden z przywódców zajął nawet miejsce na koźle i rozwinął ogromną chorągiew angielską. Orszak zatrzymał się przed hotelem, aby odczytać suplikę, zaadresowaną do sir Locha.

Zaledwie ją przeczytano, garść Burgerów, która zdawała sobie sprawę ze stanu rzeczy, opanowała pojazd, z którego wysiadłem na czas czytania supliki i zawiodła mnie do pałacu rządowego.

Ta manifestacya, rozumie się, wywarła w całym kraju jaknajgorsze wrażenie, zwiększając nieufność Burgerów do cudzoziemców, a w szczególności do Anglików. W Radzie ludowej wniesiono interpelacyę, ganiacą rząd za to, że nie przedsiewziął żadnych środków dla ukrócenia tak obrażających manifestacyi. Zresztą miasto pełne było Burgerów, gotowych ukarać manifestantów w razie recydywy.

Tymczasem *Związek narodowy* prowadził dalej swoją kampanię. Zaproszono sir Henryka Locha do Johannesburga, gdyż to miasto lepiej od Pretoryi nadawało się do rozsiewania niesnasek, które mogłyby uprawnić wdanie się Anglii. Przeczuwając całą ważność położenia, nalegałem na Locha, aby zaproszenia nie przyjmował, dodając, że składam na niego odpowiedzialność za wypadki, jakie w przeciwnym razie

nastąpić mogą. Gubernator poszedł za moją radą i odtąd postępowanie jego było bez zarzutu.

Na nieszczęście, były to tylko pozory. Po kilku dniach delegaci Związku narodowego wręczyli mu w Pretoryi adres, obrażający w najwyższym stopniu rząd i Radę ludową. Nie ośmielił się Loch otwarcie pochwalić adresu, poradził nawet delegatom, aby żale swoje Radzie ludowej przedstawili; ale jednocześnie dowiadywał się od nich o uzbrojeniu i amunicyi bastyonów w Johannesburgu, oraz jak długo stawiaćby można czoło w danym razie Rzeczypospolitej. Czy mogliby się w nich bronić, dopóki nie przyszedłby mu na pomoc z siłą zbrojną?

Trzeba przyznać, że tak podstępne zachowanie się pełnomocnika, który miał załagodzić niesnaski, było rdzennie angielskie. Bo istotnie postępowanie sir Henryka Locha w tej całej sprawie charakteryzuje dokładnie politykę angielską w Afryce południowej. Kłamstwo, intrygi, oszustwa, podjudzanie tajemne — oto były niezmienne rysy tej polityki, zakończonej jedną z najkrwawszych wojen. Jeśli synowie Albionu, zamieszkali w Johannesburgu, nie odpowiedzieli na wezwanie Locha, to jedynie z powodu braku dostatecznego uzbrojenia. Ale łatwo wyobrazić sobie można, jak ciężko zaważyło to ostrzeżenie na szali gotujących się wypadków.

Tutaj wyprzedzę chronologię ogólną moich pamiętników, aby raz skończyć historyę Związku narodowego.

Kierownictwo spraw zewnętrznych spotkało się teraz z wypadkami najwyższej wagi. W 1893 roku, po konferencyach: w Colesburgu i w Pretoryi, podpisano traktat o ziemię Swazi. Jedynie druga konferencya przyniosła dopiero jakieś owoce. Uświetniły ją uczty, wydane na cześć sir Henryka Locha, który

przybył do Pretoryi z żoną, z dwiema córkami, otoczony błyszczącym sztabem oficerów. To też człowiek obcy, nieobeznany z miejscowemi stosunkami, biorący udział w tych uroczystościach, mógłby sądzić, iż Rzeczpospolita przyjmuje swego najwierniejszego sprzymierzeńca. Jednakże w artykułach konwencyi nie było żadnego powodu do nadzwyczajnej radości, ale otrzymano od Anglików wszystko, co otrzymać od nich było można. Podaję tutaj główne punkty ugody:

1) Rzeczpospolita może zawrzeć z królową ziemi Swazi traktat, na mocy którego administracya polityczna i protektorat przejdą w ręce Rzeczypospolitej, kierowanie zaś sprawami wewnętrznemi pozostanie przy królowej ziemi Swazi i jej radzie, aby tej ziemi nie uważano za jednę z prowincyj Transwaalu.

2) Wszyscy ludzie z rasy białej, od lat sześciu mieszkający w Rzeczypospolitej, będą uważani za jej poddanych i z wszystkich praw odnośnych korzystać będą.

3) Mowy: holenderska i angielska będą jednakowo używane w sądownictwie.

4) Rzeczpospolita południowo-afrykańska potwierdza zaznaczone w pierwszej kowencyi zrzeczenie się wszelkich pretensyi do niektórych obszarów ziemi, położonych po za jej granicą północną i północno-wschodnią.

Tę ugodę potwierdzić jeszcze miała czarna królowa i jej rada, co naturalnie nie obyło się bez wielkich trudności.

Zwykła zła wiara Kafrów znalazła teraz szacowną pomoc w podstępnem zachowaniu się mnóstwa awanturników, nieprzyjaciół Rzeczypospolitej, w niejakim Hubett z Natalu, który tak dobrze umiał otumanić ludność Swazi, że wysłała ona do Londynu deputacyę, uskarżającą się na protektorat boerski. Przy-

sprawy należały, wynika, że nie obcą była ona ministrom i Chamberlainowi.

Jeden z telegramów Flory Schaw do Rhodesa brzmi jak następuje:

„Chamberlain niewinny w razie wdania się obcych mocarstw, ale nie bez podstawy wierzę, iż pragnie, aby pan działał natychmiast.”

(Chamberlain sound in case of interference Europeen powers, but have special reasons to believe he wishes you must do it immediately).

W innym telegramie Rhodes donosi miss Schaw:

„Donieść Chamberlainowi, że dam sobie radę, jeśli mnie podtrzyma; niech tylko nie posyła takich telegramów, jak poprzednie, wysokiemu komisarzowi Afryki południowej. Nadchodzi kryzys. Zwyciężę i Afryka południowa należeć będzie do Anglii.”

(Inform Chamberlain that I shall get through al right, if he supporti me, but he must not send cables like he sent to the High Commisioner in S. Africa. Today the crux is. I shall win and South Africa will belong to England).

Gdzieindziej znów Rhodes pisze:

„Jeżeli nie możecie namówić Chamberlaina, aby kazał wysokiemu komisarzowi zjechać natychmiast do Johannesburga, cała sprawa przepadnie. Przyjęcie będzie wspaniałe i wszystko obrócić się może jak najlepiej dla Anglii, ale trzeba, aby telegrafowano doń

natychminst i z wyraźnemi rozkazami, bo to człowiek słaby, który żadnej odpowiedzialności przyją a siebie nie chce."

(Unless you can make Chamberlain instruct the High Commissioner to procead at once to Jahannis burg, the whole position is lost. High Commissioner would receive splendid reception and still turn position to England's advantage, but the must be instructed by cable immediately. The instructions must be specific as he is weak and will take no responsability).

Nawiasowo dodam uwagę, że komisya ankiety brytańskiej Afryki południowej otrzymała tylko część tych telegramów; najbardziej kompromitujące, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zostały ukryte.

Czemże wytłómaczyć ukrywanie dokumentów z jednej strony, a z drugiej tworzenie ankiety, która miała wydobyć na wierzch prawdę za pomocą tychże dokumentów? Czyż nie można ztąd wywnioskować, że Chamberlain był równie winnym, jak Rhodes? W każdym razie, nawet mała ilość ujawnionych telegramów wystarczała, aby wykazać wspólnictwo człowieka, który stał na czele ministeryum kolonii. Zaledwie Rhodes uzyskał pewność, że otrzyma upragnione obszary ziemi, zaczął pośpiesznie uzbrajać policyę południowo-afrykańską, skupować konie, uzupełniać potrzeby, tak, że wkrótce wszystko było gotowe do zamachu na Rzeczpospolitę, gdy tylko w Johannesburgu duch odpowiednio dojrzeje.

Porozumiał się też z przywódcami Związku Narodowego i, aby mieć pomoc niechybną na miejscu, wysłał do Johannesburga swego brata, pułkownika Rhodesa, aby z nim zgodnie działał, a nawet zastąpił go w razie potrzeby; otworzył mu przytem kredyt nieograniczony na wszelkie wydatki, według niego potrzebne.

W tymże czasie jeden ze spiskowców, Lionel Philipps, udał się do Kapsztadu, zapewne, aby otrzymać bezpośrednie rozkazy od Rhodesa.

Pośpiesznie ztamtąd powrócił pod pozorem inauguracyi gmachu Izby Syndykatu kopalnianego, której był prezydentem.

Ten budynek zresztą nie był jeszcze skończony; ale Philipps skorzystał z inauguracyi, aby wypowiedzieć w chwili odpowiedniej mowę polityczną. Ceremonia odbyła się w końcu listopada, a Philipps wystąpił z mową, namiętnie potępiającą rząd Rzeczypospolitej.

W tymże samym czasie ukazał się w Johannesburgu dr. Jameson; przybył on tutaj dla omówienia głównych punktów spisku z leaderami Związku Narodowego, którzy poprzednio udali się także do Kapsztadu po rozkazy Rhodesa; wręczyli też doktorowi list, którym wzywali jego pomocy i który miał usprawiedliwić w danej chwili jego najście.

W liście tym twierdzono, że niewątpliwie wybuchnie konflikt między cudzoziemcami a rządem, a wtedy nikt nie może być pewnym swego mienia, nawet życiu kobiet i dzieci grozić może poważne niebezpieczeństwo.

List był bez daty, co pozwalało Jamesonowi wpisać taką, jaka mu się podobała; podpisali go: Karol Leonhard, pułkownik F. Rhodes, Lionel Philipps, I. Hays, Hammond i Farner.

Tymczasem dzienniki, zaprzedane Rhodesowi i Związkowi Narodowemu, podżegały namiętności polityczne mieszkańców Johannesburga w celu wywołania skandalu, na który czyhali ludzie Rhodesa.

Pod koniec grudnia Leonhard, prezydent Związku, odczytał manifest, w którym wymieniał długą

listę skarg na rząd republikański, podnosząc w nim to wszystko, co mogło rozjątrzyć imigrantów.

Kwestya prawa głosowania stała naturalnie na czele tego różańca żalów, chociaż Lionel Philipps, członek Związku, pisał prawie jednocześnie do swego wspólnika Beita, zamieszkałego w Londynie, który był także w ciągłych z Rhodesem stosunkach: „Złamanego grosza nie damy za prawo głosowania.” *(We do not care a fig for the franchise).*

Kiedy taka agitacya wrzała w Johannesburgu, wracałem właśnie do Pretoryi z objazdu dorocznego okręgów.

Burgerowie podali mi petycyę, w której żądali, abym nareszcie ukarał wichrzycieli; ale ja im odpowiedziałem:

— Chcąc pochwycić żółwia, trzeba poczekać, aż wysunie głowę z pod skorupy.

Z tego obrazu wysnuto wniosek, że znałem zamiary Jamesona i, że mówiąc o żółwiu, jego miałem na myśli.

Jest to mniemanie najzupełniej błędne.

Ani ja, ani żaden z członków rządu nie uwierzylibyśmy w możliwość takiego czynu, a zatem nie spodziewaliśmy się go wcale.

Zauważyliśmy wprawdzie niezwykle wielkie zakupy koni, żywności, paszy, zupełnie jawnie przez Anglików robione, nawet u osadników boerskich, ale ci ostatni sami utrzymywali, że policya, zgromadzona na granicy zachodniej, miała wyruszyć przeciw zbuntowanemu wodzowi Kafrów, Linczwe.

Jednem słowem, wrodzoną nieufność burgerów uśpiono tak zręcznie, że z całą dobrą wiarą ułatwiali kupno żywności i przewóz amunicyi wojennych po drodze, którą Jameson miał przebyć od Kimberleyu aż do okolic Krügersdorpu.

Przedtem jeszcze sam zaproponowałem Herkulesowi Robinsonowi pomoc Rzeczypospolitej w opiece nad kobietami i dziećmi przed Matabelami, z którymi Anglia była w niezgodzie; naczelny komisarz jak najuprzejmiej podziękował za tę pomoc, utrzymywał wszakże, że jeszcze nie nadeszła chwila, w której przydaćby się mógł ratunek dany przez Boerów.

Oczywiście, gdybym domyślał się planu Jamesona, nie pozwoliłbym mu tak po kraju gospodarować, byłbym też przywołał jenerała Jouberta, bawiącego wówczas, dla własnej przyjemności, w swej fermie pod Wakkerstroom; Joubert powrócił do Pretoryi na parę dni przed zamachem.

W mojej alegoryi—żółwiem był Związek Narodowy, który nieustannie oczerniał rząd republikański i nie cofał się przed żadną groźbą, mogącą skutecznie poprzeć jego żądania.

Chciałem tylko powiedzieć, że należało uzbroić się w cierpliwość, zostawić rzeczy ich biegowi, czekać aż Związek uchyli przyłbicę, dostarczając rządowi prawnego powodu do uwięzienia jego przywódców i skazania ich za zbrodnię stanu.

Tymczasem w Johannesburgu sprawa tak się zaogniła, że pod koniec grudnia r. 1895 tysiące osób opuściło miasto i zamieszkało w małych portach wybrzeża wschodniego, a jednocześnie Związek przyjął nazwę *Reform-Committee* (Komitet Reformy) i zbroił swoją własną milicyę.

Aby uniknąć możliwego rozlewu krwi, rząd postanowił wprowadzić do miasta własną policyę. Co prawda, władze boerskie nie brały na seryo tego rzekomego powstania wiedząc, że było dziełem sztucznie wydmuchanem garści intrygantów i że wszystko to wydawałoby się wprost śmieszne, gdyby nie pociągnęło za sobą tak poważnych skutków [1]).

---

[1]) Opowiadano bajkę, którą nawet J. F. van Cord powtórzył w swej książce, że podczas całej awantury Jamesona

Jedynym w gronie tych *reformistów*, który wiedział, co mu czynić należało, był pułkownik Rhodes. Inni byli spiskowcami z operetki.

Liczne deputacye z Johannesburga, które w tym czasie przyjmowałem, świadczyły wyraźnie, że ogromna większość mieszkańców nie żywiła wcale uczuć rewolucyjnych.

To też przyrzekłem jednej z tych deputacyi, że słuszne żądania cudzoziemców będą sumiennie rozpatrzone; rząd bowiem gotów jest udzielić prawa głosowania tym wszystkim, którzy obecnie postępują tak, jak przystało wiernym przyjaciołom Rzeczypospolitej. Oprócz tego wydałem odezwę do mieszkańców Johannesburga i zaznaczyłem w niej, że wichrzyciele stanowią tylko małą cząstkę ludności, o czem wiem dobrze, rachuję zatem na wszystkich przyjaciół porządku publicznego, że popierać będą usiłowania rządu, zmierzające do przywrócenia spokoju i zapewnienia prawu jego władzy.

Tę odezwę ogłoszono d. 30 grudnia.

Tegoż dnia jenerał Joubert otrzymał z Otoshoop od Marais'go, komisarza kopalni, depeszę zawiadamiającą, że o piątej rano 800 żołnierzy z *Chartered*, uzbrojonych w strzelby Maxima, z armatami wyruszyło w stronę Johannesburga. Linie telegraficzne między tem miastem a Malmanią i Zeerustem były przecięte.

Joubert wysłał natychmiast do komendantów różnych okręgów: Rustenburga, Krügersdorpu i Potschefstroomu, telegramy o tem, co zaszło, rozkazując im, aby natychmiast wyruszyli naprzeciw wroga.

koń prezydenta stał osiodłany, prezydent sypiał z bronią nabitą przy łóżku. W rzeczywistości rzecz tak się miała: kilku przyjaciół radziło prezydentowi, aby opuścił Pretoryę, unikając możliwego zamachu, na co prezydent odpowiedział: „Jeżeli do tego dojdzie, wsiądę na konia, wezmę moją fuzyę i połączę się z moim oddziałem."

W tymże czasie rząd ustanowił w Johannesburgu komisyę, która stan rzeczy do porządku doprowadzić miała. Dzięki jej krew nie polała się w mieście.

Reformiści ze swej strony wysłali do Pretoryi deputacyę, aby porozumiewała się z władzą.

W imieniu gubernatora przyjęli deputacyę: jenerał Kock, sędziowie Amenhoff i Kotze; delegaci żądali, aby pozwolono Jamesonowi wejść do Johannesburga, ręczyli własną odpowiedzialnością, że Jameson za ich namową spokojnie do granicy powróci. Ale rząd przyjął właśnie propozycyę Herkulesa Robinsona (tenże objął ponownie obowiązki naczelnego komisarza, w których zastępował go czasowo Henryk Loch); Robinson miał przybyć do Pretoryi, aby rozstrzygnąć sprawę pokojowo.

Poproszono więc delegatów, aby na jego wyrok poczekali; tymczasem zaś rząd obiecał neutralność, o ile porządek publiczny zakłóconym nie zostanie.

Jameson dążył więc forsownym marszem do Johannesburga, chociaż doszedł go rozkaz naczelnego komisarza zawrócenia do granicy.

(Nawiasowo dodam, że zaraz po wydaniu tego rozkazu przysłano ministrowi, Cecilowi Rhodesowi, dymisyę).

Burger Ben Bouwer wręczył rozkaz Jamesonowi wraz z listem w tymże sensie napisanym z podpisem Jakóba de Wet, pełnomocnika angielskiego w Pretoryi.

Jameson ani rozkazu, ani listu słuchać nie myślał. Uwięził nawet porucznika Eloffa z policyi Krügersdorpu, który wyszedł na jego spotkanie w charakterze parlamentarza urzędowego.

Dochodząc do gór Krügersdorpu, spotkał Jameson pierwsze oddziały transwaalskie pod wodzą Malana, Potgietera, Cronjego i przywitał je ogniem armat; ale został odepchnięty, ponosząc znaczne straty.

Zwrócił się na prawo, chcąc ominąć pozycye przez burgerów zajęte.

Ten ruch w nocy dokonany spostrzegł feldkornet de Fouché i odrzucił napastników jeszcze więcej na prawo; tu spotkali się z komendą Cronjego i znowu pobici poddali się.

Utrzymywano, iż Jameson poddał się tylko pod tym warunkiem, że niebezpieczeństwo nie grozi jego życiu i życiu jego żołnierzy. Istotnie komendant Cronje wysłał notę do pułkownika Villohgkny, dowódcy wojska Jamesona, z zawiadomieniem, że nic nie grozi życiu zwyciężonych, jeśli poddadzą się i zapewnią odszkodowanie Rzeczypospolitej.

Kiedy Cronje porozumiewał się jeszcze z Jamesonem, kapitan Malan przerwał rokowania słowami:

— Żadnej obietnicy składać nie możemy, takie sprawy rozstrzygną się w Pretoryi.

Cronje przyznał słuszność zdaniu Malana, więc odpowiedziano po angielsku Jamesonowi:

— Życiu więźniów aż do Pretoryi nic nie grozi; tam oddani będą w ręce głównego dowódcy wojska, który w ostateczności zasięgnie co do wyroku zdania członków rządu.

— Dobrze—odparł Jameson—zgadzam się na wasze warunki.

Wtedy dopiero zaczęto rozbrajać jeńców i natychmiast zaprowadzono ich do Pretoryi.

Naczelny komisarz angielski przybył właśnie do tego miasta i rozmówił się już z członkami rządu

republikańskiego [1]). Na wstępie wyraził swój żal z powodu sprawy Jamesona, potem zręcznym wybiegiem wyciągnął na stół drażniącą kwestyę cudzoziemców, ich pretensyj i reform, których położenie wymagało. Przerwałem mu jednak uwagą, że nie pora w tej chwili o tych sprawach rozmawiać. Teraz chodziło przedewszystkiem o zapobieżenie rozruchom, o pokojowe rozbrojenie buntowników z Johannesburga.

— A jakie są warunki tego rozbrojenia? — zapytał naczelny komisarz.

— Niema warunków—odparłem.

Reprezentant angielski zawahał się, szukając argumentów, więc dodałem:

— Daję dwadzieścia cztery godziny zwłoki powstańcom z Johannesburga, aby poddali się w dobrej woli i bezwarunkowo; po tym czasie potrafię zmusić ich siłą.

Pomimo usilnych nalegań Herkulesa Robinsona, byłem niewzruszonym.

Burgerów i ich wodzów przejmowało słuszne oburzenie. Po latach stosunków przykrych, po groźbach Związku Narodowego, dziwić im się nie można, że nie myśleli wcale oszczędzać Jamesona i innych wichrzycieli. Fakt następujący dosadnie scharakteryzuje stan umysłów burgerów.

Na kilka dni przed porażką Jamesona oddział

---

[1]) Sir Herkules Robinson zapytywał, czy jego obecność może wpłynąć na pokojowe zakończenie sprawy Jamesona; odpowiedziano mu: „Tak, przybądź pan, a może rozlewu krwi nam oszczędzisz." Ale on w tej sprawie widział tylko jedno: możność wstrzymania egzekucyi kilku poddanych angielskich. I był widocznie stropiony swoją rolą, kiedy zrozumiał, że żądano od niego poprostu, aby poradził mieszkańcom Johannesburga oddanie się na łaskę i niełaskę.

z 400 ludzi złożony, który szedł na jego spotkanie, zatrzymał się w Pretoryi i komendant stawił się u mnie.

Wyszedłem z powitalnem słowem do burgerów, a komendant odezwał się w obecności swoich ludzi:

— Prezydencie, przyszliśmy cię tutaj powitać i zawiadomić, że jak tylko Jameson w ręce nam wpadnie, pójdziemy prosto do Johannesburga i z ziemią zrównamy tę jaskinię zbójców; dość już długo nam dokuczają.

— Nie, burgerzy—odparłem—tak nie mówcie. Pomyślcie, że w Johannesburgu mieszkają tysiące niewinnych ludzi i wiernych republikanów; inni zaś po większej części dali się pociągnąć garstce wichrzycieli. Nie bądźmy mściwi, bo nie wiemy dokąd zaprowadziłyby nas kroki odwetowe.

— Daremne twoje słowa, prezydencie — odparł komendant.—Na co przyda się nam wspaniałomyślność? Właśnie powolność nasza rozzuchwaliła wichrzycieli i prowadziła do dzisiejszego stanu rzeczy. Ale burgerzy, i ja z nimi, postanowiliśmy raz na zawsze wyplenić te ziarna buntu.

Na te słowa rozgniewałem się, a raczej gniew udałem.

— Dobrze! Ale skoro nie chcecie mnie słuchać, zażądajcie dymisyi prezydenta i rządźcie krajem według woli.

Komendant uspokoił się.

— Ależ nie, prezydencie; źle zrozumiałeś moje słowa, my zawsze ciebie słuchać chcemy... tylko doprawdy zanadto już nam oni dokuczyli.

— A więc — odparłem również spokojniej — jeśli chcecie mnie słuchać, to czyńcie, jak wam powiedziałem, a resztę mnie zostawcie.

Podczas posiedzenia sądu wojennego, który miał rozstrzygnąć o losie Jamesona, niezgoda wybuchnęła między mną a kilku dowódcami wojskowymi.

Zgodnie z radą cywilną, ułożyłem plan wydania Jamesona i jego towarzyszów władzom angielskim, aby ukarał ich rząd własny według praw swoich. Ale członkowie sądu wojennego stawiali mi opór tak energiczny, że zwyciężyłem dopiero dzięki pomocy panów Fiszera i Kleynveldla z Wolnego Stanu Oranje. Siostrzana Rzeczpospolita wysłała tych panów w celu powzięcia decyzyi wspólnej, stosownie do punktów przymierza łączącego dwa państwa.

Wracając do Johannesburga, naczelny komisarz, widząc, że wymagam z niezłomną stanowczością bezwarunkowego poddania się miasta, przesłał tę wiadomość drogą telegraficzną członkom *Reform Committee.* Buntownicy poddali się w przeciągu dwudziestu czterech godzin, bo też oprócz pułkownika Rhodesa i paru spiskowców, wszyscy zamierzali ratować się ucieczką za pierwszym wystrzałem. Zmącili spokój tylko w nadziei, że Anglia wyciągnie im kasztany z ognia, ale nie mieli wcale ochoty narażać życia dla sprawy, o której jeden z nich tak naiwnie powiedział:

— Nie dałbym za nią trzech groszy!

Rząd zawiadomił naczelnego komisarza o decyzyi, powziętej względem Jamesona; Chamberlain, zawiadomiony telegraficznie, podziękował prezydentowi w imieniu Jej Królewskiej Mości za czyn tak wysoce wspaniałomyślny [1]). Niestety! Przyszłość nie-

---

[1]) Zaznaczmy przy tej sposobności, że telegram cesarza niemieckiego, wysłany do Krügera z powodu tej sprawy, powstał samorodnie. Wbrew ogólnemu mniemaniu, Krüger nie prosił wcale obcych mocarstw o pośrednictwo.

daleka miała pokazać, jak krótko trwają w Anglii uczucia wdzięczności.

Kiedy Johannesburg broń złożył, okazało się, że jest jej o wiele mniej, niżby przypuszczać można. Osiemset strzelb i trzy Maksimy mocno uszkodzone!

Jamesona i jego bandę odprowadzono wkrótce do Natalu, a ztamtąd wysłano do Anglii. Rząd angielski uwolnił żołnierzy; co do Jamesona, skazano go na więzienie wraz z innymi dowódcami napadu. Wypuszczono ich zresztą przed terminem oznaczonym.

Dnia 9-go stycznia uwięziono z kolei *reformistów*: jednych w domach, innych w klubie i zaprowadzono do Pretoryi. Nazajutrz wydałem odezwę, oznajmiającą mieszkańcom Johannesburga, że teraz Rząd wie napewno, jak mała liczba wichrzycieli, intrygantów zakłóciła spokój ogólny, co mogło przynieść tak smutne dla kraju skutki.

Oznajmiłem jednocześnie, że Johannesburg mieć będzie odtąd radę municypalną, a w końcu zaklinałem ludność miasta, aby mnie upoważniła swojem postępowaniem do zapisania na aktach sprawy Jamesona: „Zapomniana i darowana.". Ostatnim odgłosem tej napaści był pochód wojska przez ulice miasta. Szły wszystkie oddziały zwycięzkie z wyprawy na Jamesona.

O szczegółach procesu, wytoczonego spiskowcom, zamilczę. Rząd republikański, aby uprzedzić wszelkie zarzuty ostrożności, zaprosił na sędziego człowieka, który z krajem w niczem złączony nie był. Uproszony przez nas rząd Wolnego Stanu Oranje przysłał nam pana Gregorowskiego. Większość spiskowców skazano na grzywny lub na więzienie. Tylko czterej przywódcy: Philipps, Rhodes, Farrar i Hammond zostali na karę śmierci skazani. Ale nawet tę karę Rada Najwyższa zmieniła na grzywny 25.000

funtów szterlingów. Był to łagodny epilog pierwszej części dramatu, który tyle krwi wytoczył, iż, rzec można, napojone nią zostały pola Afryki południowej.

Ale nie nadszedł jeszcze kres cierpień dla Johannesburga, bo dnia 19-go lutego 1896 roku wybuch kilku wagonów dynamitu wywołał popłoch i przerażenie w okolicy, niszcząc przedmieścia: Fordsburg i Braamfontein, raniąc i zabijając wielu obywateli. Przyznać trzeba, że podczas tych smutnych wypadków cudzoziemcy swojem postępowaniem zmazali swoje dawne winy.

W kilka dni zebrali sumę 70,000 funtów sterlingów, do których rząd dodał od siebie 25,000 liwrów.

Udałem się natychmiast do Johannesburga, aby odwiedzić ranionych, leżących w szpitalu i powinszować cudzoziemcom czynu, z którego radowałem się całem sercem. Przy tej sposobności przypomniałem im słowa Pana: „Błogosławieni dobrze czyniący..."

Zamach na niepodległość Rzeczypospolitej nędzny miał koniec; więc teraz zaczął działać minister Chamberlain; o! ten pewny był zwycięztwa.

Dzięki jemu, zamach Jamesona ustąpił miejsca zamachowi brytańskiemu *(a british raid)*.

Chamberlain zaprosił mnie najpierw do Londynu, abym omówił z nim sprawy Transwaalu, chociaż oznajmił mi ze zwykłą sobie pychą, że nie ma zamiaru rozstrząsać artykułu IV konwencyi londyńskiej, jedynego, który stawiał pewne zapory polityce zewnętrznej Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej. Możnaby było sądzić z jego tonu, że nie Anglia, ale Transwaal miał sobie coś do wyrzucenia.

Jednocześnie Chamberlain wysłał do mnie inną depeszę, w której proponował mi zastosowanie do Johannesburga rodzaju *Home Rule'u*. Ta depesza ukazała się w Londynie w „Dzienniku urzędowym” zanim jeszcze do mnie doszła. I pomyśleć tylko, że ta kwestya *Home Rule* w zastosowaniu do Irlandyi poróżniła niegdyś Chamberlaina z ministeryum Gladstona i kazała mu zamienić dawniejszy radykalizm na obecny dżyngoizm.

Ostatecznie otrzymałem tylko krótki wyciąg z tej depeszy, wydrukowanej *in extenso* w dzienniku londyńskim. To też odpowiedziałem hardo, że nie pochwalam wcale tej publikacyi rad, które gabinet londyński uważał za stosowne przesyłać Rzeczypospolitej i że zresztą nie mogę przyjąć wdania się obcego państwa w nasze sprawy wewnętrzne. Tę odpowiedź kazałem też wydrukować w „Dzienniku Urzędowym Rzeczypospolitej.”

Chamberlain odparł, że jeśli jego propozycya mnie nie dogadza, on ją poprostu cofa, a ja znów podałem warunki, od których zależeć miała podróż moja do Londynu. Najgoręcej pragnąłem teraz zmiany konwencyi londyńskiej na traktat handlowy, pokojowy, przyjacielski. Chamberlain, naturalnie, udawał głuchego. Jego nieustanną zwrotką było zadosyćuczynienie wszelkim słusznym żądaniom cudzoziemców; pod hegemonią Anglii tak jedynie sprawę zakończyć było można. Co się zaś tyczyło czwartego artykułu Konwencyi, ten pod żadnym pozorem zmienionym być nie może, nawet przypuszczając możliwość nowego traktatu.

W takim razie nie miałem po co jechać do Londynu. Pocóż istotnie przerabiać Konwencyę, jeśli nie wolno tknąć jedynego punktu, który grozić może niepodległości Transwaalu? Zresztą, kiedy Chamberlain przekonał się, że nie przyjadę, jeżeli mi nie wykaże pożytku, jaki przynieść może moja podróż, wtedy cofnął swoje zaproszenie.

Zaczynaliśmy już pojmować, że trzeba nam zgromadzić wielką ilość broni, dział i amunicyi, jeżeli mamy stawić czoło niedalekim może wypadkom. Zamach Jamesona nauczył Rzeczpospolitą, że przy obecnem uzbrojeniu o poważnej walce myśleć nie może. Burgerzy mieli po większej części fuzye systemu Martini-Henry; niektórzy wcale fuzyi nie posiadali. Co do amunicyi starczyłoby jej może na parę tygodni. Należało więc pomyśleć o środkach, umożliwiających burgerom obronę w razie wojny.

Zresztą według brzmienia konstytucyi, każdy burger powinien być uzbrojony: Z początku rząd trzymał się ściśle ducha prawa. Nowe wojenne materyały trzeba było wszakże sprowadzić po wotach parlamentu angielskiego, który ustanawiał ***komisyę ankiety dla angielskiej Afryki południowej***, tembardziej, że niektóre poszlaki wykazywały udział Chamberlaina w zamachu Jamesona. Istotnie, dwulicowość ministra ujawniła się wyraźnie w telegramach, wręczonych tej komisyi, a jeszcze wyraźniej w tych, których jej wcale nie doręczono. Oprócz tego Chamberlain pochwycił tę sposobność, aby wychwalać przed Izbą Gmin Cecila Rhodesa, zaręczając, że minister Ziemi Przylądkowej jest człowiekiem uczciwym w całem znaczeniu tego słowa, którego cześć żadnym podejrzeniom podlegać nie może. Jakiż wniosek można było wyprowadzić z tej apologii nieoczekiwanej? Że Chamberlain jest wspólnikiem Cecila Rhodesa, że bronił go jedynie z obawy, aby minister nie ujawnił faktów dla angielskiego męża stanu nieprzyjemnych.

Takie przynajmniej było przekonanie rządu republikańskiego, poparte dowodnie przez wypuszczenie na wolność Jamesona z powodu jego choroby, cudo-

wnie uleczonej natychmiast po uwolnieniu więźnia i nadanie mu wkrótce stopnia oficera

„Po tem wszystkiem czy można było mieć za złe Rzeczypospolitej, że uzbroiła się tak, aby Anglia opanować jej znienacka nie potrafiła? Przeciwnie! Obowiązek nakazywał państwu czuwać pilnie, aby kraj bezbronnym nie był. Jednakże ta właśnie czynność, nakazana przez prostą ostrożność, była głównym tematem wszystkich zarzutów, któremi obsypywała mnie prasa angielska i ministrowie angielscy; to był rzekomy powód wojny nikczemnej, niszczącej przyszłość całego narodu.

Zaledwie komisya angielska Afryki południowej ukończyła swoje zadanie, Chamberlain przy pomocy szeregu depesz tendencyjnych, które wojna dopiero zakończyć miała, zaczął rozbudzać w narodzie angielskim niechęć do Rzeczypospolitej; ta bowiem (według brzmienia depesz) urągała nieustannie wszechmocy Anglii i stale pragnęła wyłamać się z zobowiązań przez konwencyę londyńską nakazanych; jeden z telegramów (1897 r.) zarzucał Rzeczypospolitej czyny następujące:

1) Branie udziału w konwencyi genewskiej.
2) Nowe prawa prasowe.
3) Prawa dotyczące imigrantów.
4) Zawarcie traktatu z Portugalia, etc.

Te czyny miały stać w sprzeczności z artykułem 4-ym konwencyi londyńskiej [1]), według którego Rzeczpospolita nie miała prawa podpisywać żadnego traktatu z jakiembądź państwem (z wyjątkiem Wolnego Stanu Oranje) bez poprzedniej aprobaty rządu angielskiego, który znów miał prawo udzielić odpowiedzi przed upływem sześciu miesięcy. Chamberlain utrzymywał, że Rzeczpospolita powinna była przedstawiać Anglii projekty traktatów; Boerowie zaś utrzymywali, że dopiero po ich zawarciu powinni je przesyłać do ratyfikacyi, odnosząc się zresztą do ducha i do litery tekstu konwencyi londyńskiej: *upon ist completion* (po jego zawarciu).

Wobec tej rozbieżności w rozumieniu artykułu rzeczonego, Rzeczpospolita prosiła rząd Jej Królewskiej Mości, aby tę sprawę poddał pod sąd specyalnego trybunału rozjemczego. Chamberlain odparł, że Anglia, jako władczyni Afryki południowej, nie może przyjąć sądu rozjemczego między nią a Rzecząpospolitą boerską.

Ta odpowiedź mogła wyczerpać cierpliwość rządu republikańskiego i właśnie dlatego, aby tej władzy uniknąć, delegacya udała się do Londynu w r. 1883, chcąc otrzymać zmianę w brzmieniu traktatu, a ztąd wyłoniła się konwencya z 1884 roku, według której władza Anglii była, zdaniem Boerów, czysto formalną.

Przytem Herkules Robinson, jeden z redaktorów konwencyi z roku 1884, sam oświadczył jednemu z dziennikarzy [1]), że władza Anglii od r. 1884

[1]) Artykuł 4 brzmi jak następuje:
„Rzeczpospolita Południowo-Afrykańska nie zawrze żadnego traktatu, ani przymierza z jakimkolwiek państwem lub narodem, z wyjątkiem Wolnego Stanu Oranje, ani z żadnem plemieniem miejscowem na wschód lub na zachód swoich granic bez zgody Jej Królewskiej Mości.“ To pozwolenie będzie uważane za uzyskane, jeżeli Jej Królewska Mość w przeciągu sześciu miesięcy od chwili otrzymania kopii traktatu nie oznajmi, że dany traktat sprzeciwia się interesom Wielkiej Brytanii lub jednej z jej kolonii. Przesłanie kopii natychmiast po zawarciu umowy przedwstępnej traktatu nie jest wymagalne.

[1]) Tym dziennikarzem jest dr Harris, wydawca *Saturday Review*.

jest zniesiona, co żadnej nie ulega wątpliwości. Dr Leyds to samo stwierdził w sposób niezbity w swej odpowiedzi z d. 16-go kwietnia 1896 r.

Wspomniał w niej o pewnym liście lorda Derby z datą 15-go lutego 1884, dołączonym do projektu nowej konwencyi, wręczonego delegatom. Na czele tego projektu był drukowany tekst wstępu do konwencyi z 1881, a pod nim tekst konwencyi z 1884 z następującą uwagą:

„Noty i paragrafy, umieszczone w nawiasach, lub drukowane kursywą, mogą być nadal utrzymane; określone zaś czarną linią mają być odrzucone (w nowej konwencyi).”

Otóż cały tekst wstępu do traktatu z r. 1881 nietylko otacza czarna linia, ale wyrazy: „poddana władzy Jej Królewskiej Mości, jej spadkobiercom i następcom” są najwyraźniej przekreślone ręką samego lorda Derby.

Należało koniecznie dowieść, że wstęp do konwencyi z r. 1881, jedyne miejsce, gdzie wspominano o władzy Anglii nad Rzecząpospolitą, został z następnej usunięty, bo Chamberlain utrzymywał stale, że ta władza istnieje. Odrzućmy chwilowo fakt dowiedziony, że ów wstęp czarna linia otaczała, a więc był odrzucony; aby Chamberlain miął słuszność po swojej stronie, należałoby przypuszczać, że istniały dwa wstępy różnie zredagowane dla jednej i tej samej konwencyi, co jest wyraźnym absurdem.

Według najelementarniejszej prawości, Chamberlain powinien był w końcu przyznać się do błędu; ale on, przeciwnie, upierał się przy twierdzeniu, że artykuł, odnoszący się do władzy Anglii, nie był usunięty.

Dla takich ludzi, jak Chamberlain, rozumowania na prostej logice oparte nie mogą mieć znaczenia, ale przyznać też trzeba, że, jeśli mógł on wbrew

wszelkiej sprawiedliwości utrzymać się przy swem zdaniu, to tylko dlatego, że to zdanie dogadzało brutalnym instynktom, które naród angielski ujawniał zawsze wobec słabszych.

Zajęcie, wzbudzone szczególną korespondencyą Chamberlaina z rządem Rzeczypospolitej, ustąpiło wkrótce miejsca o wiele ważniejszym dla niej troskom.

Najprzód kwestya kryzysu kopalnianego, potem zatarg między władzą sądową a prawodawczą, dwa szeregi zdarzeń jednakiej wagi dla kraju, którego losy tak się zmieniły.

Komisya, zwana „przemysłową,” została utworzona dla rozpatrzenia skarg „komisyi kopalnianej.”

Niewątpliwie zbyt wielkie ciężary obarczały przemysł kopalniany wogóle; wykazała to komisya w swoim raporcie, ale przyczyną główną małej wydajności niektórych kopalni, a nawet zupełnego braku wydajności innych była gorączka spekulacyjna, która rzucała na rynek eksploatacyi ziemie bez żadnej wartości, przetwarzała bez końca różne towarzystwa, które przez to samo zostawiały pieniądze w rękach bankierów i w końcu wywoływały zwyżki fikcyjne akcyj, a dywidendy w mgłę się rozwiewały. Wielkie przedsiębierstwa finansowe pochwyciły większość papierów i mogły dowolnie stwarzać zwyżkę lub zniżkę; prawie wszyscy akcyonaryusze byli ich ofiarami.

Komisya, zasiadająca w Johannesburgu, przesłuchali mnóstwo osób i wypracowała wreszcie raport o środkach, jakich użyć należało, aby kryzys zakończyć.

1) Zmniejszyć opłatę celną za produkty spożywcze.

2) Porozumieć się z innemi państwami Afryki Południowej w celu łatwego zgromadzenia robotników-tuziemców i otrzymać dla nich redukcyę cen biletów kolejowych.

3) Wyznaczyć komisyę, która zbadałaby dokładnie możliwość zniesienia monopolu dynamitu; wtedy rząd wziąłby na siebie jego dostawę po cenach kosztu, z małą nadwyżką 20 szylingów cła wwozowego. Należało też nakłonić zarządy kolei żelaznych, aby zniżyły taryfy.

O innych, pomniejszych środkach zaradczych umyślnie zamilczam. Rząd przedstawił ten projekt Radzie Ludowej, która wyznaczyła nową komisyę dla powzięcia ostatecznego zdania w tej sprawie.

Po długich rozprawach nad wnioskami komisyi parlamentarnej postanowiono, że zarząd kolei żelaznych zgodzi się na obniżenie taryfy w ilości odpowiadającej 200000 liwrów jej dochodów brutto, a rząd ze swej strony obmyśli sposób tańszego dostarczania dynamitu.

Rząd więcej uczynił: obniżył ceny węgla i produktów spożywczych, i dostarczył dynamitu ze zniżką 5 szylingów na skrzyni. Oprócz tego, dzięki porozumieniu się z Portugalią, sprowadził wielką partyę górników, Kafrów, z kolonij portugalskich. Pomimo to Chamberlain utrzymywał, iż rząd nie zważał wcale na rady jego komisyi przemysłowej.

Konflikt jurydyczny, o którym wyżej wspomniałem, wynikł z antagonizmu między władzami publicznemi a sekcyą sądu najwyższego. Początki tego antagonizmu tkwiły w faktach następujących:

Na mocy zasady stale przyjętej postanowienia Rady Ludowej były prawomocne nawet wtedy, kiedy stały w sprzeczności z niektóremi artykułami konstytucyi. Sąd najwyższy, którego członkiem był sędzia Kotze (jedna z przyczyn zatargu obecnego)

sam stwierdził tę zasadę wyrokami poprzednio wydanemi. Nagle sąd zmienił swoje zapatrywania z powodu jakiejś sprawy o parcele. W okręgu Krügersdorp pewnym częściom gruntu nadano nazwę „pól złotych”. W dniu, w którym ogłoszono tę nazwę, mnóstwo poszukiwaczy złota zgłosiło się, by wymierzyć swoje parcele, zgodnie z prawem, które własność parceli przypisywało najszybszym, to jest tym, którzy najpierwsi tyki miernicze zasadzili, co nakładało na nich obowiązek wypłacenia należnej taksy. Otóż, ponieważ taka metoda podziału, z powodu wielkiej liczby nabywców, mogła spowodować wielkie nieporządki, rząd po namyśle i pragnąc przedewszystkiem, aby Anglia nie miała powodu jeszcze bardziej wtrącać się w sprawy Rzeczypospolitej, postanowił zaproponować Radzie Ludowej powzięcie decyzyi, na mocy której „pola złote” byłyby rozdzielone przez rząd w taki sposób, aby wszyscy konkurenci mieli jednakowe szanse. Rada Ludowa odnośną decyzyę wydała, co nie przeszkodziło niejakiemu Brownowi wziąć pewien obszar, który sobie sam odmierzył; ale gdy złożył należną opłatę w urzędzie fiskalnym, ten ją odrzucił, motywując przyczyny swojej odmowy.

Sąd najwyższej instancyi, jedynie kompetentny, wziął tę sprawę w swoje ręce, a sędzia Kotze wydał wyrok sprzeczny z poprzedniemi swemi wyrokami, gdyż odmawiał Radzie Ludowej prawa formułowania decyzyj, gwałcących ducha konstytucyi. Ten wyrok dotykał samych podstaw instytucyi parlamentarnej, bo mnóstwo rozporządzeń prawnych co do „pól złotych”, prawa głosowania i *tutti quanti* opierało się poprostu na decyzyach Rady Ludowej. A zatem i rząd był zaatakowany. Istotnie, w jakże ciężkiem położeniu byłby taki kraj, którego wszystkie zasady życiowe powikłałaby zawrotnie szybka ewolucya (co dzieje się we wszystkich krajach złotodajnych), kraj zalany

przez fale spekulantów i awanturników, gdyby nie znalazł pomocy skutecznej w decyzyach parlamentarnych, które mogłyby z dnia na dzień, według potrzeby, stanąć w obronie jego interesów lub usunąć niebezpieczeństwa grożące narodowi.

Coś podobnego już nam raz groziło.

W listopadzie 1896 r. prawo o eksploatacyi złota, zmodyfikowane na sesyi poprzedniej, miało wejść w życie. Ale na nieszczęście, był tam ustęp dość ciemny, który nawet z tego powodu wymagał dodatkowego komentarza, w przeciwnym bowiem razie mógłby skrzywdzić poważnie przemysł kopalniany, niedostatecznie uzbrojony do walki ze spekulacyą. I cóż się stało? Sami przemysłowcy zażądali interwencyi rządu, a doktór Leyds przedstawił całą sprawę Radzie Ludowej i poddał pod głosowanie decyzyę, która złemu zapobiegała, wypełniając lukę prawną, o której wspomniałem. I każdy uważał to za rzecz zupełnie naturalną.

Rząd nie mógł więc, wskutek wyroku jednego z sędziów, odrzucić przywileju tak drogocennego dla spokoju całego kraju. Uproszono wtedy sir Henryka de Villiers, sędziego najwyższego w Ziemi Przylądkowej, aby tę kwestyę rozstrzygnął.

Henrykowi de Villiers (który podzielał zdanie rządu republikańskiego) udało się znaleźć grunt pojednawczy. Kotze złożył obietnicę szanowania w przyszłości decyzyi Rady Ludowej, a ja znów obiecałem nakłonić Radę do rewizyi konstytucyi [1]). Zresztą

[1]) Według osobistego zdania prezydenta, zdania, wygłaszanego przezeń dość często w mowach urzędowych, decyzye parlamentarne, niezgodne z duchem konstytucyi, mógł wprawdzie obalić *lud wszechwładny*, ale nie członkowie sądu, którzy te prawa powinni byli tylko odpowiednio stosować (Patrz w dodatku do pamiętników mowy wypowiedziane przez Krügera w 1898 r., kiedy poraz czwarty wybrany został prezydentem.

wkrótce wyjść miało prawo, na mocy którego każdy sędzia, składając tradycyjną przysięgę, składać miał jednocześnie obietnicę, że nie będzie kwestyonował prawomocności artykułów kodeksu. Ale powolność Kotzego była tylko pozorną. W lutym 1898 napisał do mnie, że skoro nie pomyślano dotąd o rewizyi konstytucyi, on czuje się zwolnionym od danej obietnicy: w przyszłości zapatrywać się będzie jurydycznie na prawność wszystkich decyzyj parlamentarnych, niezgodnych z konstytucyą.

Tego było za wiele. Jakże mogłem już w lutym podać Radzie Ludowej projekt rewizyi, skoro posiedzenia zaczynały się w maju? Sędziemu Kotze poradziłem, aby podał się do dymisyi.

Prasa angielska obrzuciła mnie z tego powodu obelgami, a później Chamberlain ochrzcił całą sprawę nazwą: *osobliwej pretensyi prezydenta.*

W tym samym czasie minister angielski natrafił nareszcie na człowieka, o jakim dawno marzył, który miał być jego prawą ręką w Afryce Południowej, tj. na sir Alfreda Milnera, który już w 1897 był jednocześnie gubernatorem Ziemi Przylądkowej i naczelnym komisarzem całej Afryki Południowej.

Milner karyerę swoją rozpoczął w Egipcie, zkąd wywiózł tę pewność, że fellah jest niewątpliwie istotą, ulepioną z innej niż on sam gliny, i taką mądrością napojony, przybył do Afryki Południowej, nie przypuszczając nawet, by Afrykander mógł się różnić od fellaha.

Chamberlain oczywiście wybrał tego człowieka jedynie w celu większego rozjątrzenia stosunków w Afryce Południowej. Nominacyę Milnera dżyngoiści przyjęli okrzykami tryumfu. Nowoprzybyły streścił cel i ducha swej polityki w prostem wyznaniu wiary, wypowiedzianem do jednego z Afrykanderów: „Trzeba złamać potęgę Afrykanderów”. Niestety!

wiemy teraz aż nadto dobrze, jak wiernie Alfred Milner spełnił powierzone sobie zadanie.

Dzisiaj ma to zadowolenie, że część Afryki zamienił w pustynię, że pozbawił życia setki tysięcy ludzi niewinnych. Sir Alfred Milner jest ostatecznie najczystszym produktem dżyngoizmu, istotą przegniłą od jadu pychy egoistycznej, nadętą wielkością swego rodu i pełną pogardy dla wszystkiego, co po za Anglią stoi.

W epoce, w której sir Milner obejmował swoje urzędy, kończył się mój mandat i nowe wybory miały przed sobą trzech kandydatów. Oprócz mnie byli kandydatami: Joubert i Schalk Bürger, członek Rady najwyższej, oraz prezes komisyi przemysłowej. Wybory miały odbyć się po raz pierwszy według nowego prawa tajnego głosowania.

Jednocześnie Wolny Stan Oranje musiał również obierać prezydenta, gdyż Reitz ustępował ze swego stanowiska wskutek słabego zdrowia. Na jego miejsce obrano sędziego, M. T. Steina. Biografii jego podawać nie potrzebuję. Jego odwaga niezrównana, umysł jasny i mądry, wzniosły patryotyzm, są dzisiaj ogólnie znane, i rzec można, że posiada on nietylko serca wszystkich Boerów, ale że w całej Afryce Południowej pamięć o nim nie zaginie, bo jest jedną z jej najszlachetniejszych, najbardziej zajmujących postaci.

Odbyta wkrótce po wyborach konferencya w Bloemfonteinie, zacieśniła jeszcze węzły łączące dwie rzeczypospolite-siostry; nie potrzebuję dodawać, że jedna i druga uznawały konieczność takiego zjednoczenia, szczególniej po napaści Jamesona, równie niecnej, jak bezczelnej.

Na bankiecie, wydanym podczas tej konferencyi, pozwoliłem sobie wypowiedzieć żart, rycerski raczej niż złośliwy, iż Rzeczpospolita, zawierająca przymierza, powinna zawsze pamiętać, że królowa Anglii jest „kwasie" (wyraz pochodzący od holenderskiego „kwade" czyli „kobieta"). Dla każdego, kto zna język boerski, jest rzeczą jasną, że nazwałem królowę angielską „*damą*", której *eo ipso* należą się wszelkie względy. Pomimo to pisma angielskie żart ten nazwały wielką obrazą Jej Królewskiej Mości.

Konferencya doprowadziła zresztą do wyników dla obu stron bardzo korzystnych, bo opartych na systemie zupełnej wzajemności. I tak: jednakich praw używał obywatel z Oranje, mieszkający w Transwaalu, i Transwaalczyk, przebywający w siostrzanej Rzeczypospolitej (z wyjątkiem prawa głosowania, które tu i tam pozostało bez zmiany). Wzmocniono więc przymierze polityczne i przyjęto projekt utworzenia rady, złożonej z deputatów dwóch Rzeczypospolitych (Rada związkowa), która miała zbierać się rokrocznie kolejno w Pretoryi i w Bloemfonteinie, by wspólnie i czynnie pracować nad jednością organiczną dwóch krajów i ujednostajnieniem zupełnem ich kodeksów. Rady Ludowe obydwóch narodów przyjęły ten projekt, z tym wszakże dodatkiem, że Burgerzy z jednej Rzeczypospolitej, mieszkający w drugiej, używać mają wszystkich praw politycznych w niej obowiązujących, od dnia, w którym złożą przysięgę nakazaną.

ROZDZIAŁ XII.

Czwarty i ostatni okres prezydentury.

Wynik wyborów był dla wszystkich niespodzianką, bo chociaż moja elekcya nie ulegała wątpliwości, nie przypuszczano wszakże, abym wielką ilość głosów miał za sobą. Podaję tu cyfry urzędowe:

Krüger	12,858	głosów.
Schalk-Burger . .	3,750	„
Joubert	2,001	„

Po raz czwarty zatem złożyłem przysięgę, jako prezydent państwa w dniu 12 maja 1898 r. [1]).

[1]) Mowa, wypowiedziana wtedy przez Krügera trwała trzy godziny. Prezydent rozbierał w niej podstawy swych idei politycznych i religijnych, scharakteryzował położenie i obowiązki kraju—wszystko w formie przemówień, zwróconych do dwóch rad: do Rady wychowawczej, do deputowanych wolnego stanu Oranje, do ciała dyplomatycznego, do Burgerów imigrantów naturalizowanych i świeżo przybyłych, do sędziów, do dwóch współzawodników swoich, pastorów, nauczycieli, wreszcie do młodzieży.

Tę mowę typową, doskonale charakteryzującą indywidualność polityczną i społeczną Krügera, drukujemy w dodatku.

W tymże roku dr Leyds został ponownie i prawie jednogłośnie wybrany sekretarzem stanu, ale wkrótce potem udał się do Europy, jako ambasador nadzwyczajny.

Jego miejsce miał zająć Abraham Fischer, jeden z najczynniejszych i najmądrzejszych mężów stanu w Afryce południowej, członek w owym czasie rady wychowawczej w Wolnym Stanie Oranje. Fischer nie przyjął ofiarowanej mu godności, a wtedy z urny wyborczej wyszedł W. Reitz, exprezydent Oranje, potem sędzia w Transwaalu. Był to wybór szczęśliwy, bo nawet przeciwnicy Reitza uznawali jego nieskazitelną prawość, a przytem miał on także niezwykłą wprawę polityczną dzięki poprzednio zajmowanemu stanowisku.

Nominacya I. C. Smutsa na godność prokuratora generalnego również korzyść przyniosła Rzeczypospolitej. Smuts, przedstawiciel młodego pokolenia Afrykandrów, odznacza się wielką erudycyą w zakresie prawnictwa. Jego prostota w obejściu niczem nie zdradza woli żelaznej, którą kryje w sobie ten człowiek wyjątkowej energii. Ma lat 30 zaledwie, nie miał żadnego wykształcenia militarnego, kiedy za broń pochwycić musiał, a jednak zajął potem jedno z pierwszych miejsc między jenerałami boerskimi tak, że oprócz tytułu prawniczego, posiada drugi—jenerała-komendanta. Niewątpliwie odegra on jeszcze ważną rolę w przyszłych dziejach Afryki południowej.

Wkrótce sir Alfred Milner znalazł sposobność do gnębienia Rzeczypospolitej i postawienia na jej głowie swojej ciężkiej stopy, a to z powodu sprawy Bunu.

Od niepamiętnych czasów król ziemi Swazi używał prawa skazywania na śmierć każdego ze swoich poddanych, jeżeli mu taka przyszła fantazya.

Kiedy Rzeczpospolita objęła rządy tej Ziemi, pomyślała najpierw o zniesieniu takiego stanu rzyczy. Otóż na początku roku 1898 król Bunu kazał zabić jednego ze swych wodzów Umbabę [1]), oraz kilku innych poddanych. Świadkowie twierdzili, że Bunu zamordował go własną ręką. Powołany przed sąd w Bremersdorpie, stawić się nie chciał, potem zjawił się w otoczeniu świty od stóp do głów uzbrojonej, grożąc Kroghowi, specyalnemu komisarzowi ziemi Swazi. Krogh musiał na razie zaniechać sprawy i Bunu spokojnie powrócił do domu.

Rząd postanowił wtedy wysłać oddział wojska do ziemi Swazi, aby czuwał nad życiem poddanych Bunu, a w danym razie zmusił go do stawienia się przed sądem odnośnym. Tymczasem naczelny komisarz angielski uznał za stosowne wmieszać się także do tej sprawy, zapewne w tym celu, aby jaką nową krzywdę wyrządzić Boerom.

A może miał nadzieję, że sprawa Bunu dostarczy mu sposobności wciągnięcia Rzeczypospolitej w wojnę z Anglią. Utrzymywał, iż rząd boerski nie miał prawa przed sąd pozywać Bunu, chociaż według brzmienia jednego z artykułów konwencyi, sprawy kryminalne ziemi Swazi sądzone być miały przez sąd najwyższy w Bremersdorpie.

Kiedy Bunu spostrzegł, że jego sprawa wobec Boerów źle stoi, uciekł do ziemi Zulusów i udał się pod protekcyę rządu angielskiego, wobec czego rząd transwaalski musiał zgodzić się na kompromis: Bunu miał zapłacić karę pieniężną i wrócić spokojnie do domu. Wskutek tego kompromisu wzbogacono traktat z ziemią Swazi dodatkowym artykułem, w którym wyliczono i określono wszystkie wypadki, podpadające pod kompetencyę trybunałów transwaalskich.

[1]) Umbaba był wielkim przyjacielem Boerów. Bunu zaś z wielką niechęcią znosił ich zwierzchnictwo. Żył zresztą w ciągłem podnieceniu, spowodowanem licznemi orgiami.

Już w tej epoce, a głównie po zakończeniu sprawy Bunu, Anglicy, tak w Londynie, jak i w Afryce południowej zachowywali się wobec Rzeczypospolitej wprost wyzywająco. W Johannesburgu założono, za namową oczywiście Rhodesa, filię *South-Africa League* (liga południowo-afrykańska), której wszystkie czynności do jednego dążyły celu: wciągnąć Rzeczpospolitę w zatargi z Anglią. Liga nie gardziła żadnym najmarniejszym, ani najbrutalniejszym środkiem, aby tylko na swojem postawić.

Kiedy władze boerskie zaaresztowały kilku metysów, poddanych angielskich, podróżujących wbrew prawom bez paszportu, liga z Johannesburga podniosła krzyk zgrozy i urządziła *meeting*, protestujący przeciw postępowaniu rządu.

Ale w Burgerach krew burzyć się zaczynała; udali się gromadnie na ów meeting, który zamienił się w taką bójkę, że członków ligi kijami popędzono do domów. Te rozruchy były bardzo na rękę dżyngoistom: wywołali je oni sami, aby wcześniej lub później ukuć z nich broń na Rzeczpospolitę.

Drugie zdarzenie jeszcze silniej podnieciło umysły, głównie wskutek ohydnego zachowania się w tym wypadku prasy angielskiej. Sam Chamberlain nie wstydził się słuchać kłamstw, rozgłaszanych przez dzienniki, chociaż tak łatwo mu było zaczerpnąć prawdy z pierwszego źródła. W nocy z 18-go grudnia 1898 r. poddany angielski Foster posprzeczał się ze swoim rodakiem Edgarem, który obił go co sił starczyło i zostawił prawie martwego na miejscu. Fostera przeniesiono do szpitala, gdzie w kilka dni umarł wskutek ran otrzymanych. Zabójca uciekł, ścigany

przez agentów, których kilku świadków tej sceny przywołało. Między agentami był niejaki Jones, syn woźnicy królowej angielskiej; Jones, jako agent policyjny używał praw Burgera.

Widział on Fostera leżącego na ziemi, a sądząc, że już nie żyje, pogonił za zabójcą, lecz ten wbiegł do swego mieszkania i drzwi za sobą zabarykadował. W danym wypadku policya, według praw panujących nietylko w Rzeczypospolitej, ale w całej Afryce południowej, nawet w Anglii, powinna była choćby gwałtem wejść do mieszkania mordercy i uwięzić go. Jones wyłamał też drzwi, za któremi ukrywał się Edgar, a gdy ten uderzył go sztabą żelazną, agent we własnej, uprawnionej obronie strzelił do mordercy, kładąc go trupem na miejscu. Nie ulega wątpliwości, że agent poprostu spełnił swój obowiązek. Tak twierdzili ludzie bezstronni i takie też było zdanie sądu; jednakże, aby uniknąć wszelkich reklamacyj ze strony Anglików, wytoczono agentowi proces o morderstwo. Sąd, rozumie się, uwolnił go od wszelkiej odpowiedzialności.

A teraz powiem, w jaki sposób Chamberlain przekręcił całą sprawę: policya bez żadnego upoważnienia wdarła się w nocy do mieszkania prywatnego, pod pozorem aresztowania jakiegoś człowieka, oskarżonego o zabójstwo, a to na mocy słów (jak się później okazało, kłamliwych) *jednej* tylko osoby! Policya tego człowieka zabiła, bo broniąc się, uderzył kijem jednego z agentów. — Czy można dalej posunąć przewrotność i czy minister nie powieienby zawstydzić się, podpisując tak kłamliwe depesze? Lecz były to poprostu wstępne oznaki nadchodzącego kryzysu. Anglia codziennie mnożyła liczbę swoich wycieczek przeciw Rzeczypospolitej bądź to w prasie kontynentalnej, czy kolonialnej, bądź też korzystając z poduszczeń dżyngoistów. Ci właśnie przepadli podczas

wyborów w Ziemi Przylądkowej, pobici przez tryumfujących Afrykandrów ku wielkiemu zmartwieniu Cecila Rhodesa.

Sam Alfred Milner przy tej sposobności przekroczył atrybucye swej władzy i uchylił maski, dając urzędową pomoc dżyngoistom. Odtąd można było przewidywać kryzys, katastrofę wobec niemożności doprowadzenia do wzajemnych ustępstw. Mówię „wzajemnych", bo oczywiście kiedy dwa stronnictwa stoją naprzeciw siebie, ustępstwa jednej tylko strony muszą być jałowe, szczególniej, gdy druga strona popycha sprawę w kierunku przeciwnym (jak tu, w kierunku wojny). Zresztą, aby się przekonać, iż Rzeczpospolita pragnęła jedynie zgody podczas rokowań, które ostatnią wojnę poprzedziły, wystarcza przejrzeć noty zamienione z gabinetem londyńskim.

Prawo głosowania było ostatecznym pretekstem dla Milnera i Chamberlaina, aby wywołać zawikłania doprowadzające do wojny. To też zaznaczam, że od początku r. 1899 zgromadzałem tak w Heidelbergu, jak i Rustenburgu Burgerów, których wszelkiemi możliwemi sposobami w sprawach dla kraju palących starałem się przeciągnąć na swoją stronę; do takich należała konieczność zmniejszenia z lat czternastu na dziewięć okresu czasu wymaganego od cudzoziemców, aby mogli otrzymać zupełne prawa wyborcze.

Dodam nawet, że podczas ostatniego zgromadzenia w Johannesburgu wyrażałem nadzieję, iż okres ten może być jeszcze w przyszłości skrócony do lat pięciu. Na nieszczęście, według wszelkiego prawdopodobieństwa, te ustępstwa musiały przestraszyć Milnera i Chamberlaina i przyśpieszyły kryzys, gdyż jeden i drugi chcieli jedynie zmusić do wojny Rzeczpospolitę, a zamierzone przezemnie reformy odjęłyby im wszelki pozór do zatargów. Sir Alfred Milner popłynął do Anglii, a jego pobyt w ojczyźnie miał

jedynie na celu ukartowanie z Chamberlainem planu, według którego należało przeprowadzić program imperyalistyczny. Kiedy wrócił, wszystko już było ułożone.

Liga z Johannesburga wystąpiła pierwsza, przesyłając królowej angielskiej petycyę, w której wyliczała swoje liczne żale do Rzeczypospolitej i prosiła o interwencyę rządu angielskiego. Pan Fraser, który podczas nieobecności Conyngham Greena, bawiącego w Anglii, dokąd udał się razem z Milnerem, zajmował w Pretoryi urząd pełnomocnika angielskiego, petycyi przyjąć nie chciał. Ale Chamberlain tak go zgromił, że Conyngham Green nie miał ochoty naśladować swego zastępcy. Milner zawiadomił jednocześnie rząd angielski, że całą Afrykę południową nurtuje agitacya anti-brytańska, chociaż przed dwoma laty sam telegrafował z powodu jubileuszu królowej, że wszystkich Afrykandrów przejmują jaknajprzyjaźniejsze dla Anglii uczucia.

Liga wygotowała drugą petycyę, opatrzoną teraz 21,684 podpisami poddanych angielskich, podpisami, zebranemi przy pomocy podstępów i oszustw, jak to wykazały zeznania, czynione pod przysięgą przed sądami republikańskiemi; każdy podpisujący umieszczał wszystkie imiona i nazwiska, jakie mu na myśl przyszły, nawet osób nieobecnych lub oddawna nieżyjących. W tym fakcie niema nic nieprawdopodobnego, tembardziej, że zbierającym podpisy płacono za ich ilość. W kilka dni potem kontr-petycya, przesłana rządowi w Pretoryi, zgromadziła 23,000 podpisów cudzoziemców różnej narodowości, zupełnie znów zadowolonych z istniejącego stanu rzeczy. Ale Chamberlain nie dbał o tę szczerą, autentyczną manifestacyę. Potrzebował broni, która pozwoliłaby mu napaść na Rzeczpospolitę; tą bronią były pseudo-petycye, wysłane natychmiast przez Greena.

Jednocześnie lord Milner przesłał gabinetowi londyńskiemu depeszę, która przyniosłaby zaszczyt najbardziej pomysłowemu reporterowi. Depesza donosiła treściwie, że przyszedł czas, aby Anglia dała nareszcie poznać, że nie da się wypędzić z Afryki południowej! Jej prawo interwencyi jest tembardziej usprawiedliwione, że tysiące poddanych angielskich, zamieszkałych w Rzeczypospolitej, skarżą się na ucisk, którego tu doznają. Chamberlain odpowiedział depeszą, datowaną 10-go maja 1899 r., w której donosił o przyjęciu petycyi przez królowę; proponował przytem Milnerowi, aby razem ze mną rozpatrzył tę sprawę z punktu widzenia dyplomatycznego. Ale zanim depesza doszła do miejsca przeznaczenia, prezydent Stein, powodowany szczerą chęcią zakończenia tak przykrej sytuacyi, zwrócił się do Milnera i do mnie z tą samą propozycyą, a my przyjęliśmy ją bez wahania.

Konferencya naznaczona została na dzień 31-y maja 1899 r.

Moimi towarzyszami byli: Schalk Burger, H. D. Wolmarons, członek rady wykonawczej, i prokurator Smuts. Powiedzmy odrazu, że konferencya nie doszła do skutku, gdyż Alfred Milner dowiódł na wstępie, że nie ma najmniejszej chęci dojścia do jakiegoś porozumienia. Takie bowiem sformułował żądania:

1) Otrzymanie prawa głosu po latach pięciu.

2) Zmodyfikowanie prawa, dotyczącego naturalizacyi.

3) Zwiększenie liczby nowych Burgerów, wybranych do Rady Ludowej.

Po dłuższym namyśle zaproponowałem następujące zmiany w trzech powyższych punktach:

1) Naturalizacya po dwóch latach. Prawo gło-

sowania zupełnego po latach pięciu (a więc ogółem biorąc, po latach siedmiu, a nie czternastu).

2) Zwiększenie liczby cudzoziemców, wybranych do Rady Ludowej.

3) Prawa o naturalizacyi, analogiczne z temi, które przyjęto w Wolnym Stanie Oranie.

Prezydent żądał wszakże zaznaczenia, że prawo głosowania ma związek z pewnym, określonym cenzusem majątkowym, a naturalizacya wymaga świadectwa, że petent używał w swoim kraju wszystkich praw cywilnych i politycznych. Oprócz tego żądał, aby wzamian za ustępstwa, przez rząd boerski zrobione, rząd angielski zgodził się na rezolucyę następującą: utworzenie specyalnej władzy dla rozstrzygania wszelkich sporów, któreby między Anglią a Transwaalem wyniknąć mogły. Ale Milner odpowiedział poprostu, że ustępstwa są niewystarczające.

Podczas tych wstępnych omawiań sprawy zwróciłem uwagę gubernatora na wielką ilość fałszywych podpisów na wiadomej petycyi. Milner odpowiedział: „Dobrze, trzeba tę rzecz rozpatrzyć". I natychmiast zapytał mnie, czy mogę ręczyć za autentyczność podpisów, położonych na kontr-petycyi? Aby dowieść dobrej wiary rządu, powiedziałem, że natychmiast ustanowię komisyę ankietową dla szczegółowego zbadania dwóch petycyj; oświadczyłem nawet, że gotów jestem upoważnić Anglię do dodania kilku ze swego wyboru członków do tej komisyi. Pragnę tylko, aby komisya nie została utworzona *przez* Anglię, aby nie nadawano jej charakteru urzędowego, bo to nadawałoby Rzeczypospolitej fałszywy pozór podległości państwu, którego jedynie protektorat uznaje. Koniec końców Milner oświadczył (czego można się było spodziewać), że najlepiej zostawić rzeczy tak, jak są. Nie zgodził się zresztą na zmianę choćby najmniejszą swoich żądań, gdyż były to, według niego, „do ostatnich granic sprowadzone *minimum*", dodał także, że ani wspomni o innych kwestyach spornych—„a było ich wiele", dopóki prawa głosowania nie zmienimy według powyżej wyrażonego żądania.

Tegoż wieczoru zaproponowałem Milnerowi, aby dalszy ciąg rozpraw odłożyć do ranka dnia następnego, na co odpowiedział, że byłoby to rzeczą zbyteczną i że konferencyę już skończyliśmy. Po moim powrocie do Pretoryi. sekretarz stanu napisał do pełnomocnika angielskiego list w sprawie projektu władzy arbitralnej, do czego sam Milner zdawał się skłaniać. List sekretarza stanu, z datą 9 czerwca, obejmował propozycye następujące:

I. Każde przyszłe nieporozumienie, między dwoma rządami, wynikające z różnego rozumienia komisyi londyńskiej, będzie, zgodnie z art. 3-im, poddane sądowi rozjemczemu, z wyjątkiem zatargów mniejszej wagi.

II. Sąd składać będą: arbiter, wybrany przez rząd republikański, arbiter, wybrany przez rząd Jej Królewskiej Mości, z pośród sędziów najwyższych Rzeczypospolitej, Ziemi Przylądkowej lub Natalu. Ci dwaj arbitrowie wybiorą trzecią osobę na prezesa sądu, która nie może być poddaną żadnego z dwóch państw. Jeżeli arbitrowie co do wyboru prezesa porozumieć się nie mogą, wybiorą go dwa rządy.

III. Poddanie kwestyi spornej rządowi rozjemczemu będzie zależne od zgody wzajemnej dwóch rządów, aby każdy z nich miał prawo wyłączenia pewnych punktów, według niego zanadto ważnych, z pod kompetencyi sądu, przyczem zasada arbitralności pozostaje nienaruszona.

IV. Sąd rozjemczy sam naznaczy miejsce swoich posiedzeń i działać ma według swej woli w sprawie zasądzenia kosztów danej stronie, chyba, że stro-

ny już się same poprzednio pod tym względem porozumiały.

V. Procedura sądu może się wzorować na procedurze określonej w Hadze w r. 1895 przez Instytut prawa międzynarodowego, o ile nie stawałoby to w sprzeczności z artykułami poprzedniemi, lub, o ile strony nie dałyby decyzyi przeciwnej.

VI. Aby nadać wagę decyzyom takiego sądu, jego wyroki będą prawomocne przez lat pięć.

W końcu listu wyrażona była nadzieja, że te propozycye przychylne przyjmie rząd Jej Królewskiej Mości i pzez to usunie zamieszki i nieporozumienia, trapiące od tak dawna Afrykę Południową. Trzeba też zauważyć, że projekt powyższy uwzględnił niechęć, stale przez rząd angielski okazywaną do sądu rozjemczego, złożonego z cudzoziemców, którymby też nigdy pewnych punktów do rozsądzenia nie przedstawił.

Ja zaś z własnej inicyatywy poddałem Radzie Ludowej zarys praw następujących:

I. Otrzymanie prawa głosu po siedmiu latach pobytu w kraju.

II. Ci, którzy już lat dziewięć mieszkają w Transwaalu, mogą natychmiast powyższego prawa używać. Tym, którzy już mieszkają lat dwa, skrócić o dwa lata czas potrzebny do otrzymania prawa głosu.

III. Synowie cudzoziemców, urodzeni w Rzeczyposposplitej, będą wyborcami od chwili dojścia do pełnoletności.

IV. Liczbę przedstawicieli z Witwatersrandu powiększyć o czterech do każdej Rady.

To prawo zostało przyjęte dnia 19 lipca. Ale jednocześnie ministeryum wojny w Londynie ułożyło już plany przyszłej wojny z Transwaalem. Lord

Wolseley podał nawet rządowi plany kampanii, umożliwiającej zagarnięcie dwóch Rzeczypospolitych. (W owym czasie nie wiedziano jeszcze o tych wszystkich przygotowaniach).

Dnia 26 lipca nadeszła odpowiedź pełnomocnika angielskiego w sprawie arbitralnej. Sir Alfred Milner nie mógł popierać go w gabinecie londyńskim, gdyż uważał, że przedewszystkiem należy spełnić żądanie cudzoziemców, a zresztą projektu sekretarza stanu, Reitza, rząd nie przyjmie już choćby z tego powodu, że superarbitrem ma być osoba innej niż arbitrowie narodowości.

Na początku lipca przybyli w jednym czasie do Pretoryi i do Bloemfonteinu dwaj przywódzcy Afrykandrów z Ziemi Przylądkowej: Hofmeyer i Herholdt. Ich odwiedziny miały na celu nakłonienie rządu do większego jeszcze uproszczenia prawa głosowania, licząc osiem lat wstecz, nie zaś dziewięć, dla jego otrzymania potrzebnych; wogóle siedem lat pobytu w Transwaalu wystarczać miało, by zdobyć prawa wyborcze. Rząd i Rada Ludowa, pragnąc nowemi ustępstwami pokój utrzymać, przyjęły namowy posłów z całą przychylnością.

Dnia 18 lipca ministeryum Ziemi Przylądkowej, uwiadomione zapewne o pomyślnym wyniku misyi pp. Hofmeyera i Hirholdta, ogłosiło notę, że zdaniem ministeryum, mieszanie się Anglii w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej jest zupełnie zbyteczne. Ale jednocześnie *„Rada Cudzoziemska”* telegrafowała do Londynu 20 lipca, że z nowego prawa głosowania (z 19) nie jest zadowoloną.

Dnia 27 lipca Chamberlain wysłał depeszę, w której streszczał zdarzenia, zaszłe od czasu Konferencyi i oznajmiał, iż Rzeczpospolita na każdym kroku gwałciła ducha i tekst konwencyi londyńskiej z r.

1884. Twierdził też ponownie, że prawo zwierzchności (z 1881) ma dotąd moc obowiązującą. Nie zgadzał się wreszcie na sąd rozjemczy, przyznając wszakże, iż niektóre punkty mogą być poddane specyalnej władzy sądowej.

Dnia 1 sierpnia nowa depesza Chamberlaina, przesłana wysokiemu komisarzowi, oznajmiała, że Anglia i Rzeczpospolita powinny wybrać komisyę mieszaną dla rewizyi prawa głosowania; obowiązkiem komisyi byłoby zaprowadzenie możliwych zmian w razie, gdyby to prawo nie zadowoliło cudzoziemców.

Ta depesza była właśnie pogwałceniem konwencyi londyńskiej z 1884, ponieważ dopuszczała wmieszanie się czynne Anglii do spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej. Sekretarz stanu w swej odpowiedzi podniósł tę nieformalność, wyrażając przytem nadzieję, że lord Chamberlain zechce w przyszłości stać na gruncie legalnym. Uważał zresztą, że cel, do którego dążył Chamberlain, można było równie łatwo osiągnąć przez szereg kwestyonaryuszów i ankiet w kwestyi nowego prawa i zakończył uwagą, że nie można przesądzać skutków prawa, które jeszcze nie weszło w życie, a tem mniej żądać jego rewizyi.

Dnia 15 sierpnia prokurator ogólny, Smuts, w rozmowie z pełnomocnikiem angielskim zapytał, czy rząd Jej Królewskiej Mości zadowoliłby się terminem lat siedmiu (liczonych wstecz), oraz powiększeniem przedstawicieli cudzoziemców, i czy w takim razie zgodziłby się na utworzenie odpowiedniej komisyi. Pan Green odparł, że nie wie, czy Jej Królewska Mość zrzeknie się swych pretensyj, ale według niego położenie jest krytyczne, bo rząd porobił obietnice cudzoziemcom i chce ich dotrzymać, choćby miał użyć siły. Dodał przytem, że kwestya może być rozwiązana jedynie wtedy, jeżeli Rzeczpospolita zgodzi się na desiderata, postawione przez Milnera w Bloemfonteinie.

Dnia 19 sierpnia sekretarz stanu napisał do pełnomocnika angielskiego list, w którym proponował rządowi brytańskiemu punkty następujące:

I. Rząd Rzeczypospolitej Południowej Afryki gotów jest podać Radzie Ludowej i całemu ludowi dekret (ze skutkiem wstecz obowiązującym), redukujący do lat pięciu czas potrzebny do otrzymania prawa głosowania, zgodnie z wymaganiami, postawionemi w Bloemfonteinie przez wysokiego komisarza.

II. Ludność Witwatersrandu otrzyma ośmiu nowych przedstawicieli w pierwszej Radzie Ludowej, a w miarę potrzeby i w drugiej, wskutek czego liczba reprezentantów wzrosłaby do trzydziestu dwóch.

III. Nowi Burgerowie, na równi z dawnymi, obierać będą prezydenta i głównodowodzącego wojskami Transwaalu.

IV. Rząd Rzeczypospolitej gotów jest wziąć pod uwagę wszelkie rady życzliwe rządu Jej Królewskiej Mości, dotyczące kwestyi, o której mowa.

V. Rząd Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej wyraża poniżej swoje poglądy osobiste:

a) Rząd Jej Królewskiej Mości nie będzie uważał tych ustępstw za precedens na przyszłość, aby mieszać się do spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej.

b) Rząd Jej Królewskiej Mości zrezygnuje z pretensyi do zwierzchnictwa i usunie tę ważną przyczynę zatargów.

c) Sąd rozjemczy (bez udziału jakichkolwiek pierwiastków cudzoziemskich, z wyjątkiem Stanu Oranje) zostanie utworzony, jak tylko wejdzie w życie prawo głosowania.

VI. Natychmiast po przyjęciu przez rząd Jej Królewskiej Mości tych propozycyi rząd Rzeczypospolitej odroczy posiedzenie Rady Ludowej, aby ogłosić referendum, że cały projekt w przeciągu kilku tygodni może być przyjęty i ratyfikowany.

VII. Przed terminem powyższym będzie można określić atrybucye i sposób działania sądu rozjemczego, aby uniknąć wszelkiej straty czasu i jak najszybciej położyć tamę obecnemu stanowi rzeczy.

W końcu sekretarz stanu wyrażał mniemanie, że Jej Królewska Mość trzeźwem okiem obejmowała położenie, oraz że rząd republikański uważał prawo nowo obmyślone za dostatecznie korzystne dla imigrantów; że nowe ustępstwa czyni jedynie ze szczerego pragnienia położenia końca nieporozumieniom, istniejącym między dwoma państwami, oszczędzenia krajowi następstw wojny rasowej, z której może Afryka południowa nie podniosłaby się nigdy. Rzeczpospolita pragnie też gorąco, aby przychylna lub odmowna odpowiedź jak najprędzej nadeszła.

Dnia 21-go sierpnia sekretarz stanu wysłał drugi list do pełnomocnika angielskiego z potwierdzeniem listu z dnia 19-go sierpnia, robiąc nacisk na ten punkt mianowicie, że propozycye odnośne do prawa głosowania i przedstawicielstwa zostały podporządkowane przyjęciu przez Jej Królewską Mość warunków, wymienionych w paragrafie V listu poprzedniego.

Te propozycye były zresztą zredagowane z powodu nowego spotkania się prokuratora z panem Greenem, z czego pierwszy wyniósł tę pewność, że będą one przyjęte i poddane komisyi dawniejszej.

Dnia 25-go sierpnia „Rada cudzoziemska" i Liga południowo-afrykańska oznajmiły, że modyfikacye

prawa głosowania były niedostateczne i że żądają nowych reform, mianowicie rozbrojenia burgerów i zburzenia fortów.

Dnia 26-go sierpnia Chamberlain podczas zabawy, urządzonej w willi Highburg wyrzekł te słowa: „Z pana Krügera wyciskać można reformy, jak wodę z gąbki, tylko albo do ustępstw swoich dodaje niemożliwe do przyjęcia warunki, albo też zabrania nam utworzyć ankietę, któraby zbadała praktyczność jego reform. Tymczasem zegar dziejów wybija swoje godziny i pora już rozciąć ten węzeł, albo będziemy musieli użyć innych środków."

Potem, dnia 30-go sierpnia, wysłał nową depeszę, w której donosił, że zbyt ciężkie warunki nie powinny utrudniać w praktyce prawa głosowania, że rząd brytański nie mógł pojąć, dlaczego rząd republikański nie zgadzał się na projekt ankiety wspólnie podjętej.

Rząd angielski chętnie zamianuje komisyę jednostronną, któraby zbadała nowe prawa i podała swoje wnioski, a następnie przedstawiła je rządowi republikańskiemu, żywił też nadzieję, że niektóre warunki, jak podporządkowanie prawa burgerstwa obowiązkowi wstąpienia do wojska w czasie właściwym, oraz ściąganie opinii o życiu prywatnem imigranta same przez się upadną.

Co się tyczy innych kwestyi, na przykład ewentualnej interwencyi Anglii, rząd Jej Królewskiej Mości miał nadzieję, że dotrzymanie obietnic uczynionych i sprawiedliwsze postępowanie z cudzoziemcami uwolni go od trudu wglądania w politykę wewnętrzną Boerów, chociaż z praw nadanych mu przez Konwencyę rząd zrezygnować nie może. (Nb. Konwencya z 1881 r., jak wiadomo, była zniesiona). Co do zwierzchnictwa, Chamberlain powoływał się na je-

dnę z depesz poprzednio wysłanych, w której istnienie zwierzchnictwa potwierdzał.

Zresztą gotów był omawiać sprawy, dotyczące konstytucyi i sfery działalności sądu rozjemczego, z którego byliby wykluczeni cudzoziemcy i wszelkie wpływy cudzoziemskie.

Żądał wreszcie, aby nowa konferencya prezydenta z wysokim komisarzem odbyła się w Kapsztadzie i kończył, przypominając rządowi republikańskiemu, że istnieją inne jeszcze kwestye sporne, których nie rozwiąże nadanie praw politycznych cudzoziemcom; nie rozwiążę ich też żaden sąd rozjemczy. Chamberlain utrzymywał później, że ta depesza równała się przyjęciu warunków, postawionych przez rząd republikański, ale zapewne on jeden był tego zdania.

Dnia 31-go sierpnia Milner telegrafował do Chamberlaina: „Zdaje się, że my wszyscy tutaj pragniemy szybkiego i energicznego działania. Afryka południowa gotowa jest uciec się do środków ostatecznych. Jeżeli obecny stan rzeczy długo trwać będzie, powstanie silna reakcya przeciw polityce Jej Królewskiej Mości."

W odpowiedzi na depeszę Chamberlaina z dnia 30-go sierpnia sekretarz Stanu pisał dnia 2-go września do pełnomocnika angielskiego, iż rząd republikański z prawdziwym żalem odebrał wiadomość o odrzuceniu propozycyi, zawartych w notach z dnia 18 i 19-go sierpnia, kiedy rozmowy półurzędowe dały mu nadzieję ich przyjęcia.

To też rząd republikański propozycye swoje cofał, a inne gotów był podać Radzie Ludowej, o ile mu dowiodą, że w ten sposób kwestye prawne nabiorę dostatecznej jasności. Co do komisyi jednostronnej, o której wspomniał gabinet londyński, rząd

małą przyznawał jej wartość, a przynajmniej wydawała mu się przedwczesną, skoro wyprzedzała używalność samego prawa. Przechodząc do uwag pana Chamberlaina, tyczących warunków podanych w nocie z dnia 19-go sierpnia, sekretarz Stanu donosił:

a) Co się tyczy *interwencyi*, rząd republikański nigdy nie myślał nawet proponować rządowi Jej Królewskiej Mości odrzucenia prawa opieki nad poddanymi angielskiemi, które nadawała mu Konwencya londyńska z roku 1884, a także prawo międzynarodowe.

b) Rzekome zachowanie zwierzchnictwa miało już zaprzeczenie wyraźne w depeszy z dnia 16-go kwietnia roku 1898: rząd opiera się więc na niej i uważa za rzecz niepotrzebną rozwijanie tej kwestyi. Rząd republikański widzi z radością, że Gabinet Londyński przychyla się do utworzenia sądu rozjemczego; pragnie wszakże objaśnień co do punktów następujących:

1) Czy burgerowie Wolnego Stanu Oranje mogą być członkami sądu?

2) Jakiego rodzaju sprawy mają być poddawane decyzyi sądu?

3) Jakie sprawy kompetencyę jegoby przechodziły?

Rząd bowiem Jej Królewskiej Mości wspominał o tych punktach, ale ich bliżej nie określał, a to uogólnienie mogło zniszczyć w zarodku najlepsze chęci Rzeczypospolitej zakończenia zgodnie wszystkich kwestyj spornych. Co do pojmowania przyszłej konferencyi, rząd oczekiwał na bliższe dane Gabinetu. Propozycye rządu republikańskiego były, jego zdaniem, bardzo liberalne i dawały więcej, niż tego żądał sir Milner w Bloemfonteinie; zresztą warunki, od

których były zależne, nie sprzeciwiały się wcale prawom, przyznanym rządowi angielskiemu przez Konwencyę londyńską z roku 1884. To też rząd Rzeczypospolitej przykro jest zdziwiony odmową i ma nadzieję, że wkrótce nastąpi zadowalniające dla stron obu rozstrzygnięcie kwestyj spornych; zgadza się też na utworzenie komisyi mieszanej, proponowanej poprzednio przez ministra Chamberlaina.

Dnia 12-go września Green, opowiadając w imieniu rządu na notę powyższą, oświadczał, iż Gabinet nie może wracać do poprzednio uczynionych propozycyj, tyczących się komisyi mieszanej; że zresztą gotów był przystać na propozycye, uczynione przez rząd republikański, ale bez podanych warunków, jeżeli otrzyma dowód od komisyi mieszanej, albo też jednostronnej, że nowy szemat prawny nie zawierał w sobie pierwiastków do przyjęcia niemożliwych. Rząd angielski wymagał też, aby nowi członkowie Rady Ludowej mogli przemawiać w języku ojczystym. W końcu kładł nacisk na konieczność odpowiedzi kategorycznej i dawał do zrozumienia, że w razie, gdyby ta nie była decydująca i widokom Anglii powolna, rząd Jej Królewskiej Mości przyznawał sobie prawo rozpoczęcia *ab ovo* całej dyskusyi i inicyowania środków niezbędnych do jej zakończenia.

Sekretarz Stanu odpowiedział dnia 15-go września, iż rząd republikański z żalem patrzy na taktykę Gabinetu Londyńskiego, który odrzuca najgorętsze chęci rządu republikańskiego utrzymania zgody.

Propozycye (z dnia 19 i 21-go) zrobione były z dobrą wiarą i w przekonaniu, że przyjęte być mogą, w przekonaniu nabranem po poprzednich zapewnieniach prokuratora Smutsa.

Rząd republikański przesłał propozycye w nadziei zażegnania niebezpieczeństwa, grożącego niepodległości Transwaalu wskutek pretensyi Anglii do zwierzchnictwa; wiedział jednak dobrze, że jego własne ustępstwa tej niepodległości również zagrażają; ale to drugie niebezpieczeństwo wydało mu się mniej strasznem od ciągłego mieszania się Anglii w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej. Nie mógł więc cofnąć warunków, chociaż dla Rzeczypospolitej ciężkich, ale mogących wszakże zapobiedz gorszym jeszcze następstwom obecnego stanu rzeczy. Co się tyczy mowy, której używać mieli nowi członkowie Rady Ludowej, rząd nie mógł jeszcze zastanawiać się nad tą kwestyą i żadnych pod tym względem obietnic nie czynił. W końcu sekretarz Stanu wyrażał nadzieję, iż rząd Rzeczypospolitej zdecyduje się w końcu poddać każdą kwestyę sporną komisyi mieszanej, którą sam proponował.

Dnia 25-go września nadeszła nowa odpowiedź pełnomocnika angielskiego, notyfikująca, iż rząd brytański kilkakrotnie już wzmiankował, że nie miał nigdy zamiaru krzywdzenia Rrzeczypospolitej południowo-afrykańskiej (co nie przeszkadzało mu krzywdzić jej na każdym kroku!), ani też przyznawać sobie innych praw do interwencyi nad te, które *konwencye* mu zapewniały. (Była tylko jedna Konwencya!). Według dalszego brzmienia listu daremną było rzeczą prowadzić dalej rokowania na ich podstawach pierwotnych, gdyż Gabinet musi obecnie zmienić postawę i obmyśleć *środki osobiście*, aby rozwiązać trudności przez Rzeczpospolitę wytworzone. Te środki podane będą w depeszy następnej.

Tymczasem rządowi republikańskiemu grożono otwarcie w mowie, którą dnia 20-go września 1899 roku wypowiedział Hays Fischer, członek parlamentu angielskiego:

„Czasy układów już minęły; rząd powinien te-

raz wysłać do Afryki siły dostateczne, aby nas upewnić, że ultimatum, postawione Boerom, przywiedzie ich do porządku, abyśmy nie byli zmuszeni do użycia środków ostatecznych, choćby zabrania im kraju, do którego tak są przywiązani!"

Dnia 17-go września sekretarz Stanu, Reitz, przesłał wysokiemu komisarzowi zapytanie, co znaczy koncentracya wojsk angielskich na granicach Rzeczypospolitej? Wysoki komisarz odpowiedział, że przeznaczeniem tych wojsk jest ewentualnie strzeżenie interesów angielskich.

Dnia 22-go września Anglia uruchomiła korpus wojska w celu wysłania go do Afryki południowej, a dnia 27-go większa część zmobilizowanych oddziałów opuszczała ojczyznę. Rząd republikański powołał wtedy do broni większość burgerów, aby zająć pozycye graniczne i módz odpowiedzieć na możliwą napaść Anglików; dnia 20-go września sekretarz Stanu zapytał pełnomocnika angielskiego, czy jego rząd powziął już decyzyę (odnośną do *środków osobistych*, o których była mowa w depeszy z dnia 25-go września).

Chamberlain sam odpowiedział dnia 2-go października, że przygotowuje depeszę objaśniającą, ale jej zredagowanie jeszcze trochę czasu zabierze. Minister chciał widocznie uzyskać zwłokę, aby módz zgromadzić w Afryce dostateczną ilość wojska przed wysłaniem depeszy, która właśnie była *ultimatum*.

Zanim rzeczy tak daleko zaszły, prezydent Stein z Wolnego Stanu Oranje niebo i ziemię poruszał, aby widmo wojny usunąć.

Dnia 19-go września wysoki komisarz zatelegrafował do prezydenta Steina, że kilka oddziałów wojska wysyła na północ, aby zabezpieczyć linie komunikacyjne między północnemi posiadłościami Anglii

a Ziemią Przylądkową, że część tego wojska stanie w pobliżu granic Oranje. Dodał też, iż rząd Jej Królewskiej Mości żywi nadzieję, że cała sprawa da się załatwić polubownie; gdyby jednak ta nadzieja zawiodła, rząd rachuje na ściśle przestrzeganą neutralność Wolnego Stanu.

Prezydent Stein tego samego dnia odpowiedział, że nie pojmuje, w jakiej mierze trudności położenia usprawiedliwić mogą użycie siły.

Ze względu na naprężone stosunki w Afryce południowej, prezydent ubolewa nad poruszeniem sił wojskowych i skupieniem ich u granic Wolnego Stanu, gdyż jest rzeczą pewną, że burgerzy dojrzą w tem groźbę dla swego spokoju. Gdyby więc ten stan rzeczy miał pociągnąć za sobą smutne następstwa, Oranje nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności. Prezydent kończył odpowiedź wyrażeniem żalu, że dobre dotąd stosunki z Anglią zmienić się mają na gorsze.

Dnia 27-go września Rada Ludowa Oranje uchwaliła rezolucyę, że do wojny, gdyby wybuchnęła, nie widzi powodu, że byłaby to wojna, wydana całej Afryce południowej; w każdym razie Wolny Stan Oranje pozostanie wiernym obowiązkom, które przymierze z Rzecząpospolitą południowo-afrykańską na nie nakłada. Jednocześnie Rada Ludowa zaklinała rząd, aby wszelkiemi sposobami starał się wojnę zażegnać. Tego dnia (27-go września) prezydent Stein wysłał do wysokiego komisarza depeszę, w której odwoływał się do związków krwi, węzłów przyjaźni, które łączyły Wolny Stan, tak z kolonią Ziemi Przylądkowej, jak i z Transwaalem; chociaż na pierwszym planie stać musi łącznik bratający dwie Rzeczypospolite.

Dodał wreszcie, że właśnie te przyjazne uczu-

cia, które żywił dla Wielkiej Brytanii i dla Transwaalu, skłoniły go do zaproponowania konferencyi w Bloemfonteinie; że dzięki właśnie wpływom przyjaciół Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, porobiła ona znamienne reformy i to w tak małym przeciągu czasu; że Wolny Stan silnie ufał, iż Anglia podawać będzie rady i wskazówki przyjacielskie, ale nie zechce nigdy mącić biegu spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej.

Otóż to mącenie wystąpiło najsilniej w chwili w której Transwaal za namową Wolnego Stanu usiłował uwzględnić żądania Uitlanderów. Jednakże ta zmiana polityki ze strony Anglii nie przeszkodziła Wolnemu Stanowi doradzać Rzeczypospolitej, aby rozważyła przychylnie propozycye Gabinetu Londyńskiego w nadziei, że nanowo podjęte rokowania doprowadzą do upragnionej zgody. To też rząd Oranje z wielkiem zdziwieniem przyjął wiadomość, że Gabinet Londyński cofa propozycye, które mogły położyć koniec tak smutnemu antagonizmowi. Jednem słowem, rząd Oranje gotów był zawsze służyć pomocą do pokojowego rozwiązania sprawy, ale jego dobre chęci tamowały przyczyny następujące:

a) Nieznajomość celu ostatecznego i właściwej doniosłości pretensyi rządu angielskiego.

b) Skonstatowanie faktu, że pomimo stałych zapewnień Anglii, iż nie ma bynajmniej zamiaru wdawać się w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej, jej polityka zdawała się mieć cele wręcz przeciwne. Dowodzi tego powiększenie oddziałów kolonialnych i gromadzenie sił wojskowych, które innego celu mieć nie mogą, jak tylko politykę gwałtu.

To też prezydenta uradowałaby niezmiernie wiadomość o wstrzymaniu ruchu wojsk na granicach dwóch państw, dopóki nie nadejdzie zapowiedziana

depesza, oraz poinformowanie go o środkach, któremi Wielka Brytania ma zamiar pokojowo tę sprawę zakończyć.

Dnia 2-go października prezydent Stein zawiadamiał naczelnego komisarza, że z powodu niedostatecznie obsadzonych granic i wzburzenia, wywołanego skupieniem przy tychże granicach wojsk obcych, musiał zmobilizować oddziały burgerów, żądających energicznie, aby kraj nie został bezbronnym. Dodawał też, że dotąd daremnie oczekiwał odpowiedzi na depeszę, wysłaną w dniu 27-go września. Wysoki komisarz doniósł nazajutrz, że z przykrością dowiedział się o mobilizacyi, bo prezydent wiedział niewątpliwie, iż znaczne komendy Boerów zgromadziły się koło granic Natalu.

Prezydent tegoż dnia odpowiedział, iż obawy rzekome mieszkańców nie upoważniały wcale rządu angielskiego do gromadzenia wojsk przy granicy Wolnego Stanu. Ten fakt pociągnął tylko za sobą osłabienie wysiłków, czynionych dla utrzymania pokoju; skomplikowanie położenia należało z drugiej strony przypisywać wrogom i rozgoryczonym głosom nietylko odpowiedzialnych za nie mężów stanu, ale i całej prasy angielskiej, popartym obecnie przygotowaniami wojennemi Anglii.

Był więc najsilniej przekonany, że odpowiedzialność w razie ostatecznego zerwania spaść musi na tych, którzy wprowadzili na widownię pierwiastek wojskowy, na tych, którzy uprawiali politykę gróźb i interwencyi.

W końcu musiał przyznać, że ze względu na postępowanie Anglii, w zachowaniu się rządu transwaalskiego nic nagannego nie widzi, zważywszy szczególniej, iż dotąd nie otrzymał na swoją depeszę odpowiedzi, która zapewne wstrzymałaby mobilizacyę

burgerów w dwóch Rzeczachpospolitych. Tymczasem zbrojenie się Anglii jest teraz w pełnym rozwoju. Prezydent nie mógł sprawdzić, czy siły angielskie, skupione przy granicy Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, odpowiadały siłom Rzeczypospolitej, ale nie może zapomnieć o kilkakrotnie głoszonych w prasie angielskiej zapewnieniach, że siła zbrojna Anglii, znajdująca się obecnie w Afryce, dostatecznie równoważy siłę niekarnych komend boerskich.

Tymczasem Wielka Brytania nie ustawała w swej pracy, uprawniając w ten sposób zdanie Boerów, że grozi im jakiś akt gwałtu. Stein chciał powtórnie wystąpić w roli pośrednika, ale naczelny komisarz odpowiedział mu dnia 4-go października, że nie widzi powodu protestowania przeciw wywodom prezydenta, bo wojska angielskie zajęły pozycye obronne zdala od granic Natalu, około których znów skupili się Boerowie.

Nie wątpił wszakże o utrzymaniu pokoju i był przekonany, że każda lojalna propozycya, zkądkolwiekby wyszła, będzie przez rząd Jej Królewskiej Mości łaskawie przyjętą.

Dnia 5-go października prezydent napisał, że gotów był podać nową propozycyę, ale uważał za rzecz jedynie sprawiedliwą, aby przedtem cofnęły się wojska angielskie i aby wstrzymano wylądowanie tych oddziałów, które wkrótce nadpłynąć miały. Prezydent pragnął jak najrychlej otrzymać wiadomość, czy taki pogląd zgadza się z poglądem Jego Ekscelencyi; ręczył też, że otrzyma od rządu republikańskiego zapewnienie, iż żadnego najścia na terytoryum Jej Królewskiej Mości nie będzie Popierać też zamierza każdą lojalną propozycyę, któraby mogłaby doprowadzić do zgody trwałej.

Naczelny komisarz dnia 6-go października od-

powiedział, ubolewając, że prezydent jako warunek dalszych rokowań stawia gwarancyę, która utrudnia rządowi angielskiemu rozmieszczenie wojska na własnem terytoryum. Rząd Jej Królewskiej Mości takiej gwarancyi dać nie mógł. Jeżeli jednak prezydent zaręczy, że żadne kroki nieprzyjacielskie podczas rokowań rozpoczęte nie będą, gotów był rząd swój nakłonić, aby tę samą zachował postawę.

Na to Stein tego samego dnia odpisał, że nie mógł żądać od Rzeczypospolitej, aby dalej toczyła układy, wobec wciąż napływającej siły zbrojnej, w celu niezaprzeczalnym zmuszenia siłą Boerów do przyjęcia takich warunków, które rządowi Wielkiej Brytanii postawić się będzie podobało.

Prezydent zaznaczał także, że są jeszcze inne sposoby bronienia terytoryum angielskiego przeciw wszelkim napaściom sąsiadów, że sam chętnie pośredniczyć będzie i że Rzeczpospolita południowo-afrykańska miała słuszne powody widzieć wrogie zamiary w gromadzeniu sił zbrojnych około swych granic przed zakończeniem rokowań.

Dnia 7-go października otrzymał wreszcie prezydent Stein odpowiedź na swoją depeszę z d. 27-go września treści następującej:

Rząd angielski nieraz już wykładał swoje zapatrywania odnośnie do sporów z Rzeczapospolitą, a więc nie mógł przypuszczać, aby jego postępowanie jakiekolwiek nieporozumienie wywołać mogło. Jednakże co do wyjaśnień, wymaganych przez prezydenta Wolnego Stanu w sprawie mobilizacyi i przygotowań wojennych, rząd odpowiedzieć może, iż te przygotowania są umotywowane nagłem przeobrażeniem Rzeczypospolitej w obóz zbrojny. Pomimo odrzucenia propozycyi przez Rzeczpospolitą południowo-afrykańską, rząd angielski gotów był zbadać kwestyę nano-

wo, nie tracąc wszakże z oczu tego ważnego względu, że obydwie Rzeczypospolite były zupełnie do boju przygotowane.

Tegoż dnia (7-go października 1899 r.) ukazała się w Anglii odezwa Rady królewskiej, zwołująca parlament, powołująca rezerwę do broni i uruchomiająca nowy oddział.

Dnia 9-go października prezydent Stein wysłał jeszcze jedną depeszę do naczelnego komisarza, w której zaprzeczał, aby mobilizacyę wojsk angielskich wywołało zachowanie się Boerów i raz jeszcze proponował wzajemne i jednoczesne cofnięcie wojsk i zawieszenie przygotowań wojennych.

Oto jest wierny i szczegółowy opis rokowań, które wojnę poprzedziły.

Ktokolwiek bezstronnie na rzeczy patrzy, musi przyznać, iż rząd angielski, a szczególniej wysoki komisarz i Chamberlain, opierali się wszelkiemi siłami pokojowemu rozwiązaniu sporów.

Rzeczpospolita południowo-afrykańska wkrótce spostrzegła, iż rząd angielski pragnął dojść do konfliktu niezażegnanego, że zwlekał z przesłaniem ultimatum jedynie w celu zyskania na czasie, aby módz zgromadzić siły dostateczne do zgniecenia Transwaalu.

To też rząd republikański widząc, iż wojna jest nieunikniona i że wszystkie ustępstwa do niczego doprowadzić nie mogą, postanowił wystąpić energicznie i dnia 9-go października wysłał do naczelnego komisarza notę, którą nazwano naszem *ultimatum*. W tej nocie zaznaczono raz jeszcze, że Anglia nie ma prawa mieszać się w sprawy wewnętrzne Boerów; iż rząd republikański, jedynie duchem zgody powodowany, chciał wejść w rokowania z rządem angielskim w kwestyi prawa głosowania, kwestyi podpadającej

pod kompetencyę jedynie Rady Ludowej; iż rząd angielski, zamiast przyjacielskiego wywzajemnienia się, obdarzył Boerów groźbami; że od chwili zerwania rokowań Rzeczpospolita oczekiwała ciągle propozycyj, o których wspominał gabinet londyński; że siły zbrojne, stojące u granic Rzeczypospolitej, zmusiły ją do mobilizacyi burgerów dla obrony terytoryum; że interwencya Anglików w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej była zgwałceniem konwencyi londyńskiej z r. 1884-go, a gromadzenie wojsk około granic wytwarzało położenie nie do zniesienia; że wreszcie Rzeczpospolita uważała za swój obowiązek położyć koniec tej sytuacyi tak we własnym interesie, jak i w interesie całej Afryki południowej, a więc usilnie prosi rząd Jej Królewskiej Mości, aby zgodził się na punkty następujące:

a) Wszystkie sprawy sporne rozstrzygnie pokojowo sąd rozjemczy, albo też inne drogi polubowne zgodę dwóch państw zapewnią.

b) Wszystkie oddziały angielskie, stojące koło granic Rzeczypospolitej, będą odwołane.

c) Sprowadzanie posiłków wojskowych (od d. 1-go czerwca 1899) będzie wstrzymane w przeciągu czasu określonym przez dwa rządy i pod gwarancyą daną przez Rzeczpospolitą południowo-afrykańską, że żadne najście, ani kroki nieprzyjacielskie nie grożą terytoryum Jej Królewskiej Mości, przynajmniej ze strony dwu Rzeczypospolitych. Jeżeli Anglia zgodzi się na te warunki, rząd republikański natychmiast wojska swoje cofnąć gotów.

d) Wojska angielskie, w drodze do Afryki będące, nie wylądują w żadnym jej porcie.

Depeszę kończyła prośba, aby rząd angielski zechciał odpowiedzieć do dnia 11 października przed godziną 5-tą po południu, a gdyby odpowiedź przy-

chylna nie nadeszła do pory oznaczonej, Rzeczpospolita musiałaby uważać takie postępowanie rządu angielskiego jako równoznaczne z wypowiedzeniem wojny; za jej dalsze konsekwencye Rzeczpospolita nie może być odpowiedzialną; uważać też musi jako wypowiedzenie wojny każdy ruch wojsk ku granicom przed czasem na otrzymanie odpowiedzi oznaczonym.

Dnia 11 października pan Green przyniósł odpowiedź rządu angielskiego, że nie może on przyjąć warunków postawionych przez Rzeczpospolitą. Jednocześnie pełnomocnik Wielkiej Brytanii zażądał paszportu; i oto wojna wybuchnęła pomimo wszelkich ustępstw, całej dobrej woli i dobrej wiary, których Rzeczpospolita dała dowody.

Rada Ludowa odroczyła swoje posiedzenia, skoro tylko wojna wybuchnęła, zresztą jej członkowie oświadczyli jednogłośnie, jak i członkowie Rady Stanu Oranje, że gotowi są krew przelać za prawo i wolność i wszyscy powtórzyli tę przysięgę podczas ostatniego posiedzenia.

Wisiały już nad nimi żałobne kiry i klęski wojny nieuniknionej.

ROZDZIAŁ XIII.

Wojna i jej następstwa.

Historya ostatniej wojny i jej rozmaite wypadki nie mogły być objęte „Pamiętnikami Krügera”, osobiście bowiem nie brał w niej udziału. Niemniej ciążył nad nim obowiązek uchylenia jej ciężkich dla kraju i narodu następstw i zapobiegania im wedle możności.

Udzielanie rad i pociech tym wszystkim, którzy dotknięci byli pośrednio lub bezpośrednio, wysyłanie depesz do wszystkich dowódców w celu podtrzymania odwagi burgerów i oficerów, stanowiły codzienne zajęcie prezydenta i zajmowały go od ósmej rano do dwunastej i następnie od drugiej po południu do czwartej lub piątej wieczorem.

O godzinie ósmej wieczorem szedł na odpoczynek, lecz o 11-tej już wstawał, aby przeczytać depesze, które właśnie w tym czasie nadchodziły. O drugiej po północy wstawał po raz drugi, znów dla odczytania depesz i czuwał nieraz do czwartej rano. W ostatnich czasach nawet, gdy sprzymierzone wojska musiały cofać się na wszystkich punktach, spo-

czynek nocny był częściej jeszcze przerywany czytaniem niezliczonych depesz i koniecznością natychmiastowych na nie odpowiedzi.

Po odsieczy, danej Ladysmithowi, udał się do Natalu, aby podnieść ufność i energię burgerów i zachęcić ich do wytrwałej walki z nieprzyjaciółmi ojczyzny.

Po powrocie do Pretoryi Krüger pojechał do Bloemfonteinu, a ztamtąd do Poplar Grove, położonego nad rzeką Mordder; jenerał Devet doradził mu jednak powrót natychmiastowy, gdyż wszystkie drogi zajęła kawalerya jenerała Frencha. Już od Mordderivier-portu ścigała go jazda Frencha i tylko dzięki Delarey'owi, który z całym swym sztabem pośpieszył na jego spotkanie, zdołał uniknąć niebezpieczeństwa. Gdy prezydent udał się w dalszą drogę, bomby sypały się gradem, a jeden granat padł tuż za jego powozem.

Z Pretoryi wyjechał natychmiast do Kronstadtu, by podnieść ducha wśród burgerów i wziąć udział w wielkiej radzie wojennej.

W czasie tej rady nieodżałowanej pamięci jenerał Villebois-Moreuil został mianowany jenerałem legii cudzoziemskiej.

Wkrótce potem nadeszła bolesna dla prezydenta wiadomość o śmierci jenerała Jouberta, długoletniego współpracownika przy urządzaniu Rzeczypospolitej.

Śmierć dzielnego patryoty okryła cały naród żałobą i niewątpliwie sprowadziła upadek ducha wśród burgerów.

Szczęściem Joubert mógł jeszcze przed śmiercią wskazać godnego siebie zastępcę; jenerał Ludwik Botha godnie przez cały czas wojny odpowiadał położonemu w nim zaufaniu swego wodza

Wkrótce po zdobyciu Bloemfonteinu, oba rządy postanowiły wysłać delegacyę do Europy, celem uzyskania interwencyi państw europejskich. Członkami tej delegacyi byli: p. A. Fischer, członek Rady wykonawczej Stanu Wolnego; podczas wojny p. Fischer brał czynny udział w układach, jako delegat obu Rzeczypospolitych; p. C. H. Wessels, prezydent Rady Ludowej Stanu Wolnego, i p. A. D. Wolmarans, członek Rady wykonawczej Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, wszyscy ludzie cieszący się wielkiem zaufaniem rządu i narodu obu Rzeczypospolitych.

Zaznaczyć należy, iż wkrótce po poddaniu się Cronjego oba rządy wysłały depeszę do lorda Salisburego, w której oświadczają, iż gotowi są zawrzeć pokój, jeśli niepodległość kraju, jedyny powód walki, zapewniona będzie.

Lord Salisbury odpowiedział, iż warunku tego przyjąć nie może, Rzeczypospolite bowiem nie powinny wcale marzyć o zachowaniu nawet cienia niepodległości; odpowiedź ta była dana w trzy miesiące po uroczystej mowie szlachetnego lorda, w której zapewniał, iż Anglii w tej wojnie nie chodzi ani o kopalnie złota, ani o powiększenie swego terytoryum.

Jakkolwiek ciężkie były dla prezydenta wszystkie okoliczności dotychczasowe, los gotował mu ciosy jeszcze boleśniejsze.

Gdy po wydobyciu się z Mafekingu wojska angielskie zalały Rzeczpospolitą, ujrzał się nagle zmuszonym opuścić żonę, dom i wszystko, co mu było drogiem, aby szukać schronienia we wschodniej części Rzeczypospolitej, gdzie prowadzono walkę. Jak ciężką mu była ta konieczność, zrozumieć łatwo. Choroba i starość żony zmuszały go do rozstania się z nią, lekarze bowiem oświadczyli, iż podróż taka pociągnąćby mogła za sobą smutne następstwa; prezydent czuł, iż rozłąka ta będzie wieczną. Rozstanie,

które miało przeciąć długie dnie wspólnego szczęśliwego pożycia, stawało się z dniem każdym pewniejszem, bardziej nieuniknionem.

Boleść jego potęgowała niepewność przyszłości, grożące niebezpieczeństwo i niedostatek.

W tak smutnym nastroju myśli prezydent zagaił na początku maja doroczne posiedzenie Rady Ludowej.

Mowa jego jednak, wygłoszona z powodu tego zebrania, tchnie najsilniejszą odwagą i nieugiętą nadzieją w przyszłość szczęśliwą.

Niestety, na tem zebraniu było na nieszczęście pełno wolnych miejsc, gdyż wielu znanych obywateli, biorących udział w sprawach publicznych, legło już w grobie.

Lord Roberts ostatecznie dotarł do Johannesburga; dowiedziano się, iż miał zamiar wysłać lekki podjazd na Wschód od Pretoryi, aby przeciąć linię kolei żelaznej z Delagoa. Wobec tego postanowiono, iż prezydent razem z całym rządem opuści stolicę i chwilowo przeniesie się na wschód.

Ostatniego dnia swego pobytu w Pretoryi, 29-go maja r. 1900, po południu, Krüger przyjął młodego Amerykanina, Iimmy Smith, który mu złożył adres, podpisany przez tysiące uczniów z Filadelfii, miasta, które niegdyś jedno z pierwszych ogłosiło swą niepodległość względem Wielkiej Brytanii.

W adresie tym młodzież amerykańska przesyłała słowa uznania i współczucia swego wodzowi narodu, który dziś z kolei walczył o niepodległość z temże samem państwem.

Do adresu dołączony był mały sztandar transwaalski, wykonany staraniem młodzieży.

Prezydent podziękował deputowanemu amerykańskiemu, a w godzinę potem, o zmroku, w towarzystwie kilku oddanych mu ludzi udał się do Eerste

Fabrikeu, pierwszej stacyi kolei żelaznej na wschód od Pretoryi.

Tam wsiadł do pociągu, idącego do Machadorp, który chwilowo miał być siedzibą rządu.

Krüger mieszkał obecnie w wagonie salonowym, opatrzonym w linie telegraficzne. Pracy miał równie dużo, jak przedtem, dla utrzymania bowiem odwagi wojska prowadzono obszerną korespodencyę.

Pierwsze dni czerwca były strasznie ciężkie. Pretorya wzięta została przez lorda Robertsa. Wobec tego wielu burgerów, zniechęconych ostatniemi wypadkami, wierząc kłamliwym proklamacyom jenerała angielskiego, usiłującego odwieść ich od spełnienia obowiązku względem kraju, złożyło broń i przysięgło zachować neutralność.

A jednak prezydent nie szczędził im ostrzeżeń i zaklęć, 7-go czerwca bowiem wysłał do wszystkich oficerów depeszę następującą:

„Mówcie burgerom, że złożenie broni nie przyda im się na nic.

„Lord Roberts rzeczywiście wydał nową odezwę, w której mówi, iż na przyszłość więźniowie burgerzy nie będą puszczani na wolność pod przysięgą, gdyż wciąż łamią swe zobowiązania; nadto postanowił *brać do niewoli każdą jednostkę płci męzkiej od lat dwunastu, niezależnie od tego, czy jest uzbrojoną, czy też nie.* Jeńców odsyła na wyspę św. Heleny. Więc teraz nawet dzieci nie są bezpieczne i dlatego właśnie postanowiliśmy walczyć do ostatka. Bądźcie wiernymi i walczcie w Imię Pana, wszyscy bowiem, którzy uciekają, opuszczają swe stanowiska, odstępują swe oddziały, są już w drodze na św. Helenę."

Prezydent ułożył wiele innych odezw i depesz, bądź w celu objaśnienia religijnych podstaw niezło-

mnej swej nadziei, bądź w celu podniesienia ducha dowódców.

Machadorp ma najniższą temperaturę w całym Transwaalu i prezydent zaczął mocno zapadać na oczy; wobec tego burgerzy postanowili przenieść jego rezydencyę osobistą do Waterwal-Onder, położonego w dolinie rzeki Eland, wśród wysokich gór, dzięki którym klimat w zimie jest bardzo umiarkowany.

Urządzono dla prezydenta małe mieszkanko, gdzie spędził dwa miesiące, najlepsze od wyjazdu swego z Pretoryi.

Cały rząd, oraz sekretarz stanu i członkowie Rady wykonawczej pozostali w Machadorpie i codziennie przyjeżdżali rannym pociągiem do Waterwal-Onder dla załatwienia spraw bieżących. Na tych rannych posiedzeniach omawiano lub układano wszystkie postanowienia, rozkazy, wezwania władzy, nadzwyczajne polecenia, postanowienia przeciw burgerom lub zaniedbującym się urzędnikom, projekty reorganizacyi żołnierzy, środki zaradcze przeciw proklamacyom nieprzyjaciela etc.

Pod koniec sierpnia przybył tu p. Stein, aby radzić z prezydentem nad coraz groźniejszem położeniem kraju. Botha właśnie rozbity został przez połączone siły lorda Robertsa i jenerała Bullera.

Wypadek ten znany jest dobrze z dziejów wojny.

W ciągu dni ośmiu Boerowie bohatersko odpierali przewyższające liczebnie siły nieprzyjaciół, nie zdołali się jednak przebić przez szeregi angielskie, co było dla nich jedynem ocaleniem. W końcu Buller zdołał zdobyć pozycyę, zajętą przez oddział policyi z Johannesburga, składający się z osiemdziesięciu ludzi zaledwie i w ten sposób przerwał szeregi burgerów. Botha miał tylko 4.000 ludzi i niepodobna mu

było walczyć na przestrzeni pięćdziesięciokilometrowej, gdy Roberts miał przeszło pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i poważną ilość artyleryi.

Bitwa ta jasno wykazała głównodowodzącemu jenerałowi Botha, iż wobec liczebnie słabszych sił burgerów niepodobna było liczyć ani na odparcie Anglików, ani też na dalsze prowadzenie wojny regularnej. Postanowione zostało nowe przeniesienie rezydencyi prezydenta, aby dać większą swobodę ruchom wojsk.

Wskutek tego rząd udał się do Nelspruit, stacyi kolei żelaznej Delagoa, położonej mniej więcej na pół drogi do Waterval i do granicy portugalskiej. Transport wozów, wagonów, koni, mułów przyczynił nam dość kłopotu; podziwialiśmy jednak godną uwagi organizacyę Towarzystwa Południowo-Afrykańsko-Niderlandzkiego, którego działalność użyteczna ani na chwilę nie została zdyskredytowaną przez cały czas wojny. Zaraz po przybyciu do nowej rezydencyi zawiadomiono rząd o świeżo ogłoszonej proklamacyi, w której lord Roberts ogłaszał aneksyę Rzeczypospolitych Południowo-afrykańskich.

Prezydent zredagował w tej chwili niżej podaną kontr-proklamacyę [1]):

„Wziąwszy pod uwagę, że ludności Rzeczypospolitych Południowo-Afrykańskiej i Stanu Wolnego narzucono w październiku 1899 r. wojnę niesprawiedliwą, zmuszającą dwie małe Rzeczypospolite do prowadzenia prawie przez 10 miesięcy widocznie nierównej walki przeciw potężnemu mocarstwu Wielkiej Brytanii;

---

[1]) Jedna proklamacya była już rozrzucona 21 czerwca; zaklinała ona Burgerów, żeby nie składali przysięgi na neutralność, gdyż przysięga taka byłaby nielegalną. Druga proklamacya z d. 29 czerwca usuwała za zgwałcenie przysięgi urzędników, którzy przerzucili się na stronę nieprzyjacielską.

„Wziąwszy pod uwagę proklamacyę z dnia 1-go września 1900 r., podpisaną przez lorda Robertsa, naczelnego wodza sił ekspedycyjnych południowo-afrykańskich, proklamacyę, ogłaszającą aneksyę do mocarstwa Wielkobrytanii kraju, który wojsko niesłusznie uważa za podbity, pomimo, że siły republikanów stoją pod bronią;

„Wziąwszy pod uwagę, że w tych warunkach proklamacya rzeczona jest zamachem na prawo narodów;

„Zważywszy, że niepodległość Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej jest uznana przez wszystkie mocarstwa cywilizowane:

„Należy podać do wiadomości osób zainteresowanych, że rząd i ludność Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej oświadczają się przeciw rzeczonej proklamacyi;

„Ja, S. J. P. Krüger, prezydent Stanu Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej, po zasięgnięciu zdania, otrzymaniu sankcyi Rady wykonawczej, na mocy 147 artykułu prawa z d. 3 września 1900 roku, oświadczam imieniem niezależnego ludu Rzeczypospolitej, iż rzeczona aneksya jest przez nas uważaną za nieistniejącą.

„Lud Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej jest i pozostanie ludem wolnym i niepodległym i nie chce uznać panowania angielskiego.

„Zredagowane i podpisane własnoręcznie przezemnie w Nelspruit (Rzeczpospolita Południowo-Afrykańska) d. 3 września 1900 r.

S. J. P. Krüger".

Na nieszczęście, Boerowie, nękani liczebną przewagą, z dnia na dzień tracili nadzieję oparcia się nieustannemu posuwaniu się nieprzyjaciela w głąb kraju. Kiedy Nelspruit został zagrożony, trzeba było powziąć nową decyzyę odnośnie do rządu i jego prezydenta. Rada, złożona z członków rządu Transwalu i Oranje, naczelnego wodza i pewnej liczby oficerów, zadecydowała wydelegowanie prezydenta do Europy, celem uzyskania tam poparcia sprawy Rzeczpospolitych. Tymczasową prezydenturę powierzono wice-prezydentowi i jenerałowi, S. W. Bürgerowi, o czem zawiadomiono naród za pomocą proklamacyi. Oto treść tej ostatniej:

„Zważywszy, iż podeszły wiek naszego czcigodnego prezydenta stanu nie pozwala mu na bezustanne przerzucanie się z miejsca na miejsce wraz ze świtą;

„Zważywszy na przekonanie Rady wykonawczej, że wysoko cenione zasługi prezydenta mogą jeszcze przynieść pożytek w sprawie kraju i narodu;

„Rada wykonawcza udziela prezydentowi urlopu sześciomiesięcznego na zwiedzenie Europy i poparcie tam naszej sprawy.

„Zgodnie z prawem, będzie on zastąpiony w czynnościach przez wice-prezydenta S. W. Bürgera.

S. W. Bürger, wice-prezydent.

F. W. Reitz, sekretarz stanu".

Biuro rządowe, Nelspruit, 10 września 1900 r.

Opuścić kraj, któremu poświęcił całe istnienie, i opuścić go w tak smutnych okolicznościach, było zapewne dla Krügera ciosem dotkliwszym jeszcze, niżeli wyjazd z Pretoryi. Widział swoją ojczyznę zalaną powodzią wrogów, którzy w swej zarozumiałości bezgranicznej twierdzili, że wojna jest skończoną, a kraj niepokoją tylko szczupłe oddziały partyzantów. Musiał pożegnać wszystkich tych, którzy dzielili z nim trudy i troski, rozstać się z krajem, lu-

dem, sędziwą towarzyszką życia, dziećmi, przyjaciółmi i garstką bohaterów, którzy, obsaczeni zewsząd, wkrótce zmuszeni będą torować sobie drogę przez dzikie pustynie północy, gdzie spróbują jednak zorganizować się nanowo, aby dalej prowadzić walkę. Ale nie było innego wyboru, gdyż nie znosząc już trudów konnej jazdy, musiałby się niechybnie oddać w ręce Anglików. Jedyną pociechą była mu myśl, iż powierzył rządy ludziom wypróbowanej wierności, jakimi byli: Schalk Bürger, Reitz, Ludwik Botha, Delarey; wiedział też, na jak cenną pomoc może liczyć ze strony szlachetnego prezydenta Steina. Dnia 10 września opuścił Nelspruit z nieliczną świtą, którą Rada wykonawcza dodała mu do towarzystwa.

ROZDZIAŁ XIV.

Prezydent w Europie.

Dnia następnego prezydent Krüger rozpoczął swą długą pielgrzymkę po Europie; ani koniec jej, ani wypadki, mogące się zdarzyć w tej podróży, nie mogły jeszcze być wówczas przewidziane lub przepowiedziane. Przenocował w Krokodilporcie i nazajutrz zajął miejsce w wagonie salonowym dyrektora Towarzystwa południowo - afrykańsko - niderlandzkiego. Pociąg zatrzymał się kilka godzin w Hectorspruit, ażeby się Krüger mógł pożegnać z prezydentem Steinem i kilku innymi przyjaciółmi, którzy przybyli tutaj, ażeby się z nim jeszcze zobaczyć. Droga prowadziła przez Komatipoort, ostatnią stacyę w Transwaalu; w Resano-Garsea przejechali granicę i pociąg powierzono opiece Towarzystwa portugalskiego.

W Laurenço - Marquês, gdzie stanęli późnym wieczorem, skierowano pociąg na linię boczną, ażeby prezydent mógł wysiąść z wagonu niepostrzeżenie i dostać się bez żadnych przeszkód do mieszkania konsu-

la generalnego, Potta. Krüger zamierzał zatrzymać się tu aż do chwili odpłynięcia do Europy pierwszego parostatku. Ale nazajutrz przybył gubernator portugalski i w imieniu swego rządu ofiarował prezydentowi gościnność w swym domu. Krüger zawahał się chwilę z przyjęciem tej propozycyi, która mu się wydała podejrzaną; wtedy gubernator wyznał, że zaproszenie jego było właściwie rozkazem, któremu prezydent zmuszony jest poddać się, czy chce, czy nie chce; w przeciwnym razie bowiem użyje przemocy. Zbytecznem chyba byłoby dodawać, że to zachowanie się rządu portugalskiego powinno być przypisywane presyi, wywartej nań przez rząd angielski. Faktycznie bowiem gubernator portugalski w Laurenço Marquès rządzi tylko z imienia, istotnym zaś panem kraju jest konsul angielski z Delagoa-Bay.

Wszelako oddać należy sprawiedliwość gubernatorowi Machado, który swe zadanie przykre spełniał z przymusem widocznym, bez najmniejszego cienia entuzyazmu, że obchodził się z prezydentem bardzo serdecznie; nie pozwalał tylko wychodzić nigdzie samemu i towarzyszył mu zawsze. Świta prezydenta, mieszkająca również w domu gubernatora, stosować się musiała do tego samego regulaminu, to znaczy, że nikt nie mógł zrobić ani kroku bez adjutanta; wszelka rozmowa z przechodniami była wzbroniona surowo. W pierwszych dniach pobytu pozwalano prezydentowi rozmawiać swobodnie z dwiema osobami, stanowiącemi jego świtę przyboczną i z kilku przyjaciółmi, którzy go przychodzili odwiedzać; później jednak, na żądanie konsula angielskiego, pozwolenie to zostało cofnięte.

Taki stan rzeczy trwał kilka tygodni, podczas których prezydent mógł się uważać właściwie za więźnia w domu gubernatora. Na te dni smutne wypadła siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin prezydenta; dzień ten obchodzono niegdyś w Transwaalu bardzo uroczyście. Od rana do wieczora tłumy Burgerów, przybyłych ze wszystkich obwodów, płynęły do domu prezydenta, chcąc mu złożyć życzenia pomyślności.

Dzisiaj, rozłączony na zawsze może z ojczyzną, rodakami i rodziną, więzień gubernatora portugalskiego nie miał prawa przyjąć u siebie nawet tych Burgerów, którzy się znajdowali w Laurenço Marquès; co najwyżej, mogli mu składać życzenia na mieście i wiemy napewno, że żaden z nich nie ominął skorzystania ze sposobności.

Wreszcie zabłysnąć miał promień światła jasnego wśród ciemnej nocy nieszczęść: królowa holenderska zaproponowała prezydentowi przewiezienie go do Europy na jednym ze swych statków wojennych. Myśl ta szlachetna oceniona przez naród boerski kładła kres ciężkiej niepewności, unoszącej się nad podróżą i nawet nad losem samego pielgrzyma.

Dnia 21 października wstąpił prezydent na pokład „Gelderlandu". Zbytecznem chyba byłoby dodawać, że ze strony komendanta statku i jego oficerów doznał jaknajgorętszego przyjęcia. Droga z Delagoa-Bay do Dar-es-Salam, gdzie 5-go listopada „Gelderland" zarzucił kotwicę, odbyła się bez żadnego wypadku godnego uwagi.

Na początku podróży prezydent po raz pierwszy w życiu cierpiał lekko z powodu choroby morskiej, lecz wkrótce potem widziano go już na pokładzie z fajką w ustach, co było najlepszym dowodem zupełnego zdrowia. W Dar-es-Salam przybyło na pokład „Gelderlandu" kilku urzędników niemieckich, prosząc prezydenta o przybycie na ucztę, którą na cześć jego wydać zamierzali; ale prezydent odradzał im ten zamiar, przytaczając jako powód odmowy za-

łobę, którą wkładały na niego nieszczęścia jego kraju, ojczyzny i narodu. Podobne zaproszenie spotkało prezydenta w Djibouti, ale wymówił się w ten sam sposób, co i za pierwszym razem. Na szlaku sueskim wszystkie spotykane statki witały flagę „Gelderlandu"; na statkach, które przechodziły blizko „Gelderlandu", pasażerowie wychodzili na pokład i głośnemi okrzykami witali prezydenta.

Pewien statek francuski zmienił nawet kierunek dla powitania prezydenta. Tylko większość statków angielskich — a spotkaliśmy ich pięć około brzegów Sardynii—nie witała go wcale. Od portu Saïda, aż do samej Marsylii przeydent musiał się poprostu bronić od licznych reporterów, którzy się daremnie kusili o interview.

Podróż była zresztą dosyć przykra; panował mistral nieustanny. a statek kołysał się po wzburzonem morzu, zataczając się tak silnie, że prezydent zapadł znów na chorobę morską.

W końcu podróży komendant statku zaprosił prezydenta i jego świtę na obiad urzędowy. Na tę uroczystość salon okrętu przystrojono flagami holenderskiemi, między któremi powiewała flaga transwaalska, przysłana prezydentowi przez uczniów amerykańskich z Filadelfii.

Wreszcie 23-go listopada „Gelderland" wszedł do portu Marsylii.

Na przyjęcie prezydenta przybyli do Marsylii członkowie delegacyi południowo-afrykańskiej (z wyjątkiem Wolmaransa, który właśnie był chory) z doktorem Leydsem na czele; towarzyszyły im niektóre znakomitości francuskie i holenderskie, a między innemi Hamel, profesor uniwersytetu w Groningen. Cała Marsylia skupiła się na wybrzeżu; kiedy zaś szalupę, wiozącą członków delegacyi, przyczepiono do „Gelderlandu", w całej przystani rozległy się głośne okrzyki. Z pokładu statku widziano tylko falujące morze kapeluszy i powiewanych chustek. Tłumy ludu zapełniły wszystkie małe statki, znajdujące się w pobliżu.

Po złożeniu podziękowania komendantowi i jego oficerom prezydent wsiadł do łodzi, która go przewiozła na ląd stały. Na wybrzeżu czekała go manifestacya jeszcze głośniejsza.

Gdy tak wśród okrzyków tłumu posuwał się naprzód, powitał go prezes „komitetu popierania niepodległości Boerów", który się właśnie zorganizował we Francyi; przemówił przytem krótko, zaznaczając, że jest tłómaczem uczuć całej Marsylii i że zresztą przyjęcie entuzyastyczne, które mu zgotował lud, jest wymowniejsze od jego słów. Prezydent wyraził swą wdzięczność za przyjęcie tak serdeczne, które go wzrusza niezmiernie, chociaż z powodu żałoby, w którą go pogrążyły nieszczęścia jego ojczyzny, nie przybył tutaj w zamiarze wywoływania przyjęć uroczystych.

— Wojna ta — ciągnął dalej — graniczy z barbarzyństwem. W życiu swem walczyłem dużo z napół dzikiemi plemionami kafryjskiemi, ale kafrowie ci byli daleko mniej barbarzyńcami, niż Anglicy, którzy palą fermy, a kobiety i dzieci doprowadzają do nędzy ostatecznej, nie zostawiając im nawet dachu i kawałka chleba! Mam nadzieję, że Bóg nie opuści narodu boerskiego. Jeżeli przeznaczonem jest, że Transwaal i Stan Wolny mają utracić niepodległość, nastąpi to chyba po wytępieniu tych obu narodów łącznie z kobietami i dziećmi.

Manifestacye i aklamacye stawały się coraz głośniejsze w miarę tego, jak się prezydent zbliżał do hotelu; objawy te wzbudziły takie niezadowolenie w turystach angielskich, że wpadli na myśl rzucania

z balkonów drobnej monety pomiędzy tłumy w nadziei wywołania jakiegoś zamieszania. Nadzieja ta zresztą nie zawiodła, ponieważ grupa manifestantów, oburzonych tem postępowaniem, postanowiła zdobyć hotel szturmem i trzeba było uciec się nawet do interwencyi policyi, aby obronić autorów tego postępku niewłaściwego.

Zaledwie Krüger wysiadł z powozu, wysłał natychmiast depeszę do prezydenta Loubet'a, dziękując mu za objawy sympatyi ze strony rządu i całego kraju. W imieniu prezydenta odpowiedział Krügerowi prefekt Marsylii.

Nazajutrz, 24-go listopada, Krüger błyskawicznym pociągiem wyruszył ku Paryżowi; w ciągu całej podróży, podobnie jak od chwili wylądowania, witany był wszędzie oklaskami. Na wszystkich stacyach, na których się pociąg zatrzymywał dłużej, delegacye składały mu kwiaty, wyrażając uczucia gorącej sympatyi. W Lyonie zmuszony był nawet wysiąść z wagonu, ażeby odpowiedzieć na owacye tłumu, a mer wręczył mu przy tej sposobności medal pamiątkowy.

W Paryżu entuzyazm przybrał rozmiary trudne do opisania. Wszyscy pamiętają zapewne przyjęcie, jakiego doznał Krüger na stacyi Lyońskiej (Gare de Lyon). Wypowiedziano liczne mowy, między któremi zasługuje na uwagę mowa wice-prezydenta Rady miejskiej; Krüger odpowiedział mu, że „sam fakt stąpania po gruncie paryzkim natchnął go nową wiarą, ponieważ herb miasta — okręt, nigdy nie mogący zatonąć — zdaje mu się być przepowiednią, że Rzeczypospolite również nie mogą zatonąć."

Tłumy niezliczone zgromadziły się dokoła stacyi, a na całej przestrzeni od stacyi do hotelu rozlegały się okrzyki nieustające: „Niech żyje Krüger! Niech żyje sąd rozjemczy!" Prawdziwy deszcz kwia-

tów spływał na powóz prezydenta. Po przybyciu do hotelu musiał się kilkakrotnie ukazać na balkonie, ażeby paryżanie mogli go przywitać oklaskami; sceny podobne powtarzały się codziennie podczas całego pobytu.

O czwartej po południu nastąpiło przyjęcie urzędowe w pałacu Elizejskim u prezydenta Loubet'a, który zaraz potem oddał Krügerowi wizytę, stosownie do ceremoniału, obowiązującego przy stosunkach z osobami panującemi i przedstawicielami państw.

Pobyt w Paryżu trwał od 26-go listopada do 1-go grudnia; w tym czasie prezydent zwiedził większą część osobliwości miasta, w tej liczbie wieżę Eiffel, Ratusz i Wystawę powszechną, gdzie go najwięcej wzruszyło odczytywanie napisów na ścianach pawilonu transwaalskiego; wszystkie one tchnęły najżyczliwszem usposobieniem dla Boerów.

W ratuszu został przyjęty przez Radę miejską z prezydentem na czele; prezydent przemówił gorąco, wyrażając zachwyt całej Francyi dla bohaterskiej odwagi obu Rzeczypospolitych:

„Kiedy Rzeczpospolite — zakończył — zmuszone są do milczenia, ludy powinny przemówić;" słowa te obudziły nadzieję przyszłej interwencyi rozjemczej.

Na mowę, wypowiedzianą w innem miejscu przez prezydenta Rady jeneralnej, Krüger odpowiedział:

„Gdyby Boerowie, którzy walczą nieustannie wbrew rozsiewanym wieściom o ich klęskach niepowetowanych, mogli się dowiedzieć o przyjęciu, jakiego doznałem we Francyi, byliby stanowczo umocnieni w swem postanowieniu: zwyciężyć lub zginąć!"

Prezydent złożył również podziękowanie prasie za sposób, w jaki się wyrażała o czynach i rozpo-

rządzeniach Anglików podczas całej kampanii, dodając, że gdyby można było wysyłać reporterów na sam teren walki, świat cały dowiedziałby się ze zdumieniem o okrucieństwach, popełnionych przez korpus ekspedycyjny angielski.

Poświęciwszy cały swój czas na przyjmowanie delegacyj urzędowych lub prywatnych, Krüger 1-go grudnia odjechał do Kolonii. Aż do samej granicy francuskiej, podobnie jak podczas podróży z Marsylii do Paryża, owacye nie ustawały. Na każdej stacyi tłum rozentuzyazmowany witał prezydenta okrzykami, manifestując równocześnie swą sympatyę dla sprawy boerskiej. To samo było i w Belgii. Smutno pomyśleć, że błogie nadzieje, które to przyjęcie obudziło w duszy prezydenta, tak prędko runąć musiały.

Przyjęcie w Kolonii było jednem z najentuzyastyczniejszych, jakiego to miasto było świadkiem. Entuzyazm ten był nawet powodem wypadku na dworcu kolejowym. Tłum niezliczony cisnął się ze wszystkich stron, wywołując tłok nie do opisania; kilku ciekawych zepchnięto z peronu, a jeden z nich nawet złamał nogę i później umarł wskutek tego wypadku. Chcąc uniknąć natłoku, prezydent zmuszony był udać się do hotelu bocznemi drogami.

Wiadomo, że Krüger rachował dużo na widzenie się z cesarzem niemieckim, ale w ostatniej chwili otrzymał telegram, zawiadamiający go, że Jego Cesarska Mość udaje się na polowanie i wskutek tego przyjąć prezydenta nie może.

Krüger postanowił udać się niezwłocznie do Haagi. Przyjął jeszcze dużo delegacyi i osobiście wyraził głębokie współczucie wdowie człowieka, który był ofiarą nieszczęśliwego wypadku na stacyi.

Podróż przez Niemcy i Holandyę była powtórzeniem tych samych manifestacyj i demonstracyj, do których prezydent był już przyzwyczajony. Na każdym przystanku grupowały się dokoła pociągu liczne korporacye, różne stowarzyszenia, które przybyły tutaj ze swemi flagami i herbami dla powitania prezydenta i wyrażenia swej czci dla sprawy boerskiej. Łatwo pojąć, że entuzyazm ten zwiększał się w miarę zbliżania się do Haagi, dokąd pociąg przybył późno wieczorem.

Dokoła stacyi i na wszystkich ulicach, prowadzących do hotelu, gdzie się prezydent miał zatrzymać, zgromadziły się tłumy, odchodzące prawie od zmysłów. Z granicy holenderskiej prezydent wysłał do królowej telegram z wyrażeniem uczuć najgłębszego szacunku. Po przyjęciu wizyty ministrów Krüger udał się nazajutrz do pałacu królewskiego, chcąc osobiście złożyć hołd królowej Wilhelminie i podziękować jej za tak szlachetną i wspaniałomyślną interwencyę. W kilka dni później otrzymał zaproszenie na obiad dworski urzędowy, a następnie wizytę księcia małżonka, który go odwiedził w hotelu.

Pobyt Krügera w Haadze przeciągnął się dłużej, niż to prezydent zamierzał z początku; po powrocie bowiem z Amsterdamu, gdzie go przyjmowano owacyjnie, jak zwykle (w kościele i w pałacu ludowym urządzono na jego cześć wielkie przyjęcie), uczuł bardzo wielkie znużenie i musiał się nawet położyć do łóżka; zachorował na zapalenie płuc i nawet przez czas jakiś stan jego zdrowia budził obawy.

Po wyzdrowieniu udał się do Utrechtu, gdzie przebył dwa i pół miesiąca; w czasie tym poddał się trudnej bardzo, ale niezbędnej operacyi ocznej; wynik tej operacyi, wykonanej przez jego lekarza przybocznego doktora Hejmansa i profesora Snellena, był jak najzupełniej pomyślny.

Krüger udał się następnie ze swoją świtą do

Holverson, do willi Casa Cara, gdzie mieszkał przez osiem miesięcy. Nie cieszył się tam jednak spokojem zupełnym, oprócz bowiem wizyty kilkotygodniowej, którą złożył swemu przyjacielowi A. D. Wolmaransowi, mieszkającemu w Scheveningen, musiał pojechać do kilku miast holenderskich, gdzie przybycia jego z niecierpliwością oczekiwano.

Podczas jednego z takich objązdów po kraju zatrzymał się w Rotterdamie; tam, w *Tiergartenie*, mógł podziwiać małe drzewko, które własną ręką zasadził w 1884 roku; w Dortrechcie odbył pielgrzymkę pobożną do starego kościoła, gdzie w r. 1818—1819 odbywały się posiedzenia synodu, którego uchwały miały tak wielki wpływ na wyznanie, do którego należał. Odwiedził również Kampen, który jest jakby Mekką kościołów reformowanych. Przyjęcie, jakiego doznał w tych dwu ostatnich miastach było wyjątkowo gorące i serdeczne.

Zaraz po powrocie do Hölverson dotknął go najcięższy cios, jaki w niego mógł uderzyć: telegraf podmorski przyniósł mu wiadomość o śmierci żony. W tem nieszczęściu najwyższem jedyna myśl była mu pociechą, a mianowicie, że ta rozłąka straszna jest tylko czasową i że wkrótce połączy się ze zmarłą. Nadzieja ta dodała mu sił tak, że nawet napisał do córki, pani Malau, długi list, w którym ją pocieszał i pokrzepiał; przyjął później nowe zaproszenie swego przyjaciela Wolmaransa, który go zatrzymał u siebie przez kilka tygodni, chcąc go trochę rozerwać w tym ciężkim smutku. Po powrocie do Hölverson prezydent prowadził życie zupełnie samotne, wszystkie wolne chwile poświęcając czytaniu Biblii.

W pierwszych dniach grudnia 1901 roku Krüger zamieszkał w Utrechcie w willi Oranjelust. Tam otrzymał wiadomość o świetnem zwycięztwie Delareya nad lordem Methuenem. Ucieszył się tem niezmiernie, ale gdy ktoś z jego otoczenia wyraził nadzieję, że prawdopodobnie Delarey zatrzyma Methuena w niewoli, rzekł:

— Ja pierwszy uznałbym ten czyn za naganny. Mam też nadzieję, że Delarey wróci swemu więźniowi swobodę, ponieważ my, Boerowie, powinniśmy do końca postępować po chrześcijańsku, pomimo to, że Anglicy względem nas zachowują się nieludzko.

To też z żywą radością otrzymał wiadomość o uwolnieniu Methuena. Kilka innych wypadków uradowało w tym czasie duszę prezydenta tak, że rzeczy zdawały się przyjmować—na krótko, niestety—obrót przychylny dla jego nadziei.

Wiara bezwzględna w męztwo wojowników boerskich nie zawiodła go ani na chwilę przez cały czas trwania wojny; zawsze i wszędzie podnosił je bardzo wysoko, dodając jednak, że ostateczne rozstrzygnięcie walki zależeć będzie od decyzyi, jaką powezmą wodzowie armii pod wpływem okoliczności. Podczas traktowania o przedwstępne kroki pokojowe miał tylko jednę odpowiedź dla wszystkich, którzy go zapytywali, co sądzi o tem wszystkiem:

— Będzie tak, jak Bóg zechce.

A gdy się dowiedział o zawarciu pokoju, przesłał wodzom boerskim te słowa z Biblii (II kor. 8, 3):

„Muszę im dać świadectwo, że zrobili to wszystko, co było możliwem, a nawet więcej.”

Osobiście nie czuł się przybity zawarciem tego pokoju, który tak nie odpowiadał życzeniom burgerów:

— Bo — mówił — nietylko zaprzestano rozlewu krwi i straszliwych tortur, jakie cierpiały narody obu Rzeczypospolitych, ale jestem przekonany wbrew pozorom, że Pan nie opuści swych sług. I dlatego

zdaję się zupełnie na wolę Najwyższego. Wiem, że on nie zechce śmierci ludu uciśnionego. On jest Panem wszechmocnym, mającym w swych rękach wszystkie serca ludzkie i kierującym niemi według swej mądrości najwyższej.

Mowa prezydenta Krügera, wypowiedziana podczas otwarcia sesyi dorocznej pierwszej i drugiej Rady Ludowej d. 1-go maja 1899 r.

Panowie!

Z niewysłowioną przyjemnością witam was; z niewysłowioną wdzięcznością wznoszę mój głos do Boga, rządzącego wszechświatem, który opiekował się wami, abyście raz jeszcze mogli przy jego pomocy wszystkie wasze siły poświęcić sprawom naszego ukochanego kraju i naszego ludu.

1) Zadekretowałem, stosownie do obowiązującego prawa, nowe wybory dla obsadzenia miejsc opuszczonych przez członków obu Rad w ciągu bieżącego roku. Wynik tych wyborów będzie podany do wiadomości panów.

2) Ponieważ miejsce wakujące po panu Wolmaransie w Radzie wykonawczej musiało być szybko obsadzone, zarządziłem nowe głosowanie dla miasta i dla okręgu Pretoryi. Wynik głosowania również wkrótce wiadomym będzie.

3) Mandat S. W. Bürgera, członka Rady wykonawczej, kończy się dnia 6-go maja roku bieżącego. Otóż pragnąłbym, panowie, abyście przed nadejściem tej daty wybrali jego następcę. Przypominam też, że S. W. Bürger powtórnie wybranym być może.

4) W ciągu niniejszej sesyi chcę wam przedstawić, panowie, projekty, dotyczące prawa głosowania, kwestyi dynamitu i proszę was, abyście na nie baczną zwrócili uwagę.

5) Z wielkiem zadowoleniem zaznaczyć mogę, iż Rzeczpospolita pozostaje w stosunkach przyjaznych z obcemi mocarstwami. Wymiana not dyplomatycznych między naszym rządem a rządem Wielkiej Brytanii, spowodowana rozbieżnością poglądów odnośnie do prawa głosowania, wprawdzie trwa dotąd; mam jednak nadzieję uzasadnioną, że wkrótce ta sprawa zakończy się pomyślnie dla stron obu. Gorąco pragnę utrzymać dobre stosunki między temi dwoma państwami i wszelkich starań dołożę dla osiągnięcia tego celu.

6) Posiedzenie deputowanych Rady związkowej odbyło się w tym roku w Bloemfonteinie. Raporty i propozycye tejże Rady będą panom przedstawione. Te propozycye, do których rząd swoje dołącza, zasługują na pilną panow uwagę.

7) Według decyzyi powziętych przez was, panowie, w sprawie projektów zgromadzenia deputowanych na r. 1899, rządy dwóch Rzeczypospolitych wyznaczyły komisyę, mającą zbadać środki jak największego ujednostajnienia konstytucyj siostrzanych Rzeczypospolitych. Ta komisya zebrała się w Pretoryi w lutym roku bieżącego. Jej raport przedstawimy wam, panowie. Inna komisya, złożona z sędziów sądów wyższych dwóch Rzeczypospolitych, zobowiązana zbadać sposoby ujednostajnienia prawodawstwa. Ale dzieło tak ważne wymaga głębokich studyów i dyskusyj; dlatego to komisya nie mogła jeszcze ukoń-

czyć prac swoich, które, gdy zostaną ratyfikowane przez reprezentantów dwóch Rzeczypospolitych, przyczynią się niewątpliwie do rozwoju i pomyślności Transwaalu i Wolnego Stanu Oranje.

8) Zgodnie z decyzyą waszą za nr. 1365, z 4-go października 1898 r., porozumieliśmy się z rządem Wolnego Stanu w przedmiocie opłat, nałożonych na towary, które na mocy odnośnych przepisów, wracają wolne od cła do Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej. Tranzakcya, o której mowa, przedstawioną wam zostanie.

9) Ze względu na niebezpieczeństwo, spowodowane zarazą ropną na bydło, które zagraża Afryce południowej, rząd na początku roku bieżącego postanowił zwołać kongres federacyjny.

W odpowiedzi na zaproszenie rządu przedstawiciele Wolnego Stanu Oranje, Mozambiku, Natalu i kolonii Przylądka zjechali się w Pretoryi, aby obradować nad środkami, które mogłyby zapobiedz zawleczeniu do nas tej zarazy azyatyckiej. Raport z tej konferencyi, tak dla nas wszystkich ważny, będzie poddany waszej, panowie, aprobacie.

10) Rząd niemiecki zaprosił nas do wzięcia udziału w kongresie międzynarodowym weterynarzy, który odbędzie się w Baden-Baden w miesiącu sierpniu robu bieżącego. Ponieważ kwestye, na tym kongresie poruszane, żywo nas obchodzić mogą, przeto rząd postanowił wysłać weterynarza państwowego Przy tej sposobności będzie mógł też zbadać zarazę ropną i sposoby, jakiemi na nią zaradzić można.

11) Muszę też oznajmić wam, panowie, iż rząd usilnie stara się o pozyskanie człowieka, który mógłby zawiadywać skarbem państwa i że odpowiednie rokowania są już w toku.

12) Z przyjemnością zaznaczyć też mogę wielki rozwój bogactwa narodowego w roku bieżącym,

szczególniej w jego czterech pierwszych miesiącach. Dowodzą tego zwiększone dochody państwa.

13) (Tu prezydent wyraża swoje podziękowanie i swoją wdzięczność panu Wolmaransowi, członkowi Rady wykonawczej).

14) Rada wykonawcza uznała potrzebę powołania do broni jednej komendy dla zwalczenia buntowniczego plemienia Rompoleama w okręgu Zoutpansberg.

(Tu prezydent dziękuje oficerom i burgerom za zręczność i szybkie zakończenie walki, przytem hołd składa pamięci poległych na polu bitwy).

Rząd postanowił, aby w miejscu, w którem obozowali burgerzy, wznieść miasto pod nazwą Ludwik Trichard i przekonany jestem, iż ta decyzya uzyska waszą, panowie, aprobatę.

15) Ponieważ Towarzystwo kolei żelaznych niderlandzko-południowo-afrykańskie ma zwrócić rządowi pożyczkę daną w ilości 2,000,000 funtów szterlingów, tenże odstępuje od zamiaru zaciągnięcia pożyczki, o której poprzednio była mowa.

16) W imieniu własnem, oraz w imieniu Rady wykonawczej muszę wyrazić nasze wielkie zadowolenie panu Leyds, naszemu ambasadorowi, za okazaną gorliwość.

17) Rok ubiegły był niezwykle pomyślny dla rozwoju przemysłu kopalnianego. Wartość wydobytego złota wynosi 16,240,630 funtów szterlingów, czyli wydobyto drogiego kruszcu o 4,585,905 f. szt. więcej, niż w r. 1897. Wartość ogólna złota, wydobytego w kraju do roku 1898, wynosi 70,228,603 funtów szt. Ilość złota, wyprodukowana do roku 1898, stawia Rzeczpospolitą południowo-afrykańską o wiele wyżej od innych krajów złotodajnych, gdyż ta ilość wynosi 28% ogólnej produkcyi złota na kuli ziemskiej.

18. Rząd postanowił wznowić prawomocność niektórych dawniejszych dekretów, dotyczących robotników chińskich, a mianowicie: od dnia 1 lipca 1899 roku ciż robotnicy będą mogli zamieszkiwać jedynie przy ulicach, lub w dzielnicach dla nich wyznaczonych, tak w miastach, jak i we wsiach.

19. Rząd zajęty jest obecnie szeregiem projektów, dotyczących robót publicznych, szczególniej mostów i gmachów; tych projektów nie można było dotąd urzeczywistnić, ani ich nawet roztrząsać, z powodu nawału pracy, którą obciążona była Rada Wykonawcza, szczególniej w dziale finansowym.

20. Rząd, stosownie do życzeń przez was, panowie, wyrażonych, ogłosi w *Dzienniku Państwowym* projekt rewizyi konstytucyi, oraz nowego kodeksu procedury karnej, aby publiczność mogła w tych sprawach zdanie swoje ujawnić. Ten punkt, panowie, najwyższą wzbudzić w was powinien uwagę.

21. Stosownie do waszych życzeń, rząd po raz drugi podda waszej, panowie, dyskusyi zarys prawa co do wysokości pobieranych pensyj. Sądzę, że prawo to wymaga pewnego zastanowienia.

22. Zwiedziłem kilka okręgów i miast i zwołałem kilka zgromadzeń ludowych, mianowicie: w Heidelbergu, w Rustenburgu i Johannesburgu. W ciągu posiedzeń będę miał sposobność zwrócić uwagę waszą, panowie, na życzenia i żądania Burgerów, które nam na tych zgromadzeniach wyrazili.

23. Z różnych raportów, przesłanych rządowi, wynika, że około 740,500 sztuk bydła padło na zarazę Ale z wielkiem zadowoleniem mogę oświadczyć, że ta groźna choroba już obecnie wygasa. Kilka pojedyńczych wypadków zdarzyło się jeszcze w Leydenburgu, Krudersdorpie i Piet Retiefie, ale dzięki szybkiej pomocy komisyi sanitarnej, zarazę zdołano umiejscowić.

24. Rząd wydał odpowiednie rozkazy w celu nabycia ferm dla założenia stacyi hydro-agronomicznych. Odnośny raport będzie panom przedstawiony

25. Przedstawiona będzie też panom lista, dotycząca zmian w personelu administracyjnym, lista urzędników świeżo mianowanych, urzędników dymisyonowanych, złożonych z urzędu, oraz przeszłych w stan spoczynku.

26 Będą też przedstawione panom raporty naczelników różnych wydziałów administracyi rządowej.

27. Różne projekty praw nowych i ogólna rewizya prawa poddana będzie orzeczeniu panów.

(Potem Krüger oznajmia, że decyzye, powzięte przez Radę Ludową w roku przeszłym, zostały w miarę możności w życie wprowadzone, a inne mocye i projekty mają być w roku bieżącym poddane pod obrady).

A teraz, panowie, znów z całem zaufaniem składam w wasze ręce sprawy naszego kochanego kraju i naszego ludu. Niechaj Bóg udzieli wam sił i mądrości potrzebnych do spełnienia waszego zadania, do roztrząsania wszelkich spraw wam poddanych, bo o pomyślność, o zbawienie kraju i ludu nam idzie.

Mowa prezydenta Krügera podczas posiedzenia pierwszej i drugiej Rady Ludowej.

(2 października 1899 roku).

Szlachetni i czcigodni panowie!

Przed wami głąb myśli moich wypowiem. Wiecie, w jaki sposób Bóg nas tu umieścił i jakiemi cu-

dami przyprowadził nas tutaj. To też, gdybyśmy dzisiaj, kiedy miliony wrogów na nas czycha, wyrzekli się tego kraju, który z Jego rąk otrzymaliśmy, postąpilibyśmy, jak ci, którzy przestali wierzyć w Boga. Ale my zaufanie całe w Nim pokładamy i ku Niemu modły nasze wznosimy. On czeka na nasze błagania i wtedy On z nami będzie.

On jest sędzią najwyższym, który wyroki swoje nie na kłamstwach lecz na prawdzie opiera.

Wy znacie bieg wypadków i wiecie, jak Rada Ludowa i sam lud wszystkim wymaganiom zadosyć uczynił. Najpierw chodziło o prawo głosowania. Tu ustąpiliśmy trzykrotnie i zaznaczam raz jeszcze, że kto nam zarzuca niesprawiedliwe obchodzenie się z cudzoziemcami, ten daje o nas fałszywe świadectwo.

Kiedy podpisaliśmy konwencyę z r. 1881, mała liczba Anglików mieszkała w Transwaalu; a czegoż oni wtedy żądali? Chcieli używać równych praw z Burgerami, ale zapisywali się jako poddani angielscy; woleli być cudzoziemcami, aniżeli zostać poddanymi państwa.

Później przypominacie sobie, że, opierając się na konwencyi z 1884 r., nie chcieli należeć do komendy Blaunberg, chociaż mieli tu sposobność natychmiastowego otrzymania praw wyborczych. Trzykrotnie poddawałem pod obrady Zgromadzenia projekt, aby imigranci brali udział w obronie kraju; Rada Ludowa projekt mój poparła, ogłaszając dekret, który nadawał prawa polityczne wszystkim cudzoziemcom, biorącym udział w wojnie.

Kiedy właśnie przybył do nas Loch, uskarżając się, że Anglikom nie nadaliśmy specyalnych przywilejów, wydałem powtórnie odezwę, sądząc, że istotnie wielu z nich pragnie używać praw Burgerów; uczyniłem to, chociaż konwencya z r. 1884 mówi wyraźnie, że równość między Burgerami a cudzoziemcami nie dotyczy sfery politycznej, lecz jedynie gruntu handlowego.

Zastanówcie się więc, panowie—jesteśmy wobec Boga, niech każdy modlitwę ku niemu zaniesie!—jakież Anglicy mają dowody, że lekceważyliśmy ich prawa na polu handlowem? Ani jednego! Na tem polu większe od nas mieli oni przywileje. Mogli szukać u nas złota i czego tylko chcieli; mogli nawet otrzymać prawa polityczne, ale nie chodziło im wcale o nie. Naczelny komisarz wymagał od nas praw liberalniejszych w kwestyi głosowania, a my przekroczyliśmy już granice liberalizmu; ale pomimo to staraliśmy się zadawalniać żądanie cudzoziemców, jak gdyby byli naszymi rodakami; oni wszakże odrzucali poprostu naszą względność.

Nie było więc tu niesprawiedliwości z naszej strony. Możemy ze spokojnem sumieniem stanąć przed obliczem Boga. On nas osądzi, On rzuci wyrok nie według kłamstwa, ale według prawdy...

Módlmy się do Niego, aby nas prowadził. I gdyby nawet zalały nas fale nieprzyjaciół, On prowadzić będzie swój wierny lud po drodze prawa i sprawiedliwości aż do dnia, w którym może uwolni nas Pan od wszelkiego ucisku. Oddaję się w jego ręce. Nie chcę obwiniać nikogo (mam na myśli moich przeciwników) o fałszywe proroctwa, ale przeczytajcie psalm 108 werset 7, który podczas modlitwy stanął mi w pamięci. Czytajcie go nie na wiarę słów moich, ale dlatego, że są to słowa Boże.

Widziałem wtedy na jawie rzeczy, które w snach widujemy, ale sny w błąd nas wprowadzają; więc nie dbam o nie; wierzę tylko w słowo Boże.

Więc psalm 108 uważnie przeczytajcie, a potem Bóg was poprowadzi! A jeżeli będzie z nami,

któż nam się sprzeciwić potrafi? Dlatego też mówię wam: rozejdźcie się między Burgerów, nakłaniajcie ich, aby modlili się podczas tej wojny.

Zbyt często zapominamy o dziełach Bożych. Nie chcę już rozszerzać się nad naszą dawną walką o niepodległość, w której Bóg pomagał nam tak cudownie i wyraźnie.

Ale nie inaczej działo się podczas napaści Jamesona. Tysiącami bomb, kartaczy strzelano do naszych ludzi, którzy tylko w strzelby byli uzbrojeni, i któż pojmie cudowną drogę tych pocisków?

Z naszej strony trzech tylko padło, a nieprzyjaciel liczył na setki swoich rannych i poległych.

Alboż nie Stwórca kierował pociskami? Oszczędził nas, aby raz jeszcze dowieść, że On wszystkiem rządzi.

Bóg raz jeszcze was obroni, choćby miliony pocisków na was leciały. Takie jest moje przekonanie i taka modlitwa za siebie, za moich rodaków i za tych wszystkich, którzy razem z nami walczą. Raz jeszcze powtarzam wam: Bóg was poprowadzi! On będzie sędzią, On nam objawi, że On jeden tylko trzyma rządy nad światem.

Po gorących mowach prezesów pierwszej i drugiej Rady Ludowej prezydent Krüger przemawia:

Wielką ufność daje mi mój stosunek do całego zgromadzenia. Ono wraz ze mną wierzy w słowo Boże. Spoglądając w głąb rzeczy, przekonacie się, że chociaż Bóg lud swój karze i poprawia, nie wyda go nigdy w ręce jego wrogów. My także, chociaż dzieci swoje karcimy, nie pozwalamy, aby bił je człowiek obcy. Kiedy Izrael wyparł się swego Boga i część zaczął oddawać bałwanom, został ukarany i prawie w niewolę popadł. Ale Stary Testament dowodzi nam, że kiedy sroga ciżba lud wybrany zalała, lud ten zawsze znalazł swego wybawcę.

Panowie! Wiecie dobrze, jak szydzą z nas, że zawsze Boga wzywamy na pomoc! Są to bluźniercze szyderstwa i miejmy nadzieję, że tutaj Bóg kary swej nie poskąpi; On nas poprawia, ale też i bezbożnych ukarać potrafi.

Jeszcze słowo: Mojżesz był wybrańcem Boga, widział oblicze Przedwiecznego, ale w dniach przeciwności i walki przyjaciele podtrzymywali go jak najsłabsze dziecko człowiecze. Aaron musiał podniecać w nim wiarę, to też pamiętajmy w modłach naszych o tych wszystkich, którzy nas prowadzą niezmordowani i błagajmy Przedwiecznego, aby podtrzymał wiarę, umocnił siły tych, którzy państwem kierować mają.

DODATEK.

Mowa Krügera, wypowiedziana przy ostatniej jego nominacyi na prezydenta.

(12-go maja 1898 r.).

Panowie prezydujący i panowie członkowie dwóch korporacyi Rady Ludowej.

Przedewszystkiem upraszam pana sekretarza, aby zapisał starannie słowa moje tak, jak je wypowiem, a to dla uniknięcia możliwych w przyszłości nieporozumień.

Panowie!

Ulegając głosowi ludu, w którym dosłyszałem głos Boga, staję znów przed wami, aby raz jeszcze ująć ster rządu, jako kierownik państwa.

Panowie, kiedy przebiegam myślą lata mojej prezydentury, to muszę, znając z doświadczenia trudności i przeciwności, złączone z mem ciężkiem zadaniem, wyznać wam szczerze, iż czuję dobrze, że do

należytego sprostania temu zadaniu brak mi przewidywania, brak zręczności.

Kiedy patrzę w przeszłość i widzę, jakiemi drogami Bóg nasz lud prowadził, jak uczynił z niego lud wolny, drżę na myśl o odpowiedzialnościach, które na mnie spadły dzisiaj, kiedy rządzić mam tym ludem, bo nie przed wami tylko, panowie radcy, zdać mam z mych czynów rachunek, zdać go mam także przed Bogiem; otóż dni moje są policzone; zbliża się godzina, w której stanąć mam przed Sędzią Najwyższym; kiedy o tem pomyślę, drga mi serce w piersiach i błagać tylko mogę: „O Panie, daj mi poznać Swą wolę, pozwól mi przeniknąć ducha słów Twoich, ukaż cel, który mam osięgnąć, i wskaż mi drogę, po której mam dążyć. Wiedź mnie ku Swojej Prawdzie, naucz mnie poznawać Swoje święte przykazania, bo jedynem mojem zbawieniem Ty jesteś Panie, a jam zawsze słuchać Cię gotów."

Powiedział Pan: „Kto się na Bożej opiera pomocy i wierzy w Jego potęgę, wybiera prawą drogę, a ktokolwiek żyje w bojaźni Bożej, znajdzie w nim przewodnika."

Kto te słowa zapisał w swem sercu, wznosi myśl swoją ku Najwyższemu, naszemu wiernemu opiekunowi i błaga Go o światło, o mądrość, siłę, któremi tchnie Jego boska postać. Bóg przyjmie łaskawie jego modlitwę, bo skarbiec łask Pańskich jest niezgłębiony.

Tak jest; w Bogu, w przewodniku jedynym mam wiarę, bo On jeden tak wyraźnie prowadził nas, kierował nami w każdej okoliczności.

To też w bojaźni Bożej obejmuję dzisiaj w posiadanie godność, którą mi powierzono, i z całą dobrą wiarą wyznaję, że najgorętszem, jedynem pragnieniem mego serca jest żyć pod Jego okiem i rządzić moim ludem według Jego boskiej woli.

Innego celu nad pomyślność kraju mieć nie będę; chcę być stróżem dobrobytu, postępu, niepodległości narodu.

Panowie, zajmować mnie będzie pilnie rozwój naszego kraju; wszyscy widzimy, jakie ten rozwój czyni postępy, ale usiłowania moje skupię w tym głównie celu, aby ten rozwój w niczem nie zagroził niepodległości naszej; czuwać będę, aby żadne ustępstwo jej nie naruszyło, bo czułbym się niezmiernie winnym, gdyby pod mojem okiem wolność naszą uszczuplono.

Bóg prowadził nas, powtórzę raz jeszcze, w tak widoczny sposób, że nawet najbardziej ślepi poganie, niedowiarki przyznać muszą, że z Jego ręki otrzymaliśmy naszą niepodległość.

Panowie, do was mam zaufanie, do was, w których ręku spoczywa nasza władza prawodawcza, rachuję na waszą pomoc w urzeczywistnienie moich zamiarów, na waszą mądrość, że potraficie obmyślić środki odpowiednie dla obrony, umocnienia niepodległości kraju i zapewnić pomyślność narodowi.

Szczególniej mam nadzieję, panowie, że dbać będziecie o potrzeby, wglądać w sprawy *wszystkich* mieszkańców kraju, bez względu na osobistości i narodowość.

Z ciężkim żalem dowiedziałem się, że pola złote przechodzą kryzys, który dotyka głównie biednych i mniej przez los uprzywilejowanych. Pragnę ich tu zapewnić, że ich niedola żywo mnie obchodzi, pragnę, aby razem ze mną ufali w niedaleką a pomyślną dla nich zmianę położenia przez usunięcie zawikłań obecnych.

Rząd czyni, co może dla poparcia rozwoju przemysłu kopalnianego; jako dowód posłużyć może obniżenie taryfy kolejowej do ogólnej sumy rocznie 200,000

f. st.; zmniejszenie opłat wwozowych (700,000 f. st.) dla produktów spożywczych i artykułów najniezbędniejszych w kopalniach, prawo najmu tuziemców z Mozambiku, jako robotników, a wreszcie zniżenie ceny dynamitu.

Wiecie wszyscy, że kiedy w r. 1893 zawarto nowy kontrakt fabrykacyi dynamitu, skrzynia tego towaru kosztowała około 6 f. st. Otóż tę cenę zniżyło potem towarzystwo do 5 f st., wreszcie spadła ona do 85 szylingów. Dzisiaj cena skrzyni wynosi 75 szylingów, a mam nadzieję otrzymać nową obniżkę.

Jak to już nie raz mówiłem na różnych zgromadzeniach, objęcie przez rząd monopolu dynamitowego nie miało na celu wywierania presyi na nasz przemysł kopalniany, ale przeciwnie, podtrzymania go; chodziło nam głównie o danie pomocy małym kopalniom, które, mam nadzieję, utrzymają się aż do chwili, w której będę mógł wesprzeć je skuteczniej, bo tak przemysł kopalniany, jak monopol dynamitowy, zależą od państwa i powinny pomagać sobie wzajem; wkrótce przekonają się wszyscy, że nie cofnę się z raz obranej drogi i że będę usiłował, o ile możności, zmniejszyć cenę materyałów wybuchowych.

Z wielkim żalem również konstatuję fakt, że kilka banków i ajencyi Złotych pól nie wahało się doprowadzić do nędzy biedaków. I tak: kiedy przed kilku laty kopalnie były w kwitnącym stanie, niektóre kantory udzieliły potrzebującym zaliczek (opartych, jak mnie zapewniano, na zupełnie pewnych gwarancyach); zaliczki te posłużyć miały do rozwoju kopalni.

A jednak teraz, w chwili kryzysu, chociaż gwarancye są równie pewne, potrzebującym nie dają kredytu; muszą oni oddać kapitały, a przez to samo muszą sprzedać swoją własność za byle jaką cenę.

Jeżeli tak jest, to brak mi słów dla napiętnowania podobnych czynów tych banków; są to czyny bezbożne, antichrześcijańskie, bo oddają biedaków na pastwę głodu i nędzy, a pieniądze gromadzą w rękach bogatych.

Panowie, mieliśmy już przykłady takich faktów w kopalniach brylantów i jeżeli to, co mi powiedziano, jest prawdą, Zgromadzenie musi przedsięwziąć środki odpowiednie dla obrony klasy ubogiej.

Rząd będzie musiał cofnąć niektórym bankom koncesye lub nie odnawiać ich, skoro służą one do obdzierania biednego, zamiast dania mu należnej pomocy. Nie ścierpimy w naszym kraju podobnych nadużyć.

Pamiętajmy, co wyrzekł Bóg, który wszystko widzi: „Wyratuj ptaka z rąk ptasznika."

Doszło też do mojej wiadomości, że w Europie kontraktują biednych robotników, zapewniając ich przytem, iż żywność w Transwaalu jest równie tania, jak w ich ojczyźnie, tak, że kiedy do nas przybywają, są schwytani jak w matnię, bo ich zarobek wystarczyć im nie może.

To też mam nadzieję, że zechcecie panowie wydać odpowiednie rozporządzenie, aby kontrakt zawarty za granicą wtedy dopiero miał u nas znaczenie, kiedy potwierdzi go nasz urzędnik do tej czynności przeznaczony, jeżeli dowie się przedtem o zgodzie pracodawcy z robotnikiem i przekona się, że pierwszy nie nadużywa niedoświadczenia drugiego. Jednakże aż do otrzymania pewniejszych wieści w tej sprawie, wolę wierzyć, iż źle mnie w tym względzie objaśniono.

Oprócz tego, dowiedziałem się też, panowie, że powstały towarzystwa spekulujące na gruntach, niezbadanych jeszcze dostatecznie co do ilości złota, które w sobie zawierać mogą. Właścicielami lub akcyonaryuszami tych gruntów są ludzie mieszkający w Europie, którzy w ich wartość bez sprawdzenia uwierzyli.

Dopiero po przybyciu na miejsce widzą, że są oszukani i winę na rząd zrzucają. Akcyonaryusze europejscy powinni korzystać z opieki rządu na równi ze stałymi mieszkańcami kraju.

Sądzę więc, że należy wydać dekret, zabraniający stowarzyszeniom akcyjnym operowania na gruntach Transwaalu, dopóki inżenier państwa nie zbada gruntów i nie zda raportu.

Należy więc oświecić pod tym względem publiczność europejską, aby krzywd swoich nadal nie kładła na karb rządu naszego.

Wreszcie zwrócę uwagę waszą na dwa punkty, których nigdy z oczu tracić nie należy.

Po pierwsze, nie możecie, panowie, czynić żadnych ustępstw, które narażałyby na szwank niepodległość kraju, a powtóre, powinniście, według Bożego rozkazu, dać ucho wszelkim skargom biednych ludzi—obcym wam, czy blizkim, powinniście nawet starać się wszelkiemi siłami pomagać im, aby wydobyli się z sideł ptasznika. Wtedy Bóg będzie z nami, On nas pochwali i pobłogosławi.

Tak jest, panowie, jeżeli zapatrywania nasze w tym względzie są zgodne i jeśli chcecie dać mi swoją pomoc, wtedy sprawdzi się przysłowie „w jedności siła" i Bóg zamieszka między nami.

Panowie członkowie Rady wykonawczej! I do was także się zwracam.

Najpierw dziękuję wam z całego serca za pomoc, którą dawaliście mi dotąd w każdej okoliczności, czy chodziło o zakończenie jakiego zatargu, czy też o doprowadzenie do skutku zamiaru pożytecznego.

Powtóre, panowie, dziękuję wam za to wszystko, co uczyniliście dla kraju, za waszą wierność, poświęcenie, których daliście dowody, oddając dla ojczyzny majętności i życie własne.

Za to wszystko raz jeszcze dziękuję.

Jakąż radość daje mi nadzieja, że i nadal pomagać mi będziecie zawsze, ile razy zajdzie tego potrzeba!

Nadzieja, że zawsze wiernymi pozostaniecie krajowi, abyśmy mogli wszyscy, jak jeden mąż, stanąć w obronie tej niepodległości, którą sam Bóg nas obdarzył! Potrafimy wtedy poświęcić wszystko, co mamy, wraz z burgerami, okazującymi taką gotowość do wszelkich ofiar dla świętej sprawy. Zachowajcie tę tradycyę wierności i módlcie się za mnie, jak ja modlę się za was, aby wam było danem pracować godnie w naszym zakresie.

Panowie członkowie Rady wykonawczej i Zgromadzenia prawodawczego naszej siostrzanej Rzeczypospolitej.

Na wstępie pozwólcie mi, panowie, wyrazić sobie wdzięczność za zajęcie się, które nam okazaliście.

Bardzo ściśle łączą nas węzły i zapewne zgodzicie się ze mną w zdaniu, że nic lepszego nad zgodę i przyjaźń łączące dwa narody bratnie, choćby nie wiem jakie kataklizmy wstrząsały ziemią. Kiedy takie porozumienie istnieje i utrzymuje się, Bóg je błogosławi, bo dobrodziejstwa i łaski Boże płyną tam, kędy kwitną zgoda i miłość i „zamieszka On między niemi aż do skończenia wieków.”

(Tu prezydent zwraca się do ciała dyplomatycznego i przemawia jak następuje):

Panowie ajenci dyplomatyczni i konsularni państw zagranicznych.

Wam też, panowie, kilka słów powiedzieć pragnę.

Moja karyera polityczna przekonała panów zapewne, że nic dla mnie milszego, jak żyć w porozumieniu, w harmonii z zamorskiemi potęgami; zawsze miałem na względzie nasze wzajemne korzyści, chcąc według słabych sił moich przyczyniać się do pokoju ogólnego.

Obecnie pragnę najgoręcej, aby rząd, kierując sprawami państwa, nie zasłużył sobie na skargi cudzoziemców.

Taką drogą iść pragnę i wszelkich sił moich ku temu użyję.

To też liczę także na dobre chęci wasze, bo wtedy zacieśnią się jeszcze węzły łączące Rzeczpospolitą z mocarstwami obcemi, a tam, gdzie istnieje przymierze, oparte na takich podstawach, gdzie panują: pokój i przyjaźń, tam jest błogosławieństwo Boże, tam Bóg sam zamieszkuje, którego błagam o dobro dla was i dla krajów waszych. Obyśmy mogli żyć w zgodzie i w przyjaźni!

Nie ja przeszkody stawiać będę w obronie interesów państw, których jesteście przedstawicielami, i zapewnić was mogę, panowie, że do skarg słusznych nie damy wam nigdy powodu.

(Prezydent zwraca się teraz do publiczności i mówi):

Wy wszyscy, którzy tu lud przedstawiacie, z całą uwagą zechciejcie wysłuchać słów moich.

Najpierw zwrócę się do obywateli kraju, potem do tych, którzy nimi świeżo zostali, a wreszcie do cudzoziemców, którzy, zachowując prawo obywatelstwa we własnym narodzie, wśród nas zamieszkali.

Obywatele Rzeczypospolitej, stawiłem się na wasze wezwanie i przyjąłem urząd, który ofiarowaliście mi, obarczając się przez to ponownie obowiązkiem kierowania krajem.

Najpierw dziękuję wam za zaufanie, któreście mi okazali.

Teraz, kiedy spoglądam na wasze twarze, poznaję tych wszystkich, którzy razem ze mną cierpieli, męczyli się, walczyli dla tego kawałka ziemi, na którym mieszkamy, walczyli za jego niepodległość, i mnóstwo myśli budzi się w mej głowie, a wszystkie każą mi mówić: Pamiętajmy zawsze o drogach, któremi wiodła nas Opatrzność. Brak czasu nie pozwoli mi wyliczać długiej listy faktów, w których sami braliśmy udział, lub byliśmy ich świadkami, ale każdy z nich wyryty jest w mej pamięci. Wszystkie dowodzą nam, jak wielką nas Bóg otaczał opieką. Ileż razy wybawił nas z niebezpieczeństwa, błogosławił nas i karał, oddając zwycięztwo naszym przeciwnikom. Wtedy, w poniżeniu naszem, nie przestaliśmy błagać Stwórcy o pomoc. I nagle podnieśliśmy się i spełnili czyny bohaterskie.

Przypomnę wam Paardeborg; i tam byliśmy bez sił i pomocy. Ale lud, Zgromadzenie i Rada wykonawcza były ściśle złączone sercem i duszą i wszyscy razem używali pomocy Bożej. I objawił się Bóg, stworzył cuda, dał nam ratunek. Burgerowie, to co zdziałała jedność uświęcona przez Boga, powinno być dla nas przykładem.

Starajmy się wyrwać z korzeniem niesnaski, które wyrosły między nami, i złączmy nasze usiłowania, aby pokonać złego ducha, przyczynę naszych rozterek. Ach! Tego złego ducha, który do każdego z nas ma dostęp, który sprawia, że o słowie Bożem, o przykazaniach zapominamy, tego złego ducha wyrzućmy z serc naszych.

Bóg mówi: „Nie dasz fałszywego świadectwa bliźniemu swemu” — o, zaprawdę, jest to zwyczajem naszym, aby brat fałszywe o bracie podawał świadectwo.

Nie wskazujmyż więc na nikogo palcem, mówiąc: ten jest winny! Ale niech każdy z nas sam uczciwym będzie.

Chcemy stawić się dziś przed Bogiem w całej uczciwości.

Widzimy Jego ramię nad nami wyciągnięte; karze On nas, bo codziennie prawa Jego przekraczamy. Oto przykład.

Przypuśćmy, że ojciec ma wielkie dobra, jest bogaczem, a syn jego nic nie posiada i żyje z dóbr ojca; ten odda mu swoje mienie, mówiąc: „Moje dziecko, weź je, ale nie używaj na złe swego bogactwa, a jeśli czego będę potrzebował, powiem ci.”

I jakże zmartwi się ojciec, jeśli później czego zażąda od syna, a ten odmówi mu lub da rzecz najgorszą?

Nieraz pytamy siebie: „Za co Bóg nas karze? Alboż nie w celu zwrócenia naszych serc ku sobie? Bo zaiste postępujemy z Bogiem, jak ktoś, kto chciałby stawiać warunki przed małżeństwem. Dobra ziemskie ciągną nas i wiążą, a dbałość o dusze zostawiamy Bogu.

Niech każdy z was, bracia moi, własne zbada serce, a przekona się o dobrej woli Boga. Opatrzność w jakimże celu obsypuje nas darami? Abyśmy ich na chwałę Bożą użyli. Nadzy na świat przychodzimy i nadzy do grobu zejdziemy; nic nie zabierzemy z sobą. A więc Bóg te wszystkie dobra nam daje, żywność i odzienie nietylko, abyśmy sami żyć mogli, lecz także, abyśmy dawali kościołowi, szkołom, biedakom. A jednak cóż, kochani bracia, czynimy? Dajemy—ale dajemy co gorszego mamy, choć

w mocy naszej uczynić inaczej, ale jeśli chodzi o teatr, o cyrk, o wyścigi, to jeden drugiego namawia, aby poszedł, pożyczy mu pieniędzy, aby nie opuścił światowej przyjemności, a kiedy sługa Boży woła: „Rzućcież cokolwiek do skarbonki ubogich!" Pójdziemy do kościoła, ale w skarbonce ledwo drobna moneta zabrzęczy. Na cóż więc obracamy to dobro, którem Bóg nas obdarzył? Więc rzekł Stwórca: „Okradacie mnie, wydzieracie mi moje mienie, oddajecie je rozkoszom, mnie nic nie zostawiając."

O, bracia i rodacy! Niech czuwa każdy z nas, kto duszę nieśmiertelną posiada. Niech lęka się karzącej dłoni Bożej! Zaraza padła na ludzi i zwierzęta, szarańcza plony pożera i susza panuje, z roku na rok coraz cięższe przeżywamy czasy i tak będzie aż do chwili naszego nawrócenia... Niewątpliwie Bóg śmierci swego ludu nie pragnie. To zapewnienie znajdziecie w psalmie 89. Pan nie cofa słów swoich, lecz karze, aby nawrócić.

Wołacie: Jakże Dawid mógł mówić z przekonaniem: „Całuję karzącą mnie rózgę?"

Jeżeli kochacie waszego ojca i nic nie posiadając, musicie żyć z jego darów, to jeśli pobłądziliście, a ojciec wam powie: „Idź precz odemnie," wtedy upadniecie mu do nóg, błagając: „Ukarz mnie, ojcze, ale z domu swego nie wypędzaj!"

To też Dawid mógł z całą dobrą wiarą powiedzieć: „Kiedy żyłem w rozkoszach, tęskniłem, ale odkąd Bóg mnie karze, odżyłem!" I to czuł, co mówił.

Te same miejmy uczucia i bądźmy przekonani, że Pan woli nas karać, aniżeli nas odpychać. Głosu jego słuchajcie, nie miejcie serc zatwardziałych, ale dajcie się powodować Panu. Bo i dlaczegoż zginąćbyście chcieli? Dlaczegóż mielibyście kroczyć drogą, do potępienia wiodącą? Patrzcie, jak Bóg jest miłosierny. Powiedział nam: „Wróćcie do mnie, dzieci marnotrawne, a ja was z grzechów waszych uzdrowię; doświadczcie mnie, jeśli nie dajecie mi wiary; a patrzcie, czy bramy raju nie otworzą się, aby deszcz błogosławieństw spuścić na wasze głowy. Spędzę szarańczę z pszenicy na polach waszych rosnącą, a wasze stodoły napełnią się ponownie, a wasze ziemie będą znów urodzajne, lecz wróćcie do mnie, dzieci zbłąkane, a ja was wyratuję."

Kochani bracia i rodacy, nie sądźcie, abym wyłączał siebie z win nam wszystkim wspólnych. I ja wiele sobie wyrzucać muszę, bo winnym jestem. To też ukorzmy się i póki czas uznajmy wszyscy razem nasze winy. Bóg nam w tem dopomoże.

A wy, nowi burgerzy, wy także słów mych ostatnich posłuchajcie; do was stosują się także, jak do każdego, kto ma duszę nieśmiertelną, ale pozwólcie, że dodam jeszcze parę słów dla was szczególniej przeznaczonych.

Daję wam nazwę nowych burgerów, bo świeżo otrzymaliście naturalizacyę i wyrzekliście się waszej dawnej ojczyzny. Należycie do tych, którzy dobrze zrozumieli słowa Pana: „Nie można dwom Bogom służyć jednocześnie; jeżeli wierność jednemu dochowacie, zdradzicie drugiego."

Dlatego porzuciliście waszą dawną ojczyznę, aby u nas znaleźć nową. Starajcież się więc zbliżyć z dawnymi tej ziemi mieszkańcami i żyjcie z nimi w zgodzie, a wtedy pracować będziecie także nad rozwojem kraju. Szanujcie jego prawa, bo tak czyniąc, nietylko przyłożycie rękę do dobra i pomyślności kraju, ale i sobie dobrze zrobicie, a tam, gdzie jest zgoda i praca wspólna, jest i błogosławieństwo Boże.

A teraz do was się zwracam, imigranci, którzy narodowości swej porzucić nie chcecie, a wolicie żyć wśród nas jako cudzoziemcy. Jeżeli poddacie się prawom krajowym, przyjmiemy was, jak braci. Rozpatrzcie się więc, gdzie korzyść wasza, gdzie szczęście wasze, a my wam w tem dopomożemy. Żyjcie z nami, praw naszych słuchajcie, a możecie liczyć na opiekę moją w granicach mojej możności, choćbyście nawet nie pragnęli pozostać obywatelami naszego kraju. Jeżeli wy, cudzoziemcy, chcecie wśród nas zdobyć sobie mienie, korzystać będziecie na równi z innymi burgerami z opieki, jaką daje prawo, a jeśli później nas opuścicie, pożegnam was z żalem, z jakim żegnamy przyjaciół; jeśli wrócicie do nas, powitamy was z otwartemi ramionami, ciesząc się, że zawitali do nas przyjaciele, jakiejkolwiek byliby narodowości. Bądźcie przekonani, że wszyscy ludzie rozsądni was podtrzymują i pragną, abyście mogli żyć wśród nas weseli i szczęśliwi.

Przeciągłe oklaski. Krüger zwraca się teraz do urzędników, prezesów sądu, prokuratora jeneralnego, do sędziów, etc.:

Na was, panowie, ciąży wielka odpowiedzialność, bo jesteście z urzędu filarami państwa i na was leży obowiązek zachowania ufności ludów. Pozwólcie mi jednak dłużej pomówić z wami w tej sprawie, a wy wszyscy tu zebrani chciejcie mi swoją poświęcić uwagę i zapamiętać moje słowa.

Kiedy nasi pradziadowie kraj swój opuścili. zdawali sobie dobrze sprawę, że prowadziła ich ręka Opatrzności Każdy człowiek w stanie natury, przez prawa nieokiełznany, z konieczności prowadzi życie bezbożne i rozwiązłe.

Kiedy w roku 1836 lud przebył rzekę Oranje, skupiliśmy się w gromady i nie wolno nam było żyć w bezbożności. W tem wychodźstwie opieraliśmy się na słowie Bożem i wybraliśmy sobie przewodników, którzy mieli zapobiegać wszelkim nadużyciom i wszystkie rozstrzygać spory. Jest rzeczą jasną, że tych wędrówek nie zawdzięczamy własnej dobrej naturze, ale ręce Boga, który doprowadził was na drugą stronę rzeki Vaalu.

O drugim naszym „treku” mówić nie będę, bo trwałoby to zbyt długo. Lud zamianował wtedy Radę prawodawczą, obdarzoną władzą najwyższą. To zgromadzenie miało opracowywać prawa do naszych potrzeb zastosowane, bo posiadaliśmy jedynie decyzye i dekrety Rady wojennej. W ten sposób Rada Ludowa wyznaczyła komisyę, która miała opracować konstytucyę. Do tej komisyi należeli: nieboszczyk Lombard, landrosta z Potschefstroomu, nieodżałowany Bosman, dziadek naszego pastora Bosmana i ja. Dodano nam jako pomocnika pana Stuarta i przygotowaliśmy zarys konstytucyi przez nas podpisany.

Otóż jaka jest myśl zasadnicza? Artykuł 8 wyraża ją całą:

„Lud potrzebuje maximum swobody społecznej i utrzymać ją musi, stojąc twardo przy swoich tradycyach religijnych, swojej wierze, przez wypełnianie swoich obowiązków, przez poddanie się prawu i utrzymanie jego mocy.”

Przejmijcie się więc dostatecznie duchem tego artykułu. Aby go zrozumieć, trzeba odnieść się do słowa Bożego. Lud żąda największej swobody społecznej, nie tej swobody bezbożnej, bez steru, ale wolności opartej na słowie Bożem.

Artykuł 8 jest jej podstawą. Lud żąda swobody, ale jest to lud cywilizowany; niech nie pragnie

wolności bezbożnej, która uwolniłaby go od wszelkich więzów i wszelkich zobowiązań.

Jakiż ztąd wniosek wyprowadzić możemy? Dotknę tu bardzo ważnego przedmiotu i słowo Boże je objaśni. Mojżesz wyprowadził Izraela z Egiptu i nadał mu prawa wedle woli Bożej. I cóż mówią te prawa? „Nie czyńcie tego, co tylko oczom waszym rozkosz daje, ale czyńcie wedle nauk moich, od których nic ująć, ani też nic do nich dodać nie można."

Mojżesz wybrał wśród ludu swego najstarszych, najrozsądniejszych, powierzył im sprawowanie rządów i nazwał ich sędziami; przelał na nich przykazania, którym posłusznymi być mieli.

Jednakże pozostawił im swobodę tłómaczenia i stosowania tych praw według ich idei i ich sumienia, zaznaczając im jednak pewne granice.

Taka była wola Boga.

Nowy Testament zbliża nas ku naszemu Panu i Mistrzowi, ale pamiętać należy, że podwładni Mojżesza nie byli prawodawcami, więc wartości praw nie roztrząsali, bo tylko na prawodawców spada za nie odpowiedzialność. Jedna tylko potęga wyższa od Mojżesza mogła zmienić to, co uczynił prawodawca i Bóg to wykazał, gdy źródło wytrysło ze skały pod dotknięciem laski Mojżeszowej i wbrew jego poprzednim zapewnieniom. Lecz stosowanie tych praw było obowiązkiem sędziów, praw takich, jakie sami odebrali; jako sługi wierne postępować mieli, stosując je z całą sumiennością i z mądrością wielką.

Tak też jest z wami, sędziowie. W jednym artykule konstytucyi lud przewidział nominacyę Rady Ludowej, jako wcielenie najwyższej władzy kraju, władzy prawodawczej, jedynie uzdolnionej do stanowienia praw i powzięcia decyzyi; waszym więc jest

obowiązkiem stosować je bezstronnie według mądrości i czystych sumień waszych i nic was z tej drogi zwrócić nie powinno, a jeśli stosować będziecie prawa w ich pierwotnej czystości, wzmocnicie zaufanie, które kraj nasz wzbudza, bo w ten sposób przekonacie wszystkich, że prawa, na mocy których własność swą otrzymali, oparte są na trwałych podstawach.

Cudzoziemcy, którzy wśród nas żyją i znają prawa, zasady przyjęte przez Radę Ludową, chcą się im poddać, będą mieli przekonanie, że ich prawa są dla nas święte, byleby tylko ufali naszym trybunałom i wierzyli, że prawa, ustanowione przez najwyższą władzę krajową, na mocy których prerogatywy swoje otrzymali, będą zawsze utrzymane w duchu sprawiedliwości.

Każdy z was, panowie, musi działać według wskazówek, praw i dekretów zależnych od władzy prawodawczej. Apelacya od sądu najwyższej instancyi nie istnieje. Gdybyście więc, panowie, odrzucili jakąś decyzyę, jakiś wyrok Rady Ludowej, których według was zastosować nie można, przywłaszczalibyście sobie prawo do sankcyi, która byłaby jedynie sztuką szatana. Gdybyście jednak, ulegając jedynie słabości ludzkiej, wydali wyrok najzupełniej niezgodny z prawem, lecz podyktowany wam przez sumienie i uczciwość, nie zawinicie ani przed Bogiem, ani przed ludźmi. Od waszych wyroków niema apelacyi i dlatego zowią was „bogami"—lecz Bóg znajduje się wśród rady „bogów" i sądzi zło i dobro. Gdy będziecie postępowali zgodnie z sumieniem i honorem waszym, a nie przekroczycie granic, zakreślonych wam przez prawo, On wam powie: „Sługo wierny, iżeś był w małem wierny, nad wielkiem cię postanowię." A dzięki temu wzmocnione będzie nietylko zaufanie, jakie wzbudza kraj, lecz również i zaufanie, jakie bu-

dzicie wy, którzy potraficie być posłusznymi prawu i nie pozwolicie, aby najwyższe władze krajowe stały się pośmiewiskiem świata. A naród wszechwładny umocni się w przekonaniu, że moc stanowienia praw jemu jedynie przysługuje. Lecz przejdźmy do faktów, mogących zachwiać to przekonanie.

Mojżesz, jak powiedziałem wyżej, ułożył prawa, lecz nie wolno mu było zmieniać ich i mógł wydawać wyroki jedynie zgodne z temi prawami. Najwyższa tylko władza, Pan nad panami, to jest Bóg, miał moc zmieniania te prawa.

Szatan wprowadził do raju pierwiastek buntu, bluźniąc Bogu, który rzekł: „Gdybyście jedli owoce z tego drzewa, pomrzecie!” Szatan zaprzeczył tym słowom, mówiąc: „Nie pomrzecie po zjedzeniu tych owoców, lecz staniecie się równymi Bogu; ztąd pochodzi zakaz ich spożywania.”

Twierdzenie powyższe obiega wciąż między ludźmi. Dzięki têmu Korah, Daton i Abiron za namową szatana wszczęli rokosz, wpływający zgubnie na losy kraju. Pochodzące ztąd bunty, niezgody i nienawiść do Mojżesza uśmierzone zostały dopiero przez zgładzenie buntowników Kory, Datona i Abirona. Bóg ukarał ich surowo za to, że postępowali wbrew prawdzie i słowom Jego.

Duch nieposłuszeństwa pochodzi od szatana. Starajcie się zrozumieć dobrze to, co mówię do was i nie tłómaczcie błędnie znaczenia słów moich. Wszyscy będziemy kiedyś zmuszeni stanąć przed Bogiem, a nie wiem, czy będę miał jeszcze sposobność przemawiać do was. Być może, że jest to ostatnia. Pragnąłbym, żeby duchowni również słyszeli słowa moje. Wy, sędziowie, wnieślibyście do kraju nieład, gdybyście pozostawali w sprzeczności z naszemi orzeczeniami, gdyż ci, którzy otrzymują jakieś prawo na mocy jakiegokolwiek przepisu lub uchwały Rady Ludowej, nie mieliby nigdy pewności, czy trybunał, powołany do wyrokowania w ich sprawie, nie może być posądzony o fałszywe stosowanie prawa.

A wtedy właśnie za sprawą zaufania, jakie posiadacie nietylko w kraju, lecz i u władzy, Rada Ludowa mogłaby stać się przedmiotem pogardy i pośmiewiska. Gdybyście dopuścili do takiego stanu rzeczy, bylibyście podobni do owego dozorcy biblijnego, który nie słuchał rad pana swojego, lecz postępował według własnego natchnienia; i jak powiedział szatan: „Staniecie się równymi Bogu, lecz nie zginiecie.” A tymczasem, ktoby chciał rościć sobie prawo podobne, będzie odwołany z urzędu, w przeciwnym bowiem razie mogłoby być podkopane zaufanie, jakie kraj winien wzbudzać, a gdy się bliżej zastanowimy nad tą sprawą, to znajdziemy w niej potwierdzenie słów Biblii, według której Pan może gościć wśród nas dopóty, dopóki wszyscy spełniać będziemy obowiązki swoje.

Wiadomo wam, panowie, że nasz sędzia najwyższy przy pomocy kilku kolegów przywłaszczył sobie prawo, o którem wspomniałem wyżej i żył szczęśliwie w takiem nieposłuszeństwie, jak ryba w wodzie. Na nieszczęście dla niego, Sędzia nasz w czasie rozrywek swoich wyskoczył z wody na ziemię, to jest po za obręb prawa. Z tego powodu Rada Ludowa powzięła postanowienie, dotyczące praw krajowych, według brzmienia którego każdy oporny sędzia miał być zwalniany przezemnie od obowiązków. Uczyniłem co do mnie należało, lecz wasz ex-sędzia najwyższy wyśliznął mi się z rąk, jak węgorz.

W tym czasie kolega jego, pierwszy sędzia Kolonii Przylądkowej, znający dobrze zręczność nasze-

go sędziego najwyższego, przyłączył się do moich usiłowań i pomagając sobie wzajemnie, zdołaliśmy nawrócić go do wody, czyli do prawa. Bardzo mnie to ucieszyło, gdyż oceniałem zdolności tego urzędnika i nie chciałem się rozstać z nim. Lecz nieomieszkał on wkrótce uczynić nowy skok po za swój żywioł, a skok ten naprowadził go tym razem tak daleko, że już, niestety, nie miałem możności utrzymywać go na urzędzie. Byłem zmuszony usunąć go, tem więcej, że sam wtedy otwarcie oznajmił, że nie chce być sędzią, gdyż nie uznaje prawa — jeżeli go dobrze zrozumiałem.

Cóż mówi teraz ex-sędzia najwyższy? Napada na mnie, zarzucając mi, że nie dotrzymałem swoich obietnic. Otóż chcę, żeby to, co mówię w tej chwili, było zapisane czarno na białem, aby świat cały mógł to przeczytać. Niech to będą obietnice, skoro on tak chce rozumieć—ja sądzę inaczej—ale w każdym razie doprowadziłem do skutku swój zamiar przejrzenia konstytucyi i przedstawienia jej narodowi. To się działo w marcu, a zatem o wiele wcześniej przed otwarciem Rady Ludowej. Tymczasem dowiaduję się, że on w rozmowie, prowadzonej w Kapsztadzie (o ile dzienniki podają prawdę), twierdzi, że wyrażenie *w najkrótszym terminie* miało oznaczać *natychmiast*. Czyż to nie szaleństwo? Jakże mógłbym przedstawić sprawę Radzie Ludowej w marcu, gdy Rada zbiera się dopiero w maju? Natychmiast po zebraniu się Rady Ludowej przedstawiłem jej tę sprawę, wskutek czego niezwłocznie wyznaczono komisyę, która zaprosiła ex-sędziego najwyższego do współpracownictwa przy rewizyi konstytucyi, lecz on zaproszenia tego nie przyjął, aczkolwiek poprzednio przyrzekł listownie swój współudział. Nie mam do niego żalu, gdyż, jak mi się zdaje, on nie panuje już nad swemi władzami umysłowemi. I cóż on czyni w dalszym

ciągu? Oznajmia w odezwie, której treść nie wiem czym dobrze zrozumiał, że jeśli naród nie ujmie się za nim, to on uda się do Anglii. A przecież składał przysięgę nietylko jako urzędnik, lecz również jako obywatel kraju i nie może nie wiedzieć, że obywatelowi nie wolno odwoływać się bezkarnie do obcego mocarstwa. On sam niejednokrotnie powtarzał, że nasze sprawy wewnętrzne nie podlegają władzy Anglii, a mimo to grozi odwołaniem się do tego państwa. Zresztą nie mogę mieć żalu do niego, gdyż, powtórzę raz jeszcze, nie uważam go za człowieka, będącego w pełni władz umysłowych. Lecz to nie wszystko jeszcze. Wypowiedział on następujące przypuszczenie: Gdyby Rada Ludowa postanowiła zagarnąć prawa przynależne narodowi, to któż wtedy zaopiekowałby się narodem?”

Ex-sędzia najwyższy zapomniał powiedzieć, że zamiar ten, który w swojem przypuszczeniu przypisuje Radzie Ludowej, był już urzeczywistniony przez niego, gdyż on to właśnie poodbierał setkom ludzi prawa własności, aby je przyznać jednej, czy dwom osobistościom, i już się to nie da odrobić, gdyż sąd najwyższy jest ostatnią instancyą; tymczasem, gdyby Rada Ludowa chciała uczynić coś podobnego, to naród protestowałby na wszelkie możliwe sposoby i głos jego wszechwładny rozstrzygnąłby sprawę na korzyść pokrzywdzonych [1]).

I cóż dalej mówi ex-sędzia najwyższy? Twierdzi on, że przez złożenie go z urzędu pogwałconą została konwencya z r. 1881, ponieważ był on miano-

[1]) W rzeczywistości zamachy na prawa narodu mogą czynić tylko sądy, ale nie Rada Ludowa.

wany przez rząd tymczasowy. Jednak wie on, że było inaczej: objął swoje czynności za czasów zmarłego prezydenta Bürgersa, a rząd tymczasowy na stanowisko sędziego powołał de Wetta. Tak mnie przynajmniej zapewniano i mam wszelką zasadę wierzyć, że tak było.

Gdyśmy napowrót objęli władzę, były sędzia nie był obecny w tym czasie. Wezwaliśmy go z Kimberleyu, by mu powierzyć stanowisko sędziego najwyższego, lecz nie sprawował on tego urzędu za rządu tymczasowego. Być może, że on się myli, lub ja byłem źle poinformowany. I cóż dalej czyni? Gwałci świadomie konwencyę z roku 1881, stosując przyjętą przez siebie zasadę nieuznawania i odrzucania decyzyi Rady Ludowej, niezgodnych z konstytucyą. Wistocie na mocy konwencyi z roku 1881 otrzymaliśmy nowe obszary, lecz jednocześnie odcięto od nas wiele kolinij, mających ściśle określone tytuły własności; niektóre z nich oddano nawet pod jurysdykcyę trybunałów miejscowych, a konwencya wymagała, aby Rada Ludowa wydała opinię w kwestyi zaniechania przenoszenia własności.

Według przyjętej przez byłego sędziego najwyższego zasady, konwencya została już naruszona, gdyż wskutek nowego zakreślenia granic niektóre kolonie winny były powrócić do nas, a wskutek tego należało zmienić tytuły własności; postanowienia Rady Ludowej, tyczące się spraw powyższych i zatwierdzające taki sposób uporządkowania ich, były niezgodne z konstytucyą i, podług niego, powinny były pozostać na zawsze martwą literą. Gdyby taka zasada miała słuszność za sobą, to musielibyśmy chyba ująć za broń i walczyć z Anglią o prawa własności, wymykające się nam wbrew konstytucyi.

Panowie, mam tak wysokie mniemanie o zdolnościach byłego sędziego najwyższego, że nie wahałbym się zamknąć go w domu obłąkanych, gdybym mógł spodziewać się, że to go może ocalić, gdyż bardzo chodzi mi o niego i pragnąłbym, aby mógł być przywrócony do urzędu, abyśmy nadal korzystali z jego wiedzy.

Tak jest, posiadał on niezwykłe zdolności, lecz, ulegając podszeptom szatana, wstąpił na złą drogę i powstał przeciwko prawu. Byłem zmuszony wyświetlić to wszystko, ponieważ on utrzymywał, że nieprawnie złożyłem go z urzędu. Teraz przynajmniej świat cały dowie się, jak było w rzeczywistości.

Panowie urzędnicy, majątek i dobrobyt kraju zależne są w wysokim stopniu od każdego z was, począwszy od najwyższych, aż do najniższego, od was, którzy powinniście stosować się nieustannie do piśmiennych i ustnych przepisów i wskazówek, pochodzących z góry. Gdy będziecie dokładnie i sumiennie spełniali obowiązki, każdy w zakresie swoim, dopomożecie narodowi do postępu i w znacznej mierze przyczynicie się do dobrobytu i pomyślności kraju, czego zresztą wymaga zarówno dobro ogółu, jak i wasze osobiste. Oby niebo sprawiło, byście byli zawsze posłuszni przepisom waszym i nie działali nigdy jedni drugim naprzekór.

Obecnie pragnę przemówić do władz wojskowych.

Panowie oficerowie, do nas wszystkich, od prezydenta Rzeczypospolitej aż do najmłodszego oficera, należy obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem ojczyzny. Gdyby wypadkiem prezydent, będąc ostrzeżony o napadzie nieprzyjacielskim, zaniedbał zawiadomić was o tem, to on będzie odpowiedzialny i krew

przelana spadnie na jego głowę; gdybyś pan, panie jenerale głównodowodzący, otrzymał takie zawiadomienie, a mimo to nie przedsiewziął odpowiednich środków ostrożności i nie rozstawił placówek, wtedy odpowiedzialność za krew przelaną spadnie na głowę pańską. Gdyby jednakże rozkazy były przez pana wydane, ale podwładni pańscy nie wykonali ich należycie, wtedy krew przelana spadnie na ich głowy, oni będą odpowiedzialni i zostaną ukarani; słowo Boże uczy nas: niech każdy czuwa na swojem stanowisku. Od Rady Ludowej do najniższego urzędnika jesteście wszyscy częściami składowemi wielkiej machiny państwowej, zaopatrzonej w niezliczone tryby; póki każdy z tych trybów działa zgodnie z trybami sąsiedniemi, póty istnieje jedność; otóż „jedność tworzy siłę", a Opatrzność błogosławi tę jedność. Gdyby zaś który z trybów nie chciał stosować się do działania całej machiny państwowej, będzie oderwany od niej i odrzucony na bok, a co najmniej przeniesiony na inne miejsce, gdyż w przeciwnym razie machina cała mogłaby się połamać. Taki tryb wadliwy, o ile nie będzie mógł być użyty na innem miejscu, należy usunąć zupełnie, gdyż powtarzam raz jeszcze, tylko przy bezwzględnej zgodzie wszystkich trybów małych i wielkich machina państwowa może działać prawidłowo, szerzyć światło i dobrodziejstwa. A błogosławieństwo boskie spływa na takie współdziałanie.

Prezydent zwraca się do duchownych:

Szanowni panowie, słudzy słowa bożego. Zwracając wzrok mój ku wam, przypominam sobie znany werset Pisma Świętego: „Jakże miłe są kroki tych,

którzy zwiastują i czynią pokój", czyż, albowiem, nie jest to waszem zadaniem na tym świecie? Duch buntu był dziełem dyabelskiem, gdyż szatan rzekł do Adama i Ewy: „Jedzcie owoce z drzewa tego, a nie pomrzecie, lecz staniecie się równymi Bogu." W ten sposób dyabeł natchnął krocie ludzi zbyt wysokiem przekonaniem o zasłudze własnej i przywiódł ich do nieposłuszeństwa słowu Bożemu, to jest do budowania domu na piasku, bez fundamentów; o ile więc nie macie tego we własnej pamięci, dowiecie się, jak ciężką walkę muszą toczyć na tej ziemi chrześcijanie, wierni słowom Pisma. Szatan opętał duszę Kaina, a Kain chciał uniknąć kary. Uważał się za równego Bogu i odmawiał składania ofiar, twierdząc, że Bóg powinien kontentować się tem, co Mu sprawia zadowolenie samo przez się, oraz, że łaski, okazywane przez Boga, wynikają z samej Jego natury; to też Pan odepchnął Kaina, gdyż nie znalazł w nim wiary. Pędził więc Kain życie nie podług słowa Bożego, a przez to i spokoju nie zaznał, lecz „jakże miłe jest postępowanie tych, którzy głoszą pokój", jak Abel? Ten poddał się wyrokowi, wydanemu w raju, iż człowiek ma być przeklęty; wziął baranka nowonarodzonego (który przywodzi nam na myśl Jezusa Chrystusa) i za pośrednictwem Ducha Świętego błagał Boga, by kara dla niego przeznaczona spadła na baranka, a on, żeby nie był skazany na śmierć wieczną. Bóg raczył przyjąć ofiarę i wysłuchać modlitwy jego i w tem widzimy Ojca, Syna i Ducha świętego. Prawo, aczkolwiek surowe, bywa codziennie przekraczane przez ludzi i tu się zaczyna dzieło odkupienia, dokonane przez Chrystusa przy pomocy Ducha Świętego. A zatem nieście daleko słowa niniejsze: „Jakże miłe są kroki tych, którzy stają się krzewicielami pokoju". Bądźcie wytrwali w walce. Szatan wciąż posuwa się, a nic nie ujdzie uwagi jego,

gdyż napisane jest: „Zasieję nienawiść między tobą a niewiastą i między twojem a jej potomstwem; niewiasta zetrze głowę twoją”. Ukazał się jeszcze szatan Synowi Bożemu na puszczy (jak zresztą ukazuje się wszystkim) i rzekł do Chrystusa: „Skoro jesteś Synem Bożym, spraw, aby te kamienie zmieniły się w chleb”. Lecz Chrystus odpowiedział: „Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz także słowami, płynącemi z ust Przedwiecznego”. Następnie zaniósł szatan Chrystusa na szczyt świątyni i powtórzyła się taka sama scena; dyabeł rzekł: „Skoro jesteś Synem Bożym, rzuć się w przepaść, albowiem napisano jest: „On rozkaże aniołom swoim piastować go, aby nie obraził stopy swojej o kamień”. Lecz Chrystus odpowiedział: „Jest również napisane: Nie będziesz kusił Pana Boga swego”. Następnie zaprowadził Chrystusa na górę wysoką i ukazując Mu wszystkie królestwa ziemi, rzekł: „Dam Ci to wszystko, jeśli ukorzysz się przedemną i oddasz mi pokłon”. I znów odpowiedział Jezus: „Będziesz się kłaniał Bogu, Panu swojemu, i Jemu tylko służyć będziesz”. Oto jak powinniście wy, słudzy Chrystusa, głosić Ewangelię, opierając ją na słowie Boskiem; a gdy ją tak głosić będziecie, przyczynicie się do podtrzymania Rzeczypospolitej, która wtedy spocznie na słowie Bożem, jak to jest nakazane przez artykuł 8-my.

Naród mówi, że posiada swobodę; wistocie tak jest, lecz ta swoboda spoczywa na słowie Bożem, gdyż nasi przodkowie, tworząc kraj ten, wzięli słowo Boże za podstawę praw i porządku. Panowie duchowni! Bądźcie wytrwali w wierze: jakże miłe są kroki tych, którzy roznoszą pokój w imię Jezusa Chrystusa! Religia dyabelska twierdzi, że człowiek może stać się równym Bogu i sprawcą szczęścia przy pomocy własnej wiedzy i zasługi, a zarazem dostąpić żywota wiecznego. To fałsz! Bądźcie wytrwali i nauczajcie według słowa Bożego, gdyż wtedy będziecie prawdziwymi przewodnikami narodu. Prowadźcie go po tej drodze, wpajając mu bojaźń Bożą, aby kroczył zawsze dobrą ścieżką zarówno w sprawach świeckich, jak religijnych, a gdy weźmiecie do serca zadanie wasze i uczciwie po drodze prawdy postępować będziecie, staniecie się prawdziwą podporą Rzeczypospolitej. Wszyscy wtedy będą rozumieli zdanie: „Miejcie bojaźń Bożą, szanujcie króla.”

My będziemy was czcili w blasku waszego działania, w doskonałości waszych czynów i wspaniałości waszego zadania gdyż: „Jakże są miłe kroki tych, którzy stają się krzewicielami pokoju.” Jednocześnie my możemy wam udzielić takiej opieki, na jaką pozwala nasza władza. Będziemy was szanować, bronić, nawet ujmować się za wami i podtrzymywać was; będziemy przyczyniać się do wznoszenia świątyń, ale nie uczynimy nic nad to, co nam nakazuje słowo Boże. Gdy sędzia ziemski usiłuje mieszać się w wewnętrzne sprawy Kościoła, czyni to widocznie z natchnienia antychrysta, gdyż przywłaszcza sobie prawa Chrystusa, który jest głową Kościoła. Gdy to czyni władza doczesna wkracza w dziedzinę szatana, dążąc chyba jedynie do zniweczenia religii.

Pan Bóg utworzył tę Rzeczpospolitą chrześcijańską i obdarzywszy ją chrześcijańskim rządem, włożył na nią obowiązek obrony Kościoła i was od wszelkich napaści. Gdybyście jednak poszli dalej, niż wam nakazuje ten, który rzekł: „Paście baranki moje, paście owieczki moje!” wkroczylibyście w dziedzinę polityki i przeniknąłby was duch papizmu, a kazanie wasze nie byłoby prawdziwie ewangieliczne. Dopóki każdy będzie się trzymał w granicy działalności właściwej, uzyska zdrową i skuteczną pomoc, a duch Boży spłynie na nas i Bóg będzie nam błogosławił.

Teraz do was, drogie dzieci, chcę w krótkich słowach przemówić.

Na was to właśnie bacznie kieruję swój wzrok, gdyż widzę w was przyszłą Rzeczpospolitą i przyszły Kościół. Życzę sobie z całego serca, żeby wszelkie siły narodu wytężone były do tego celu, aby uczynić z was użytecznych członków społeczeństwa. Korzystacie z ważnego przywileju, gdyż Rzeczpospolita nakazała obowiązujące nauczanie w duchu religijnym, a życzeniem naszem jest, aby wszyscy jednakowo z przywileju tego korzystali. Rząd wasz zaliczył nauczanie religijne do praw obowiązujących; miejmy nadzieję, że następcy nasi zachowają to prawo. Druga ważna korzyść wypływa dla was ztąd, że władza prawodawcza czuwa nad językiem krajowym, który stał się drogim waszym przodkom, gdyż towarzyszył im w chwilach doświadczeń i walk, który zbliża was do Biblii, pozwalając wam czytać ją i rozumieć; gdybyście zobojętnieli dla języka waszego, musielibyście również zobojętnieć dla przodków waszych, dla Biblii, a przez to samo dla religii, a nawet dla narodowości waszej. Niezbędną niewątpliwie jest nauka języków obcych, a w szczególności używanego przez naród z którym najczęściej musicie utrzymywać stosunki; lecz język ten powinien być uważany za dodatkowy. Język wasz, język Biblii, winien mieć pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi. Weźcie słowa moje do serca, zastanówcie się nad niemi i proście Boga, aby pozwolił wam spełniać uczciwie obowiązki wasze; potomkowie wasi będą wam za to wdzięczni.

Nauczyciele i nauczycielki!

Wy jesteście, można powiedzieć, obrońcami i opiekunami dzieci, w zastępstwie rodziców, którzy przed ołtarzem powierzyli Bogu swoje dziatki, aby je wychować według świętych zasad na jego usługi i chwałę.

Chrystus powiedział: „Paście owieczki moje.” Wam właśnie to zaszczytne zadanie przypadło w udziale. Wszak wiecie, że, jak mówi Nowy Testament, kobiety przynosiły dzieci swoje do Chrystusa. Były to dzieci zupełnie zdrowe. Niewierzący prowadzą dzieci tylko do lekarza, gdyż troszczą się jedynie o zdrowie cielesne. Tymczasem tam, jak to widzicie, matki prowadziły do Chrystusa zdrowe dzieci. Gdy uczniowie nie chcieli puścić ich, Jezus rzekł: „Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie, albowiem ich jest królestwo niebieskie” Należy też ono i do tych, którzy byli przyprowadzeni z wiarą do Chrystusa. Matki przynosiły dzieci, aby otrzymały błogosławieństwo z nieba, które miało im zapewnić zdrowie duszy.

Otóż gdybyście wy, nauczyciele i nauczycielki nie uznawali wiary, to jakże moglibyście prowadzić te dzieci z wiarą do Chrystusa? Lecz ja wam ufam, wiem, że znacie Chrystusa i z tego powodu nie zapomnicie prowadzić do Niego wasze dziatki. Tak jest, spodziewam się, że będziecie czuwać nad tem, żeby religia nie została usunięta na ostatni plan i żeby dzieci nie były uczone jedynie przedmiotowo, gdyż przynieślibyście uszczerbek religii, która mogłaby popaść w zapomnienie. Człowiek, czyniący jedynie fizyczne i umysłowe postępy, wierzy słowom szatana i sądzi, że może stać się równym Bogu, można zatem powiedzieć o nim, że: „Im bardziej wykształcony, tem mniej jest okrzesany.” I nie znajdzie żadnego punktu oparcia.

Nie narażajcie więc religii, gdyż ona jest podstawą Kościoła i państwa. Bądźcie niewzruszonymi

stróżami Biblii i uczcie z niej dzieci, które powierzone wam zostały dlatego, aby kiedyś i do was przemawiano w te słowa: „Sługo wierny, iżeś na małem był wierny, nad wielkiem cię postanowię. Pójdźcie do mnie wy, błogosławieni w Panu, wasze miejsce jest po prawicy mojej."

Skończyłem.

Mowa, wygłoszona przez prezydenta Steina na otwarcie posiedzenia dorocznego Rady Ludowej w Kronstadzie.

(2 kwietnia 1900 roku).

Panie prezydencie, Panowie!

Pomimo, że wróg, panowie, zajął Bloemfontein i zmuszony byłem przenieść czasowo siedzibę rządu do Kronstadu, otwieram posiedzenie doroczne z najgłębszą wiarą w przyszłość i witam was najserdeczniej.

1) Wbrew wszelkim usiłowaniom i usiłowaniom rządu, Anglia zmusiła Rzeczpospolitą Południowo-Afrykańską do wojny. Gdy od dnia 13 października wojna wybuchła, Wolny Stan Oranie, wierny swym zobowiązaniom i zgodnie z waszem głosowaniem, wystąpił solidarnie z pobratymczą Rzecząpospolitą.

2) Obie Rzeczypospolite podniosły rękawicę, rzuconą im przez Anglię, jedynie w celu obrony, aż do ostatka swych sił tej niepodległości, dla której

tyle krwi przelali nasi przodkowie i która nam osobiście jest tak drogą. Dzięki niewymownej łasce Opatrzności, wojska nasze nietylko zadziwiły świat cały, ale przewyższyły nawet naszą własną nadzieję. Chociaż poddanie się Cronjego i jego walecznych Burgerów, oraz zdobycie Bloemfonteinu poraziły nas ciężko, szczęśliwym się czuję, mogąc wam oznajmić, że Burgerów naszych ożywia zapał niezmienny, że zawsze gotowi są walczyć o swobodę tak drogo okupioną, a w potrzebie nawet umrzeć za nią, jak tylu innych, nieustraszonych i niezapomnianych bohaterów naszego narodu. Z głębokim smutkiem dzielę się z wami hiobową wieścią o zgonie wice-prezydenta i naczelnego wodza pobratymczej Rzeczypospolitej, p. J. Jouberta, którego śmierć okryła żałobą nietylko Transwaal, ale i całą Południową Afrykę; w człowieku tym widziała ona przyjaciela, gorącego patryotę, prawdziwego chrześcianina, który najlepsze lata swego życia poświęcił pracy dla dobra narodu. Oby życie jego było przykładem dla nas wszystkich, aby śmierć mogła być dla nas nauką i przy pomocy Bożej dopomogła nam zakończyć szczęśliwie tę walkę, którą on prowadził tak świetnie i której celem jedynym jest obrona ojczyzny.

3) Wróg, niezadowolony ze swej przewagi liczebnej, starał się o zapewnienie sobie innych jeszcze korzyści; np. nadużywał systematycznie czerwonego krzyża i białego sztandaru; przeciwko tym nadużyciom zmuszony byłem założyć protest u mocarstw neutralnych. Tak: w tej walce nierównej z dwiema sprzymierzonemi Rzeczpospolitemi, potężne mocarstwo Wielkiej Brytanii nie gardziło nawet takim środkiem, jak rozrzucanie kłamliwych i podstępnych proklamacyj, mających na celu rozdwojenie naszego narodu. W kontr-proklamacyi wykazałem całą obłudę i niebezpieczeństwo tych sideł i dziś z radością mo-

gę wam oznajmić, że dowiedziałem się z pewnych źródeł, iż tylko bardzo mała garstka naszych była tak podłą i tak marną, że się poddała wrogom dobrowolnie.

4) W nadziei uniknięcia nowego rozlewu krwi i przekonania świata cywilizowanego, że nie mamy najlżejszego zamiaru przyłączenia kolonii ościennych i że jedynym celem walki jest obrona naszych praw i naszej swobody, Jego Ekscellencya prezydent Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej, i ja, wysłaliśmy do Jego Ekscelencyi, pierwszego ministra Wielkiej Brytanii, pismo z tendencyą pokojową. Ale zamiast ułatwienia nam tych starań i podtrzymania dążności pokojowych, Wielka Brytania przysłała nam odpowiedź, która będzie wam doręczoną i z której wynika jasno, iż jedynym celem i sprężyną tej wojny była czhć obalenia obu Rzeczypospolitych.

5) Podobnie, jak dawniej, Rada Wykonawcza, i ja próbowaliśmy wszelkich środków dla utrzymania pokoju i dzisiaj jeszcze nie chcemy zaniedbać niczego, coby mogło położyć kres tej wojnie. Dlatego więc, po porozumieniu się z Rzecząpospolitą Południowo-Afrykańską, postanowiliśmy wysłać wspólnie za granicę komisyę, złożoną z następujących mężów zaufania: pp. A. Fishera, członka Rady Wykonawczej, C. H. Wesselsa, prezydenta Rady Ludowej i t. d., Wolmarausa, członka Rady Wykonamczej Rzeczypospolitej Południowo - Afrykańskiej. Komisya ta zwiedzi Europę, Amerykę i prosić będzie mocarstwa o interwencyę, któraby w przyszłości mogła zapobiedz rozlewowi krwi. Obowiązkiem naszym jest prosić w swych modłach Najwyższego o błogosławieństwo dla naszych usiłowań.

6) Na mocy powierzonej mi władzy, zaciągnąłem pożyczkę wspólnie z Rzecząpospolitą Południowo-Afrykańską.

7) W warunkach obecnych niemożliwe jest prowadzenie dalej naszych obrad. Wskutek tego chciałbym wam zaproponować odłożenie ich na później, a dziś zająć się wyłącznie kwestyami i prawami, które poddane będą pod waszą bezpośrednią decyzyę Kończę gorącą modlitwą do Boga w Trójcy Jedynego, aby nam zesłał siły do prowadzenia i szczęśliwego zakończenia tej walki świętej, podjętej w imię prawa i swobody. Skończyłem.

Mowa, wypowiedziana przez prezydenta Krügera na otwarcie posiedzenia dorocznego pierwszej i drugiej Rady Ludowej Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej.

(posiedzenie z dn. 7 maja 1900 roku).

Panowie!

Jest to dla mnie przyjemnością najwyższą, że mogę powitać was tutaj i złożyć zarazem najgłębsze dziękczynienie Panu, który rządzi światem i który pozwolił wam zgromadzić się wspólnie w celu zużytkowania waszych sił dla drogich sercu spraw naszego narodu i ojczyzny.

1) Niektórzy z członków waszego zgromadzenia oznajmili mi, że z powodu wojny obecność ich niezbędną jest w oddziałach i wskutek tego nie mogą być obecni na posiedzeniach.

2) Pomijając ciężkie i bolesne poświęcenia, jakich zatarg z Anglią wymaga od Burgerów obu Rzeczypospolitych, wojna ta porwała nowe ofiary z ciała wykonawczego i prawodawczego w osobach zasłużonych deputowanych: J. H. Barnarda, J. H. Cocka, C. J. Tosena, a przedewszystkiem naszego ukochanego wice-prezydenta i naczelnego wodza, J. Jouberta, którego zgon świeży opłakujemy dzisiaj. Pierwszy z nich legł zaszczytnie na polu chwały pod Derdepoortem, broniąc ojczyzny od dzikich hord kafryjskich, dowodzonych przez oficera angielskiego. Drugi zakończył życie wskutek ran ciężkich, otrzymanych w bitwie pod Elandslaagte, gdzie walczył na czele swych Burgerów. Powodem śmierci Tosena, podobnie jak i śmierci naszego wice-prezydenta i wodza naczelnego, była ciężka choroba, wywołana szeregiem trudów bojowych i brakiem najpierwszych potrzeb życia. Wydaje mi się koniecznem wyrazić dzisiaj żal nasz szczery i głęboki po tych braciach, którzy odeszli od nas pełni chwały i zasług. Potomkowie nasi potrafią ocenić działalność naszego zgasłego naczelnika, którego samo pojawienie się na polu bitwy poskramiało nieprzyjaciela, a postępowanie humanitarne i szlachetne przyniosło nam tyle sławy w oczach narodów cywilizowanych.

3) Wypadki wojenne nie pozwoliły przeprowadzić wyborów, które miały na celu obsadzenie posad wakujących.

4) Mianowałem p. S. W. Bürgera wice-prezydentem Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej.

Nominacya ta jest prowizoryczną, dopóki Rada Ludowa nie załatwi tej kwestyi.

6) Głęboko wzruszają mnie dowody wierności ze strony synów pobratymczej Rzeczypospolitej. Dowiedli oni czynami swemi, że gotowi są spełnić wszystkie obowiązki, wypływające z przymierza, zawartego z Rzecząpospolitą Południowo-Afrykańską. Dawne węzły, łączące narody, osiadłe po obu brzegach Vaalu, wzmocniły się i zacieśniły znakomicie. Rzeczpospolita pobratymcza zrozumiała jasno, że wspólna akcya jest konieczną i że zamach na Rzeczpospolitą Południowo-Afrykańską zagraża też niepodległości Wolnego Stanu Oranie. Interwencya pobratymczej Rzeczypospolitej jest dowodem energii i ufności bezgranicznej w przyszłość rasy afrykańskiej; jest to zarazem przykład wspaniały dla naszego narodu i rządu, a dla nas podnieta w tej walce o życie, do której zmusza nas wojna z Anglią; każdy, kto się interesuje walką słabego narodu o jego prawa, mógł wyciągnąć z niej nietylko naukę, ale i wielką korzyść moralną. To też pamiętając o zobowiązaniach, zaciągniętych względem naszych sprzymierzeńców i braci ze Stanu Wolnego, uważam sobie za obowiązek wyrazić im uczucia głębokiej i szczerej wdzięczności. Niech Bóg ich błogosławi za wszystkie ofiary, które ponoszą dla sprawy wolności.

7) Miło mi jest zapewnić was ponownie, że, wyjąwszy zjednoczonego królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandyi, Rzeczpospolita utrzymuje stale najprzyjaźniejsze stosunki z innemi mocarstwami zagranicznemi.

8) Podczas mego pobytu w rozmaitych obozach spotkałem się w Bloemfonteinie z Jego Ekscelencyą prezydentem Stanu Wolnego i postanowiliśmy

wysłać wspólnie depeszę do rządu angielskiego, gdzie zaprzeczając temu, jakobyśmy spowodowali wojnę, albo dążyli do rozszerzenia granic, proponowaliśmy rozpoczęcie układów pokojowych na podstawach następujących: obie Rzeczypospolite mają być uznane za neutralne i niepodległe, a poddani Jej Królewskiej Mości, którzy pomagali nam w wojnie, otrzymują gwarancyę bezpieczeństwa swojej osoby i majątku. Odpowiedź gubernatora brytańskiego, która wkrótce przedstawiona wam będzie, dowiedzie wam, że Anglia nie miała nigdy i niema dzisiaj nic innego na celu prócz złamania niepodległości obu Rzeczypospolitych.

9) Podobnie jak nasze prawodawstwo w ostatnich czasach i wogóle stosunki nasze z rządem brytańskim wykazały naszą gotowość zadosyćuczynić wszystkim możliwym wymaganiom dla utrzymania pokoju, podobnie dzisiaj, gdy wbrew wszelkim usiłowaniom wojna wybuchła, uczynimy wszystko, co tylko będzie zależało od nas, dla przywrócenia pokoju. W tym celu postanowiliśmy z Jego Ekscelencyą prezydentem Stanu Wolnego wysłać deputacyę, złożoną z p. A. Fischera, członka Rady wykonawczej Stanu Wolnego, pp. C. H. Vesselsa, prezydenta Rady Ludowej Stanu Wolnego i D. W. Wolmaransa, członka naszej Rady wykonawczej, jako reprezentantów naszych rządów, do Europy i Ameryki z misyą starania się o interwencyę, celem zawarcia pokoju, zapewniającego niepodległość obu Rzeczypospolitych.

10) Obecność w naszych szeregach bojowych *attachés* wojskowych, delegowanych przez rozmaite państwa dla śledzenia przebiegu wojny, świadczy o niezwykłem zainteresowaniu się rządów naszemi operacyami strategicznemi. Równocześnie miło mi było dowiedzieć się, że sympatye całego prawie świata w tej walce o prawo i niepodległość stoją po naszej stronie i że dużo państw przysłało na pole bitwy sekcye Czerwonego Krzyża, celem urządzenia ambulansów i przyniesienia ulgi cierpieniom naszych rannych. I to wszystko bez pomocy składek, zbieranych w Europie, Azyi, Ameryce, jedynie w celu przyjścia z pomocą wdowom i sierotom tych, których utraciliśmy. Wiem, że jestem najzupełniej w zgodzie z wami, wyrażając w tej chwili najgłębszą wdzięczność za wszystkie trudy, poniesione przez tych szlachetnych filantropów.

11) Zmuszony byłem zaprotestować przed dworami mocarstw neutralnych przeciw niektórym rozporządzeniom, sprzeciwiającym się prawu międzynarodowemu i prawu wojskowemu, mianowicie przeciw nadużyciom Czerwonego Krzyża i Białego Sztandaru, złemu obchodzeniu się z rannymi i jeńcami, wreszcie przeciwko zaciąganiu Kafrów do szeregów naszych przeciwników.

12) Pomimo trudności, w jakich się kraj znajduje z powodu wojny, okazało się, ku wielkiej mojej radości, że skarb nasz będzie mógł pokryć znaczne a nieodzowne wydatki i że przemysł górniczy rozwija się stale.

13) Na mocy powierzonej mi władzy, wspólnie ze Stanem Wolnym ułożyłem się o zaciągnięcie pożyczki.

Stosownie do udzielonej mu na mocy postanowienia za Nr. 1416, z d. 28-go września 1899 roku władzy, rząd wydawał uchwały i wykonywał je za każdym razem, gdy tego wymagały okoliczności. Rząd jest przekonany, że wszystkie jego czyny, wykonywane z posiadanej władzy, zyskały wasze uznanie

i prosi was o zawiadomienie go, czy ma nadal postępować tą samą drogą.

15) Niemożliwem byłoby obradować dzisiaj nad wszystkiemi kwestyami, będącemi treścią posiedzeń dorocznych; dlatego pozwolę sobie dać wam radę, abyście się zajęli tylko temi sprawami, które wam przedstawię natychmiast, odkładając wszystko inne na później.

Kończę, panowie.

Oby Najwyższy, który kieruje losem narodów, udzielił nam sił potrzebnych do zwycięzkiego zakończenia nierównej i straszliwej walki, prowadzonej w Jego imię i w obronie naszych praw świętych! Oby siła, którą szczycą się burgerowie, oby oficerom poczucie obowiązku względem dzielnych poległych w obronie ojczyzny, obowiązku względem przyszłych pokoleń, którym winni zostawić ojczyznę wolną, oby poczucie tej siły i tego obowiązku podniecić mogły ich męztwo i popchnąć do walki na śmierć i życie! Oby w ten sposób pień południowo-afrykański, który zawsze dawał tak piękne nadzieje na przyszłość, stał się drzewem potężnem! I obyśmy także dowieść mogli swemi czynami, że jesteśmy godni zająć miejsce w szeregu prawdziwych narodów! Niech Bóg nam w tem dopomoże!

Skończyłem.

Mowa, wygłoszona przez prezydenta, Krügera jako komentarz do mowy na otwarcie posiedzenia zwyczajnego.

(7 go maja 1901 r.).

Szanowni prezydenci i wy, szanowni członkowie pierwszej i drugiej Rady Ludowej, pozwólcie mi, wbrew zwyczajowi, dodać słów kilka do mowy poprzedniej.

Wiecie zapewne, jaką rolę odegrało prawo głosowania w mniemanych krzywdach, które zapoczątkowały tę wojnę, i wiecie zapewne, jakie ustępstwa poczynił rząd za zezwoleniem parlamentu i pomimo swych własnych obaw; ustępstwa były tak wielkie, że burgerzy wyrzucali nam, iż dobrowolnie wyrzekamy się większej części praw narodowych. Rządem kierowała jedynie chęć uniknięcia rozlewu krwi. Parlament ratyfikował nadanie praw wyborczych zupełnych cudzoziemcom, którzy przemieszkają 7 lat w kraju [1]), oraz tym wszystkim, którzy udowodnić potrafią, że już poprzednio mieszkali dłużej, niż lat siedem.

Wskutek tego prawa stworzono odrazu przeszło trzydzieści tysięcy nowych wyborców; wytworzyło się takie położenie rzeczy, że starzy burgerowie słusznie mogli się obawiać, że będą stanowili mniejszość. Raz

[1]) Od chwili ogłoszenia ustawy.

jeszcze powtarzam, że podobne ustępstwa poczyniono dlatego jedynie, ażeby uniknąć rozlewu krwi. Przecież i tego było zamało! Zażądano od nas nadania praw wyborczych po upływie lat siedmiu.

Nasi burgerowie nie pochwalali tych ustępstw i nawet w samym parlamencie mnóstwo deputowanych nie chciało o nich ani słyszeć. Rząd pomimo to przedstawił i poparł ten wniosek, w tem przekonaniu, że w gruncie rzeczy nie idzie tu o prawa wyborcze, że wymagania Anglii są tylko pretekstem faryzeuszowskim, który należało wyrwać z korzeniem. Czyż nie znaleziono później dokumentów, na podstawie których okazało się, że już od r. 1896-go unicestwienie obu Rzeczypospolitych było postanowionem? Było to więc oszukaństwo dyabelskie. Mówiono niby o pokoju, ale z góry już postanowiono pozbawić nas istnienia. A więc daremnem byłoby iść dalej drogą ustępstw; gdybyśmy się nawet byli zgodzili na nadawanie praw wyborczych nawet po rocznym pobycie w Transwaalu, ofiara nasza nie mniej byłaby odrzuconą. Dokumenty wykazały, że wolność naszego narodu nieodwołalnie skazana była na zagładę.

Jak to już zaznaczyłem w swej mowie, rząd nasz poczynił tak wielkie ustępstwa Chamberlain'owi i Salisbury'emu jedynie dla uniknięcia rozlewu krwi. A oni cóż na to odpowiedzieli? Czytaliście niewątpliwie kopię tej noty; nie mogę przypomnieć sobie dokładnie jej brzmienia, ale treść ogólna była następująca: żałowano, iż uznano niegdyś naszą niepodległość, i upierano się przytem, jak zawsze, wbrew wszelkim traktatom, potwierdzonym w przeszłości, ażeby uważać nasz naród za swych poddanych.

Panowie, pozwólcie mi ulżyć sercu: psalm 83 mówi o spiskach pogan przeciwko Królestwu Chrystusowemu: „Uczyńmy tak, aby nie było Izraela

między narodami.” Prawie tych samych słów użył Salisbury, on bowiem rzekł: „Naród ten powinien zginąć”, ale Pan rzekł: „Naród ten istnieć będzie.” Kto zwycięży? Przedwieczny, bądźcie tego pewni. Tymczasem widzicie chytrości, któremi się posługiwano w stosunkach z nami niegdyś przed wojną; naród nasz był gotów na uszczuplenie swych praw, a Rada wykonawcza posunęła się nawet tak daleko, że narażaliśmy się prawie na utratę rodzinnej ziemi. Ale dla przeciwników naszych otrzymanie praw wyborczych nie zaważyło na szali; pożądano przecież naszego kraju, nic dziwnego więc, że wszelka ofiara z naszej strony wydała się niewystarczającą.

Nie traćmy tego z oczu i pamiętajmy o chytrości przebiegłej, z jaką prowadzono negocyacye. Wolnemu Stanowi Oranje oświadczono, że Anglia nie występuje wcale przeciw niemu, lecz tylko przeciw naszej Rzeczypospolitej. Chciano więc w ten sposób rozerwać związek dwu pobratymczych Rzeczypospolitych, z dokumentów okazuje się jednak, że żadna z nich nie miała pozostać niezależną.

Co za wiarołomstwo, panowie!

W dokumentach znajdujemy dowody, że wszystko już postanowione było w r. 1896, od czasu najazdu Jamesona, a jednak utrzymywano ciągle, że Stan Wolny zachowa niepodległość, jeżeli złoży broń. Stan Wolny postanowił broni nie składać i jednym ogarnięci zapałem, zaczęliśmy wojnę równocześnie.

Mieliśmy 40,000 ludzi, ale musieliśmy wszędzie zostawić straże dla utrzymania w spokoju plemion kafryjskich. Komendant Mafekingu doniósł nam nawet, że liczy na pomoc niektórych wodzów kafryjskich, a wiedzieliśmy, że plemiona, poddane tym wodzom, mogły postawić 30,000 wojowników, liczba ta równała się prawie liczbie wojsk naszych. Nie licząc

200,000-nej armii angielskiej, takie były siły, z któremi musieliśmy walczyć.

Panowie, spojrzyjcie wszelako na drugą potęgę: Bóg wojska, to znaczy nasz Bóg. Czyż nie jest to cud, że 40,000 ludzi walczy z 200,000-ami, do których się jeszcze przyłączył cały naród Kafrów i że, pomimo to, nie zginęliśmy jeszcze? Zaprawdę, czyż nie jest to palec Boży? Podkreślam fakt, że w każdej potyczce z nieprzyjacielem było nas zawsze dziesięciu przeciw stu, a jednak aż do dnia dzisiejszego Pan zachował nam życie.

Nie ośmielam się prorokować, ale chcę pokazać, że Słowo Boże wskazuje nam drogę, po której iść mamy wśród wypadków obecnych. Wypadki te przewyższają poziom zwykłych. Wojna ta jest znamieniem czasu. Wszystko potwierdza ten fakt, że Bestya [1]) otrzymała władzę prześladowania Kościoła Bożego i będzie popełniała bezprawia aż do chwili, gdy Pan jej rzeknie: „Dotąd i ani kroku dalej."

I pocóż to wszystko?

Dlatego, że Kościół musi być doświadczanym i oczyszczanym, albowiem dużo jest złych między nami.

I dlatego powiadam wam, że wojna ta jest wojną niezwykłą i znamieniem czasu. Każdy może się przekonać, iż należy zastosować tu słowo Boże. Mówią nam: „Naród ten musi zginąć." Ale Pan powiada: „Naród ten nie zginie, ale musi być oczyszczonym." W głębi duszy widzę jasno, że dzień łaski nie może już być daleko, że Pan wykaże, iż jest Panem najwyższym i nic się bez Jego woli nie dzieje. Jeżeli Pan zezwala, aby nas chłostano, powinniśmy uchylić głowy, upokorzyć się w swych sercach, uznać nasze winy i wrócić do Pana. Gdy cały naród się upokorzy, gdy uzna, że sam z siebie nie znaczy nic, że Pan kieruje jego krokami, wtedy tylko pokój będzie nam przywrócony. Ale pokora zamało jeszcze przeniknęła do serc naszych, i powinniśmy przejąć się głębiej naszemi obowiązkami. Tak mówi Piotr (księga 1-a, rozdział V-ty, wiersz 8-my): „Złóżcie wszystkie troski wasze na Niego, bo on ma pieczę o was", i natychmiast dodaje w wierszu 8-ym: „Pośćcie i czuwajcie, albowiem nieprzyjaciel krąży dokoła, jak lew ryczący, ażeby was pożreć."

[1]) Patrz apokalipsę św. Jana.

I oto dlaczego powinniśmy czuwać, bo jeżeli wpadniemy w bezbożność, będziemy przyczyną naszej własnej zguby. I pytam was, bracia, czyż nie jest niegodnym fakt, o którym nam donoszą, że w Derdepoorcie Kafrowie, podburzeni proklamacyą angielską, wymordowali kobiety i dzieci? Anglicy twierdzili, że się nigdy nie posługują Kaframi, lecz tylko ludźmi białymi. Tymczasem nie ulega wątpliwości najmniejszej, że Montsisa i jego Kafrowie znajdują się w Mafekingu i że ich posyłają do walki z naszymi. Przeszło połowa garnizonu w Mafekingu składa się z Kafrów, którzy walczą przeciwko nam.

A jednak, panowie, nie powinniście sądzić, że wszyscy, którzy walczą przeciwko nam, są sługami Bestyi. Pomiędzy nimi znajdują się setki dzieci Bożych, którzy czynią źle przez obawę Bestyi. Pan zna wszystkie serca. My nie pragniemy wcale rozlewu tej krwi, która płynie dziś po ziemi afrykańskiej; gotowi byliśmy raczej wyrzec się większości naszych praw, ale skoro nas chciano wytępić, musieliśmy za-

niechać ustępstw dalszych. Pamiętacie, jak było z Achalem? Nieprzyjaciel w znacznej liczbie stanął pod murami jego miasta i wszyscy stracili odwagę. Wtedy przybył prorok Boży, mówiąc: „Nie bójcie się niczego.” I Bóg stanął po stronie Izraela. Ten Bóg, w którym winniśmy pokładać nadzieję, bo On jest zawsze naszym Bogiem. Nie żyjemy więc tak, jak gdyby Boga nie było wcale: On rządzi wszystkiem! Rozmyślajcie o symbolach, które nam podaje historya. Jest zawsze ten Bóg, który wyrwał z niewoli Izraela, a serce Faraona zatwardził tak, że wszystkich pierworodnych w Egipcie skazał na zagładę.

I wtedy to Faraon pozwolił na wyjście Izraelitów. Jest to zawsze ten sam Bóg, który uśmierzył rozjuszone bałwany morza, a ramię jego nie stało się krótszem.

Pomyślcie o krwi, która już została przelaną. Na kogo spada odpowiedzialność? My żądamy tylko pokoju i swobody, tak samo, jak żądaliśmy ich stale od r. 1836 i wtedy Pan ich nam udzielił. Czyżby się Pan miał wyrzec nagle dzieła, które sam rozpoczął? Nie, ale musimy się upokorzyć przed Nim, a wtedy, nie ulega wątpliwości, że doprowadzi nas do zwycięztwa.

Złożyłem swój raport Zgromadzeniu i mam nadzieję, że Rada Ludowa rozpatrzy go najpóźniej do jutra, gdyż pomiędzy członkami Rady dużo jest takich, którzy powinni wrócić do obozu, jako burgerowie lub jako oficerowie. Nie mamy więc czasu na rozstrząsanie wszystkich kwestyi bieżących. Zajmijmy się obecnie tylko temi, które wam przedstawię.

Muszę wam jeszcze oznajmić, że mianowałem tymczasowo wodza naczelnego, gdyż, niestety, utraciłem swą prawą rękę, jenerała Joubert'a; nie chcę jednak powiedzieć przez to, że nie posiadam już wcale ludzi jemu podobnych. Oprócz naczelnego wodza, utraciłem jeszcze pp. Kocka i Wolmaransa, byłych członków Rady Wykonawczej. Sekretarz Stanu jest również człowiekiem nowym; ze wszystkich dawnych członków Rady Wykonawczej pozostałem ja jeden. Niemniej przeto muszę oddać sprawiedliwość, że członkowie obecni pomagają mi bardzo czynnie; i przekonany jestem najmocniej, że Bóg również użyczy nam siły i wsparcia.

Walczmy więc do końca w imię Pana. Czyż nie jest on dla nas Wodzem Najwyższym? On wydaje rozkazy, On wie, kiedy powiedzieć: „Dotąd i ani kroku dalej.”

Zdumiewającą jest rzeczą, że wszystkie mocarstwa jednozgodnie stają po naszej stronie, a cała Europa modli się za nas. Czyżby Pan odrzucił te prośby? Z pewnością nie. Ufajmy więc Przedwiecznemu, zdajmy się na wolę Jego, a On dokona cudów. A nawet, gdyby się rzeczy obróciły na złe, gdybym zmuszony był udać się na wyspę św. Heleny, mniejsza o to, bo gdy przyjdzie godzina, Przedwieczny sam poprowadzi swój naród i przywróci mu swobodę. Ten sam wyrok, który dotknął Babylon, spadnie na tych, którzy są winni krwi przelanej.

Walczymy za swobodę, którą obdarzył nas sam Bóg. Nawet gdyby bracia tego Zgromadzenia i zwykli obywatele, walczący w imię Pana, mieli zginąć od miecza, będą to tylko ofiary ekspiacyjne, poświęcone na chwałę Boga i Kościoła. Kościół musi być oczyszczany i doświadczany; dlatego też nie mogę uwierzyć, aby ta wojna okrutna pociągnąć miała za sobą naszą zgubę. Wojna będzie trwała dopóty, dopóki Pan jej nie powie: „Dotąd i ani kroku dalej!”

W górę serca i walczcie razem ze mną. Oddaję się w ręce Pana. Niech się dzieje ze mną, co On postanowi, Całować będę rózgę, którą mnie będzie chłostał, bo także jestem grzeszny.

Niech każdy z was ukorzy się przed Panem.

Skończyłem.

Okólnik telegraficzny prezydenta Krügera do jenerałów, jenerałów-asystentów i oficerów.

Machadodorp. 20 czerwca 1900 r.

Nie upadajcie na duchu i nie wpadajcie w niedowiarstwo, albowiem nadeszła chwila, że lud Boży ma być oczyszczony Bestya otrzymała władzę prześladowania chrześcijan i ci, którzy odpadną od wiary, będą potępieni, nie będą bowiem przyjęci na święte łono Kościoła i dlatego nie wejdą do Królestwa Niebieskiego w dniu, kiedy Kościół zamknie swe wrota po objawieniu ostatecznem. Ale ci, którzy wytrwają w wierze i walczyć będą w imię Pana, otrzymają koronę w niebie, przyjęci będą do grona wybranych miasta wiecznego i cieszyć się będą jasnością wieczną.

Bracia, bracia, zaklinam was, nie upadajcie w wierze, wyznawajcie ją pobożnie i walczcie w imię Pana. Radźcie się waszego sumienia. Jeżeli przy-

padkiem okażecie tchórzostwo i uciekać będziecie przed wrogiem, to dlatego, że przestaliście wierzyć, że w niebie jest Bóg i staliście się bluźniercami. Ale ja na podstawie Biblii powiadam wam, że nic się nie stanie bez woli Bożej. Zwycięztwo w Jego jest rękach, a daje On je tym, którzy walczą w Jego imię. Czyżby to nie był ten sam Bóg, który za czasów Faraona sypał hojnie znaki i cuda, za pomocą których Izrael dojść miał do Ziemi Obiecanej? Czyżby to nie był ten sam Bóg, który go prowadził przez morze Czerwone i przykrył go chmurą olbrzymią, ciemną i gęstą dla oczu nieprzyjaciela, ale jasną i przezroczystą dla niego? Chmurę tę sprowadza słowo Boże, które kieruje naszemi krokami i oświetla naszą drogę. Ale każdy wpadający w morderstwo, wpada w krainę ciemności i oddzielony od Pana, ginie dla braku wiary. Czy to nie jest ten sam Bóg, na którego rozkaz wytrysło ze skały źródło obfite, gdzie Izrael ugasić mógł swe pragnienie?

Czyż nie ten sam Bóg wybawił trzech młodzieńców, którzy śmierć przełożyli nad wyrzeczenie się swej wiary? Czyż nie jest to ten sam Bóg, który obronił Daniela w jaskini lwów od pożarcia przez te zwierzęta, a gdy tym samym lwom rzucono prześladowców Daniela, czyż nie rozszarpały ich i nie pożarły? Czyż to nie ten Bóg, który szedł po falach morskich i kazał Piotrowi zbliżyć się do siebie? A Piotr w swej wierze prostej i naiwnej był posłusznym i szedł ku Panu. A w miarę tego, jak się wiara jego zmniejszała, zaczęło mu się zdawać, że tonie, aż wreszcie Pan wziął go za rękę, podtrzymał, a następnie ukarał za brak wiary. Czyż to nie jest ten sam Bóg, który wśród rozhukanej burzy kazał wiatrom ucichnąć i uspokoił fale? Czyż to nie ten

sam Bóg uzdrawiał trędowatych dotknięciem swej ręki?

Czyż to nie ten Bóg, nasz Zbawiciel, wyrzekł do swych dzieci: „Niech serce wasze nic nie żywi obawy! Wierzycie w Boga i we mnie; nie porzucę was w sieroctwie waszem! Któż wam przepowiedział naprzód, że powstaną wojny i szczęk oręża, abyśmy się nie przestraszyli, gdy to wszystko nastąpi? Czyż to nie ten sam Zbawiciel, który chciał za nas umrzeć, trzeciego dnia zmartwychwstał. przez dni czterdzieści pozostawał z żyjącymi, chociaż nikt z żyjących nie mógł go widzieć? Widzieli Go tylko apostołowie i w ich oczach wzniósł się ku niebu, zostawiając im rozkaz: „Prowadźcie walkę w imię prawdy, a ja powrócę pomiędzy was niewidzialny, jak dzisiaj." Ten sam Bóg drogą cudów wyprowadził nas z ojczyzny, dał nam swobodę i bądźcie pewni, że nie porzuci tak nagle dzieła, które sam rozpoczął. Powiadam wam, to jest ten sam Bóg, który dzierży w swych rękach zwycięztwo, który dał pumoc Gedeonowi i jego 300 mężnym, wzmocnił ich w wierze i uczynił niezwyciężonymi.

Drodzy bracia, zaklinam was, nie wpadajcie w zwątpienie, nie traćcie męztwa i walczcie w imię Pana. Dowiaduję się, że niektórzy komendanci pragną wracać do swych obwodów i walczyć tylko w obronie swych ognisk domowych. System podobny pociągnąć mógłby tylko zamęt i wysiłki nasze byłyby daremne. Niech każdy z was niezależnie od tego, gdzie się znajduje i któremu oficerowi podlega, będzie wiernym i mężnym, bo posłuszeństwo i wierność są rękojmią tryumfu.

Kochani bracia, powtarzam wam raz jeszcze, bądźcie posłuszni waszym oficerom tak, jak oni muszą być posłuszni jenerałowi, ponieważ, jak to już

powiedziałem, posłuszeństwo i wierność są rękojmią zwycięztwa. Zważcie na świetne raporty, które przysyła z Europy nasza delegacya; zwróćcie też uwagę na proklamacyę, którą lord Roberts rozrzucił na terytoryum Oranje. Proklamacya ta jest tylko przynętą. Salisbury i Chamberlain utrzymują w deklaracyi swej, że my musimy zginąć. Ale Pan rzekł: „Naród ten istnieć będzie," a On jest naszym prawdziwym wodzem naczelnym, który prowadzi nas za pomocą słowa Bożego.

Drodzy bracia, raz jeszcze proszę was, nie wpadajcie w niedowiarstwo, ale bądźcie posłuszni rozkazom, które Bóg nam daje. Często prowadzi On swe dzieci przez pustynie bezpłodne, z których, zdaje się, że nikt nie wyjdzie żywym. Ale bądźcie pewni, że On nas wyprowadzi, jeżeli będziemy w Nim pokładali ufność. Kto tylko ufa Panu, nawet wśród przeciwności losu okryty będzie tarczą najpotężniejszego z królów. Słowo Jego prawdą jest niezaprzeczoną.

Pismo to odczytajcie wszystkim oficerom i burgerom, nasze bowiem cierpienia dzisiejsze są niczem, jeżeli pragniemy osiągnąć szczęście wieczne.

Służmy wiernie Zbawicielowi naszemu.

Depesza prezydenta Krügera do jenerałów.

Machadodorp, 7 lipca 1900 r.

Oficerowie i burgerowie, pokładajcie ufność waszą w Panu. On dzierży władzę najwyższą, On

kieruje sercami podług swej woli i mówi: „Wasze niebezpieczeństwa są memi niebezpieczeństwami.”

Zwycięztwo ostateczne w Jego jest ręku.

Przyjrzyjcie się teraz walce, którą prowadziliśmy dotąd, i powiedzcie, czy Najwyższy nie tworzył dla nas cudów i czyż błogosławieństwo Jego nie spływało na wojska nasze; czyż straty nasze nie były nieznaczne w porównaniu ze stratami nieprzyjaciela, pomimo przewagi liczebnej jego wojska, pomimo jego armat? Bracia, musielibyśmy się zaprzeć wiary naszej i zapoznawać wpływy Boskie, gdybyśmy zwątpili choć na chwilę, że Przedwieczny będzie z nami.

Nieprzyjaciel mógł bezwątpienia zalać kraj, dzięki przewadze liczebnej swych wojsk, którym nie mogliśmy wszędzie stawić czoła, ale rezultat walki nie odpowiada wcale wielkości jego wysiłków, i mamy wszelkie prawo spodziewać się, że pierwej, czy później będzie on odparty, a my osiągniemy zwycięztwo. Nie dajcie się zatem zachwiać w swej wierze, ani zastraszyć odstępstwem niektórych współbraci.

Oto zresztą moje zdanie osobiste.

Usprawiedliwiam tych burgerów, którzy przed wrogiem złożyli broń. Usprawiedliwiam ich, ale pod warunkiem, że przy pierwszej sposobności połączą się z nami i będą prowadzili walkę w dalszym ciągu; tych jednak, którzy, składając broń bez zamiaru powrotu do armii narodowej, składają przysięgę na wierność królowi angielskiemu, tych odrzuci Pan, chociażby nawet twierdzili, podobnie jak Bestya, że, pomimo wszystko, trwają w swej wierze.

Pan rzekł: „Dowiedź mi swej wiary czynami swemi.”

Dlatego wiara tych, którzy stają po stronie Bestyi, zdradzając swych towarzyszów broni, jest martwą i zwodniczą. Czytamy w apokalipsie: „Ci, którzy służą Bestyi i jej obrazowi, wychylą kielich gniewu Bożego.” Bracia, którzyście zeszli na manowce, zawróćcie póki czas jeszcze i ukorzcie się przed Panem; On wam przebaczy i wróci wam energię potrzebną do rozpoczęcia walki.

Proszę odczytywać tę depeszę oficerom i burgerom, przy każdej sposobności.

Okólnik telegraficzny prezydenta Krügera do wodza naczelnego, jenerałów-asystentów i oficerów.

Machadodorp, 24 lipca 1900 r.

Widzę z waszego raportu, oraz z wiadomości zaczerpniętych z różnych stron, iż jako lew groźny, duch zwątpienia pełza wokoło wojsk waszych, siejąc zniechęcenie wśród waszych podwładnych.

Bracia, nie rozumiecież więc, że chwiejąc się przed nadchodzącym wrogiem, popychacie tych, którzy idą za wami, do bojaźni i zwątpienia? Przeciwnie zaś, gdy spełniając swój obowiązek, stawiacie czoło wrogowi, niezależnie od tego, zkąd on przychodzi, podnosicie ducha i podniecacie odwagę tych wszystkich, którzy pozostali w swych fermach, wte-

dy i oni, mimo swej liczby nieznacznej, staną jak jeden mąż do obrony kraju.

Zwycięztwo nie należy do liczby; ono jest w ręku Pana, a Pan je daje tym, którzy walczą w Jego Imię, jakkolwiek mało ich będzie. Przypomnijcie sobie słowa Pisma Świętego: „Gdy Pan chce opuścić swój lud, tępi ostrze swego miecza i nie błogosławi go wcale.” Otóż mogliście się przekonać, że Pan nie stępił ostrza waszego miecza, i że przeciwnie, błogosławieństwo Jego wspierało wasz oręż. Wszędzie, gdzie tylko nieprzyjaciel na nas nacierał, mała garstka naszych sprawiała większe spustoszenie, niż tysiączne ognie jego dział. Czemże w takim razie wytłómaczyć obecność złego ducha, który krąży dokoła was i sieje zwątpienie w wszechpotęgę Przedwiecznego?

Czyż nie zrozumieliście jeszcze, iż nadszedł dla nas czas, kiedy wiara nasza ma być doświadczoną? Ten, kto nadzieje pokłada w Panu, rzec może z apostołem Piotrem: „Nie trać odwagi, widząc ucieczkę niektórych swych żołnierzy, odstępstwa zawsze się zdarzają.”

Sam Chrystus, mówiąc o zapowiedzianych wojnach i znakach złowrogich, rzecze: „Nie drżyjcie, łecz bądźcie wierni, albowiem o tem wszystkiem napisane jest u proroków.”

Ktokolwiek nie może zwyciężyć szatana, nie osiągnie korony wybranych; upadnie on i stanie się zdobyczą złego ducha, który krąży i czołga się dokoła niego.

I podobnie jak Bestya, naznaczonym będzie na czole strasznem piętnem i wychyli do dna kielich gniewu Bożego. Czytajcie apokalipsę rozdział 14, wiersz 9, 10, 12 i 13, a zwłaszcza 12, który głosi:

„Tu jest cierpliwość świętych, tu są ci, którzy zachowują wiarę Jezusową.”

Zaprawdę, bracia moi, niech ten, kto upada na duchu, śpieszy powrócić do Pana; niech dochowa swej wiary i da dobry przykład tym wszystkim, walczącym za wolność, którą Bóg nas obdarował. Ten, który mówi, iż wierzy, że wolność ta jest nam daną od Boga, a mimo to daje posłuch złemu duchowi, ma wiarę martwą i zwodniczą, Pan bowiem rzekł: „Czynami dowiedź swej wiary!”

Pomnijcie też na obietnicę Pana, zawartą w psalmie 8-mym: „Ci, co walczą w Imię Jego, czynią rzecz słuszną i roztropną, a Pan wyzwoli ich, a zagubi nieprzyjacioły.” Odwagi więc, żołnierze Boga, bo w chwili waszej słabości największej Pan wykaże moc swoją.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę waszą na historyę wojny amerykańskiej o niepodległość, gdzie garstka obrońców swobody, licząca najwyżej 2,000, musiała stawić czoło tysiącom nieprzyjaciół. Zwyciężyli jednak, a Pan dał im niepodległość.

Wiecie wszyscy, jak bezbożną i niesprawiedliwą jest wojna ta, którą nam, wbrew naszej woli, narzucono.

Byliśmy gotowi do wszelkich ustępstw za cenę zapewnienia naszej swobody i niepodległości. Zobaczcie psalm 83, gdzie duch zły mówi, iż Izrael istnieć nie powinien, a Pan mu odpowiada: „On istnieć będzie.” Tak było z poselstwem, wysłanem przez nas do Salisbury'ego; prosimy tylko o niepodległość, a zły duch tę samą odpowiedź mu podszepnął: „Naród ten nie powinien istnieć!” albo przytaczając jego własne słowa: „Nie przystanę nigdy, ażeby naród wasz istniał w przyszłości jako naród.”

Widzicie więc, bracia drodzy, że wiara moja w ostateczne zwycięztwo polega na słowie Bożem.

Służmy wiernie Panu, walczmy w Imię Jego, pokładając ufność niezachwianą w Jego obietnicach.

Życzeniem mojem jest, aby oficerowie od czasu do czasu pismo to odczytywali burgerom.

Proklamacya prezydenta Steina przeciw aneksyi Stanu Wolnego.

Zważywszy, że Anglia narzuciła wojnę niesprawiedliwą narodom Wolnego Stanu Oranje i Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej w październiku 1899 r., i że obie małe Rzeczypospolite od ośmiu przeszło miesięcy prowadzą i prowadzić będą tę walkę nierówną z przeważającemi siłami Wielkiej Brytanii;

Zważywszy znaną proklamacyę z dnia 24-go maja 1900-go roku, podpisaną przez lorda Robertsa, głównodowodzącego wojsk angielskich w Afryce południowej, a głoszącą, że Stan Wolny został zdobyty przez wojsko Jej Królewskiej Mości i, jako taki, wcielony będzie do państwa Wielkiej Brytanii, pomimo, że wojska orańskie nie porzuciły oręża, a kraj nie jest zdobyty wcale, i proklamacya owa jest sprzeczną z prawem narodów;

Zważywszy, iż niepodległość Stanu Wolnego Oranje jest uznaną przez większość państw cywilizowanych;

Zważywszy, iż znanem jest powszechnie, że nawet poddani angielscy oświadczyli niedawno, że Stan Wolny jest rządzony znakomicie, i że, wskutek tego, pozbawienie Wolnego Stanu swobody jest nietylko zamachem na cywilizacyę, ale również pogwałceniem pierwotnych praw tego narodu;

Zważywszy, iż koniecznem jest oznajmić wszystkim osobom zainteresowanym, że proklamacya owa nie jest przyjętą ani przez rząd, ani przez naród Wolnego Stanu Oranje,

Ja, Marcin-Theunis Steijn, prezydent Wolnego Stanu Oranje, po zasięgnięciu zdania Rady Wykonawczej, imieniem niepodległego ludu Wolnego Stanu oświadczam niniejszem, że aneksya ogłoszona niema znaczenia i uważać się powinna za nieistniejącą.

Napisane i podpisane własnoręcznie w Reitz (Wolny Stan Oranje), 11-go lipca 1900 r.

M. T. Steijn,

Prezydent Stanu.

KONIEC.

OD REDAKCYI.

P. Szymańskiemu w Kijowie. Za uznanie naszej pracy najserdeczniej dziękujemy. Pieniądze otrzymaliśmy, prenumerata Szanownego Pana opłacona do końca roku 1903.

P. Zofii K. w Smoleńsku. Pamiętniki Deweta wkrótce rozpoczniemy. Komisy polecone nam już wszystkie załatwione; pozostaje do dyspozycyi Sz. Pani rb. 1 kop. 60.

Pani L. S. w Lublinie. Profesor J. Ochorowicz stale mieszka w Wiśle, poczta Ustroń. Szlązk austryacki. Kiedy będzie w Warszawie nie wiemy.

P. Stefanowi Zabłockiemu w Warszawie. Drugą część głośnej powieści „Precz z orężem“ Suttnerowej już mamy przygotowaną do druku. Co do drugiego zapytania— nieotrzymaliśmy.

Pani Maryi L. Nowelle do zwrotu. Raczy Sz. Pani odebrać z redakcyi w godzinach pomiędzy 10—12 przed południem codziennie.

P. Ludwikowi B. w Częstochowie. Po otrzymaniu pieniędzy załatwimy.

P. Leokadyi Syd. Na obszerny list Sz. Pani możemy odpowiedzieć: Nie być despotką, więcej się hamować, to przykrości będzie mniej.

P. K. M. Do zwrotu.

P. Maryi S-wicz. Obraz p. t. „Szał“ jest pędzla ś. p. Podkowińskiego. Obecnie jest własnością Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

P. Teofilowi — ojcu. Czem skorupka nasiąknie za młodu i t. d. — Wina Sz. Pana. W każdym razie nie radzimy ulegać dłużej.

SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ I.

CZĘŚĆ II.